BOS

Dc. II. 1.

SPRAWA BUŁGARSKA.

(Od 18 września do 26 grudnia 1885 r.).

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

Dnia 25 i 26 sierpnia odbył się w starodawnym, świetnie odnowionym i przyozdobionym pałacu arcybiskupim w Kromierzyżu zjazd N. N. Cesarzy Rosyi i Austryi, którym towarzyszyły N. N. cesarzowe, następcy tronu, bracia, ministrowie spraw zagranicznych i liczny zastęp najwyższych dostojników dworu. Z Kromierzyża cesarz Franciszek Józef w czwartek 27 sierpnia przybył na wielkie manewra do Pilzna. O godzinie 4-éj tegoż dnia przyjmował tam świeżo przybyłego z Wiednia księcia Aleksandra bułgarskiego, który następnie, zawsze w mundurze austryackiego pułkownika dragonów, towarzyszył cesarzowi przez dni kilka w téj „wojnie wśród pokoju.“ Dnia 28 sierpnia zjawił się także w Pilznie minister spraw zagranicznych hr. Kalnoky Dnia 1-go września z rana cesarz wyjechał z Pilzna do Wiednia, książę Aleksander bułgarski zaś do poblizkiego Frauzensbadu, gdzie na dworcu czekał na niego minister Giers, z którym spędził dzień cały. W powrocie książę Aleksander zatrzymał się jeszcze dwa dni w Wiedniu. Dnia 6 września stanął w Ruszczuku, witany przez biskupa i ludność bułgarską z wielkiemi owacyami. Dnia 19-go września zaś rozeszły się depesze o dokonanym dnia poprzedniego przewrocie w Płowdiwie, oraz o tém, że książę bułgarski bez wahania się stanął przy unii.

Proste to kronikarskie zestawienie faktów naprowadzało na domysł, że zajście płowdiwskie pozostawało w ścisłym związku z zjazdem w Kromierzyżu, a raczéj było jego logicznem następstwem. Tegoż samego dnia, kiedy w Płowdiwie obalono rząd, ustanowiony na podstawie traktatu berlińskiego, paryzki „Figaro,“ dziennik pło-

chy, nie zaliczany do poważnych, ale otrzymujący często ciekawe wiadomości z kół dyplomatycznych, pod tytułem: „La vérité sur l'entrevue de Krémsier“ i pod pretekstem rozmowy z pewnym wysokim dostojnikiem dworskim w Wiedniu, ogłosił artykuł bardzo znaczący. Czytamy tam: „P. Giers zaczął rozmawiać z hr. Kalnokim o pewnym artykule traktatu berlińskiego, któryby należało wyjaśnić lub zmienić. Minister austryacki oświadczył, że, aby to uczynić, trzeba uzyskać przyzwolenie trzeciego sprzymierzeńca. Zatelegrafowano więc do księcia Bismarcka, który dał odpowiedź wymijającą i oświadczył, że musi zasięgnąć decyzyi swego cesarza. Wysłano zatém depeszę do cesarza Wilhelma, który jednak, choć w wyrazach nader uprzejmych, odmówił... „I któryż to artykuł traktatu berlińskiego zawinił tyle trudu?“ „Nie mogę panu tego powiedzieć, bo sam nie wiem, mniemam atoli, że chodzi o granice pewnego kraju wzdłuż Bałkanu. A więc o Rumelią.“ Artykuł ten, powtarzamy, był ogłoszony zanim się dowiedziano o przewrocie w Płowdiwie. Jakoś istotnie dość powszechnie w kołach poważnych i przed 18-ym września przypuszczano, że w Kromierzyżu dwa mocarstwa sąsiednie porozumiały się co do rozwiązania kwestyi wschodniéj, a mianowicie kwestyi bułgarskiéj.

W takich okolicznościach, zważywszy konferencye księcia Aleksandra z cesarzem Franciszkiem Józefem, z hr. Kalnokim i z p. Giersem, nie można było w pierwszéj chwili sądzić inaczéj, jak, że unia bułgarska stanęła na porządku dziennym, z woli a przynajmniéj z przyzwolenia sprzymierzonych cesarstw. W tym razie jednak stwierdziło się znowu ostrzeżenie: „En présence de grands problèmes, défiez vous des solutions faciles.“ Dziś bowiem jest rzeczą niewątpliwą, że przewrót w Rumelii stał się bez wiedzy dyplomacyi austryackiéj i rosyjskiéj, i że pp. Kalnokiemu i Giersowi, pragnącym utrzymać najprzyjaźniejsze stosunki, zgotował nawet bardzo niemiłą niespodziankę, ponieważ w dalszéj konsekwencyi może wywabić na wierzch ukrywany starannie antagonizm dwóch mocarstw sąsiednich.

I. Przewrót w Rumelii.

Kongres berliński, jak tyle innych kongresów dyplomatycznych, kwestyi, nad którą obradował, nietylko nie rozwiązał, lecz ją raczéj więcéj jeszcze zagmatwał. Podpisany tak uroczyście dnia 13 lipca r. 1878 w byłym pałacu radziwiłłowskim, traktat berliński jest istną puszką Pandory. Jeżeli w ciągu 6 lat nie wywoływał najniebezpieczniejszych zatargów, to jedynie dla tego, ponieważ kanclerz nowego cesarstwa Niemieckiego, używa całego swego wpływu dla utrzymania pokoju. Bezmyślni powtarzają za hasłami berlińskiemi, że utrzymanie pokoju—to interes Europy. W rzeczywistości zaś jest to jeżeli nie jedynie, to głównie interesem Niemiec; bo Niemcy w ostatnich 2-ch dziesiątkach lat najwięcéj zdobyli. Zabezpieczenie,

utwierdzenie i ustalenie tych zdobyczy, ostateczne zamalgamowanie Hanoweru i elektoratu heskiego, wynarodowienie Alzacyi, Lotaryngii i powiatów duńskich, przytłumienie wszelkich innych żywiołów „obcych," wchodzących w skład monarchii pruskiéj; — to wszystko wymaga dłuższego pokoju, bo każde wielkie wstrząśnienie i pierwsza nowa przegrana pod Jeną mogłaby narazić na szwank zdobycze lat 1864, 1866 i 1871. Najważniejszém przeto zadaniem dyplomacyi niemieckiéj na teraz jest utrzymanie pokoju. Trzeba wyznać, że cała dyplomacya europejska, wprawdzie nie z naiwnéj dobroduszności, ale wskutek dziwnie splątanych interesów i nurtujących pod gładką powierzchnią antagonizmów, gorąco wspiera księcia Bismarcka w téj czysto niemieckiéj albo raczéj pruskiéj polityce. Fakt ten tłómaczy dlaczego główne przepisy traktatu berlińskiego utrzymały się przez lat 6.

Same przez się na to bynajmniéj nie zasługiwały. Zwłaszcza artykuły, dotyczące bułgarów, były ułożone z jakąś zdumiewającą lekkomyślnością, gdyby wyraz ten wypadało zastosować do członków areopagu europejskiego. Dyplomaci zwykle popełniają ten sam gruby błąd, przypuszczając, że w rzeczach świata główną rolę odgrywa albo ślepy przypadek, nazwany kiedyś przez Fryderyka II-go „Sa majesté le hasard," albo intryga, i że więc zręczność, umiejętny oportunizm i t. d. zdolne zażegnać wszelkie niebezpieczeństwa. Zapominają zaś, że ostatecznie sprawy międzynarodowe rozwijają się według pewnych zasad, i że trwałych dzieł też tylko w imię zasad dokonać można. Gdy kongres berliński przystępował do uporządkowania kwestyi bułgarskiéj, wszyscy jego członkowie jakby się uwzięli, aby tylko—nie dopuścić do zasadniczego jéj załatwienia. Można było albo stanąć na podstawie prawa historycznego, a zatém odszukać dawnych granic bułgarskich z wieku XIV-go; albo wypadało stanąć przy nowoczesnéj, nie zawsze słusznie pojętéj i uczciwie przeprowadzanéj, ale bądź co bądź uznanéj już zasadzie narodowości, i wtedy należało granice polityczne nowéj prowincyi oprzeć o granice narodowościowe, względnie językowe plemienia bułgarskiego. Nie uwzględniono atoli ani pierwszéj, ani drugiéj zasady. Tak powstało najprzód księztwo bułgarskie, pozostające w stosunku idealnego lennictwa do W. Porty; obok tego powstała Rumelia wschodnia, jako prowincya obdarzona niemal zupełnym samorządem, któréj gubernator generalny niby to miał być mianowany przez sułtana, gdy w rzeczywistości nominacya jego zależała od wielkich mocarstw; nareszcie obok tych dwóch bułgarskich prowincyi, pozostawały pod bezpośrednim zarządem W. Porty niektóre okręgi bułgarskie w Macedonii, dążące z natury rzeczy do unii i mogące lada chwili wywołać jeden z tych nagłych wybuchów, które na półwyspie bałkańskim tak szybko rozrastają się do rozmiarów groźnéj—kwestyi europejskiéj.

Nikt, nie wyjąwszy nawet samych twórców traktatu berlińskiego, nie wątpił, że rychléj czy późniéj sztuczny rozdział pomiędzy Bułgaryą a Rumelią tak samo upadnie, jak nie ostały się przepi-

sy traktatu paryzkiego, dotyczące rozdziału pomiędzy Mołdawią a Wołoszczyzną.

Pięciolecie rządów pierwszego zamianowanego przez W. Portę, w porozumieniu z wielkiemi mocarstwami, gubernatora-generalnego baszy Aleko czyli księcia Vogoridesa,—tego samego, który w r. 1877 z swéj posady ambasadora otomańskiego w Wiedniu, pewnego dnia nagle znikł bez pożegnania się, a raczéj uciekł—upłynęło w Rumelii śród nieustannych zatargów wewnętrznych, zwłaszcza, że ambitny książę, marzący sam o mitrze bułgarskiéj, czasami popierał ruch unionistyczny i przyjmował gościnnie emigrantów bułgarskich, jak np. dzisiejszego prezesa gabinetu bułgarskiego Karawelowa. Dnia 7-go maja r. 1884 kandydat rosyjski Krestowicz, czyli Gawril basza, w miejsce ks. Vogoridesa zostaje mianowany generalnym gubernatorem. Przy wyborach do sejmu krajowego, w październiku roku tegoż, zwycięża tak zwane konserwatywne, ale unionistyczne stronnictwo; na 36 wybranych posłów (10 mianował rząd), tylko 3 Greków i 1 Turek są unii przeciwni. Rząd rumelijski w listopadzie zawiera z księztwem bułgarskiém traktat handlowy, znoszący prawie zupełnie cło od towarów, wprowadzanych z księztwa, a tém samém niweczący cały system celny Turcyi. Wreszcie 15 grudnia gubernator Krestowicz do rządu powołuje samych znanych pan-bułgarów. To też ruch unionistyczny, popierany z góry, stanowczo się wzmaga. Na początku r. b. odbywają się zgromadzenia ludowe, domagające się unii. Do gabinetów wielkich mocarstw nadchodzą z Rumelii prośby o zjednoczenie narodu bułgarskiego.

Oprócz idealnych względów narodowych, inne całkiem praktyczne składają się na to, aby rumeliotom obrzydzić porządek, ustanowiony przez kongres berliński. W trzy dni przed wybuchem powstania, 15 września „Makedoński Glas“ tak opisywał położenie w Rumelii: „Nieszczęśliwy kraj ten pomimo swego oswobodzenia, pozostał areną samowoli i gwałtu. Bywa rządzony jak folwark, wydzierżawiany na 5 lat. Właścicielem jest sułtan, dzierżawcami gubernator i stado urzędników. Gospodarują tém bezwzględniéj, ponieważ wiedzą, że kontrakt dzierżawy niepewny, a rychléj czy późniéj folwark przejdzie w inne ręce. Każdy więc śpieszy łowić ryby w niewodzie i zaoszczędzić zawczasu sporą sumę na smutne czasy, gdy nie będzie Rumelii, a Płowdiw stanie się prostą prefekturą z dwoma trybunałami. Jakby to było okropnie, gdyby wtedy nie mogli sobie wybudować domów, upiększać willi, rozszerzać swych młynów i sprowadzać mebli z Wiednia!

„Lud, obarczony podatkami, wie doskonale, że kraj jest tylko przytuliskiem dla urzędników i że jedynie dla ich zbogacenia istnieje. Któż dziś posiada najpiękniejsze pola i łąki, lasy, młyny i wille baszów i bejów? Urzędnicy. Kto sobie przywłaszczył dwa lub trzy pałace baszów? Urzędnicy. Kto z kas krajowych pobiera funt turecki po 100 piastrów, a wydaje go po 140? Urzędnik. Czyi

synowie nie są pociągani do służby wojskowéj, pod pozorem słabych płuc i delikatnego ciała? Synowie urzędników. Kogo wybierają zawsze do sejmu i kto od chwili powstania Rumelii nie płacił podatków? Znowu urzędnicy. Nieszczęsna Rumelio! Ale uspokójmy się! Właśnie ci urzędnicy, którzy najusilniéj protestują przeciwko unii, sprowadzą koniec Rumelii a unia ich zniszczy. Kraj nasz nie może utrzymać tego legionu urzędników. Gdyby oni raz stanęli w froncie i zaatakowali wojsko nasze, to ono musiałoby ustąpić. Mamy generalnego gubernatora, którego płaca równa się dochodom małego sułtana. Pobiera on rocznie 3,000 funtów (50,000 fr.), nadto 1,000 funtów na reprezentancyą, a z innemi emolumentami razem 5,000 funtów. Mamy 6 dyrektorów czyli wezyrów, którzy urzędownie pobierają 50 funtów miesięcznie, a nieurzędownie—Pan Bóg wie ile. Po dyrektorach następuje legion sekretarzy, podsekretarzy, ekspedytorów i t. d. To dotyczy tylko Płowdiwa. W prowincyi mamy 6 prefektów z miesięczną płacą 25—30 funtów, każdy z nich ma pod sobą dwóch radców, którzy tylko raz w miesiąc zjawiają się w biurze, aby odebrać płacę; daléj sekretarza, jeszcze 5 lub 6 urzędników i mnóstwo różnych komisyi. Dodajmy 28 podprefektów, cały szereg trybunałów z sędzią i pół tuzinem kancelistów, daléj korpus inżynierów, którzy przez 5 lat nie wybudowali ani jednego sążnia drogi, lecz przeciwnie pozwolili zapaść się zbudowanym przez turków drogom. Dokądże nas zawiedzie ta zgraja głodnych urzędników? Kraj nasz mały, tak mały, że jak to mówi lud, ani osioł nie może się w nim przewrócić. Na każdy niemal dom przypada urzędnik. W całym kraju panuje głód a kataster, pożyczka i lichwa, lud płaci, biedoli się i milczy. Czy to można znieść? Zaiste zabawny to kraj, ta Rumelia. Za rządów tureckich dzisiejsza Rumelia, t. j. sandszaki Płowdiwa i Sliwna płaciły mniéj więcéj tyle, ile dziś pobierają urzędnicy jednego miasteczka Tatar-Basardziku. Pierwszą osobą wtedy był musetazif, który jednak nie pobierał 5,000 funtów, jak gubernator dzisiejszy, lecz 200—300 funtów“ i t. d.

Jeremiada powyższa kończy się zapewnieniem, że jedynie unia zdoła zbawić kraj i uwolnić lud od téj plagi. Chociażby „Głos macedoński“ był bardzo przesadził, to w każdym razie łatwo sobie wyobrazić, że w podobnych stosunkach nie było trudno podburzyć ludu rumelijskiego do zamachu na rząd i na system, uważany jako źródło złego. To też, kiedy partya ruchu, pozostająca w ścisłych stosunkach z p. Karawelowem, w sierpniu wezwała ludność do odmówienia podatków, hasło to padło na urodzajną rolę. Liczne oznaki zapowiadały wybuch powstania, tylko, jak to zwykle bywa, rząd nie zdawał się mieć wyobrażenia o niebezpieczeństwie.

Już w marcu r. b. powstał komitet tajny celem przyspieszenia unii [1]). Na czele stanął Zachary Stojanow, redaktor „Borby,“

[1]) Z pamiętnika jednego z członków tajnego komitetu. —Komitet ten

dziennika najbardziéj rozpowszechnionego w Rumelii. Ostrzeżenia dzienników urzędowych, że stosowna chwila do zjednoczenia nie nadeszła jeszcze, i zapewnienia konsula rosyjskiego Sorokina (pozostającego w ścisłych stosunkach z gubernatorem Krestowiczem), że Rosya na teraz nie może uczynić nic dla bułgarów i potępia ruch unionistyczny, nie zdołały już powstrzymać go. Latem główną kwaterę komitetu tajnego przeniesiono do odległéj o milę od Płowdiwa wioski Dennen-Dere. Wybrano to miejsce dla tego, ponieważ tam szefowie stronnictwa rządowego, dyrektorowie Bobczew, Madszarow, Kakanow, przebywali na letniém pomieszkaniu i dla tego uważano to miejsce jako najbezpieczniejsze.

Na przypadek powstania, które przygotowywał tajny komitet, najwięcéj obawiano się tak zwanych Pomaków, mieszkających w górach Rodopy, przydzielonych wprawdzie przez traktat berliński do Rumelii wschodniéj, ale nie uznających rządu rumelskiego, chociaż także W. Porcie nie płacili podatków. Ośmnaście wielkich wsi pomackich mogło łatwo z powstania skorzystać, aby z swéj strony wszcząć ruch anti-bułgarski. Atoli w sierpniu Stojanow udał się osobiście do naczelnika pomaków Achmeda agi i zawarł z nim układ, w którym pomakom przyznano zupełny samorząd, za co Achmed przyrzekł zachować się neutralnie. Następnie naznaczono powstanie na 16 września starego kalendarza. Jednakże nie można było dłużéj utrzymać spisku w ukryciu [1]). W powiatach Panurgiszcze, Golemo Konare, Czirpusz i Konusz wszczęły się ruchy powstańcze. Dnia 13-go września gubernator Krestowicz, po dłuższym pobycie w Carogrodzie, gdzie naturalnie rządowi tureckiemu dał najbardziéj uspakajające zapewnienia, powrócił do Płowdiwa, przyjmowany na dworcu i w katedrze z wszelkiemi oznakami oficyalnego zapału i wiernopoddańczéj lojalności. Rząd postanowił teraz chwycić się środków ostrzejszych. W nocy 18 września zamierzano uwięzić 80 przywódców ruchu. Celem ujęcia Stojanowa, który wtedy przebywał w powiecie bazardszickim, wysłano oddział żandarmów. Kiedy dnia 17 września nadeszła wiadomość, iż prefekt płowdiwski Dimitrow, wysłany do Golemo Konare celem przywrócenia porządku, został tam uwięziony przez powstańców, rząd uważał to jako wymysł opozycyi, aby zaniepokoić umysły. Tymczasem zbliżała się chwila stanowcza. Przywódcy ruchu zgromadzili się w wymienionéj wiosce Golemo Konare, oddalonéj o 1½ mili od Płowdiwa. Po uwięzieniu prefekta i żandar-

---

już w marcu ogłosił odezwę, w któréj wzywał ludność do odmówienia podatków i do przygotowania się do powstania.

[1]) P. Karawelow w pierwszych dniach października oświadczył korespondentowi „Timesa,“ że powstanie miało wybuchnąć na wiosnę przyszłego roku, że jednak wybuchło wskutek nieprzewidzianego wypadku (uwięzienie prefekta Dimitrowa).

mów, powstańcy poświęcili trzy chorągwie i w nocy z 17-go na 18-go września wyruszyli do stolicy.

„Na czele — opowiada świadek naoczny — jechało 16-to letnie dziewczę, Nedelja Stojanow, siostra znanego redaktora „Borby.“ O północy majorowie Filow, Nikołajew i Rajczo udali się do koszar i zebrali swe oddziały. Kapitan Sokolow skłonił żandarmeryą do przejścia na stronę powstania. Kiedy powstańcy z włościanami nadeszli o $4^1/_2$ z rana przed „konak“ gubernatora, połączyła się z nimi milicya i żandarmerya. Pikieta żandarmeryi obsadziła dworzec kolei żelaznéj, oddział piechoty zajął urząd telegraficzny w mieście. Wkraczając do dziedzińca „konaku,“ powstańcy wystrzelili na znak, poczém z wszystkich wież zachuczały dzwony. Wymienieni majorowie odluzowali straże w pałacu, a panna Stojanow, uzbrojona w rewolwer i pałasz, dotarła do sypialni Krestowicza i oświadczyła mu w imieniu narodu, że jest uwięzionym.

„Komendant milicyi rumelijskiéj, generał Drygalski (od 5-go kwietnia r. 1884), o godzinie 3-éj z rana nadszedł do pałacu gubernatora. Spotkawszy w drodze kompanią, która miała się znajdować w obozie pod Płowdiwem, zapytał kapitana, z czyjego rozkazu tu przybył? Kapitan oświadczył generałowi, że go uwięzi i wezwał go do ustąpienia. Gdy generał nie ruszał się z miejsca, kapitan rzekł, że da rozkaz strzelania. Potém generał Drygalski usiłował inną stroną dostać się do konaku. Przy téj sposobności padł wystrzał, który jednak chybił celu. Wreszcie uwięziono generała w domu sztabu.

„Tymczasem major Filow przed pałacem przemówił do wojska, obwołał unią z Bułgaryą, uwolnił żołnierzy od przysięgi, złożonéj sułtanowi, i wezwał ich do złożenia przysięgę wierności Aleksandrowi I-u, władcy zjednoczonéj Bułgaryi. Skończył słowami: „Precz z Rumelią, niech żyje zjednoczona Bułgarya, niech żyje Aleksander I-szy,“ na co wojsko odpowiedziało „hurra“ i „przysięgamy,“ a kapela wojskowa zagrała hymn narodowy: „Szumi Maryca.“ Następnie odczytano odezwę tajnego komitetu do narodu bułgarskiego. Niebawem nadjechała galowa kareta gubernatora. Gdy p. Krestowicz ubrany w szary paletot, z twarzą zarumienioną, prowadzony przez pannę Stojanow, ukazał się na progu, odezwały się przeraźliwe sykania. Na zapytanie gubernatora, co to wszystko znaczy, major Nikołajew odpowiedział: „Życie wasze jest w bezpieczeństwie, poddajcie się woli ludu.“ Zmuszono potém Krestowicza wsiąść do pojazdu, obok niego z dobytym pałaszem zasiadła bułgarska amazonka, i tak wywieziono ex-gubernatora do księztwa. O godzinie 6-éj partya ruchu zebrała się w ratuszu i wybrała tam rząd tymczasowy, do którego weszli jako przewodniczący dr. Strański, były dyrektor finansów, dr. Czomakow, majorowie Nikołajew, Filo, Rajczo, Matkorow, Joachim Gruew, K. Pew, K. Kalczow, Z. Stojanow, D. Jurukow, G. Dauczow, A. Samakowec i T. Benew. Równocześnie major Nikołajew został mianowany dowódcą wojska, major Rajczo komendantem Płowdiwa, kapitan So-

kolow (w miejsce baszy Drygalskiego) dowódcą żandarmeryi. Dr. Strański wysłał depeszę do księcia Aleksandra, od którego po południu nadeszła z Warny odpowiedź, że przyjmuje unią."

Nazajutrz książę Aleksander przybył do Zofii, zwołał sejm bułgarski na 23-go września, obwołał uruchomienie wojska, dnia 22-go września stanął w Płowdiwie i ztamtąd rozesłał do wielkich mocarstw okólnik téj treści: „Ponieważ dawna prowincya Rumelia wschodnia przestała istnieć, lud na mocy powszechnego głosowania obwołał mnie swym księciem. Mieszkańcy księztwa Bułgarskiego jednomyślnie wezwali mnie do przyjęcia téj godności. Uwzględniając święty mój obowiązek wobec narodu mego, przyjąłem i obwieściłem to narodowi bułgarskiemu. Przybywszy do Płowdiwa i objąwszy rząd, oświadczam jak najuroczyściéj, że unia bułgarska dokonała się bez nieprzyjaznéj intencyi względem cesarskiego rządu otomańskiego, którego uznaję zwierzchnictwo. Przyjmuję na siebie odpowiedzialność za spokój dwóch prowincyi i za bezpieczeństwo mieszkańców bez różnicy szczepu i wyznania. Udaję się do W. Excellencyi z prośbą o uznanie nowego stanu rzeczy i wstawienie się u J. C. M. Sułtana, aby potwierdził unią celem zapobieżenia wylewowi krwi, bo naród gotów aż do śmierci bronić czynu dokonanego. Alexander."

Następnie książę mianował naczelnika rządu narodowego, d-ra Strańskiego, swym komisarzem na Rumelią, majora Nikolajewa potwierdził na urzędzie komendanta milicyi. Równocześnie minister wojny księztwa Bułgarskiego, pułkownik rosyjski, książę Kantakuzen i wszyscy służący w armii bułgarskiéj oficerowie rosyjscy zażądali dymisyi. Natomiast generalny konsul angielski Fawcett i attaché wojskowy Trotter po długich rozmowach z księciem Aleksandrem i d-rem Strańskim, wyjeżdżają do Carogrodu, aby tam poprzéć żądanie unionistyczne. Dnia 23-go września sejm bułgarski uchwala kredyt 5 milionów na wszelkie potrzeby, petycyą do N. Cesarza rosyjskiego, aby oficerom rosyjskim pozwolił pozostać w szeregach bułgarskich, tudzież wysłanie deputacyi do Cesarza Rosyi, bawiącego w Kopenhadze. Tegoż dnia książę Aleksander do pułku rezerwistów, odchodzącego nad granicę turecką, przemawia w te słowa: „Moi waleczni! Nie mamy nic przeciwko turkom, ale gdyby usiłowali przeszkodzić unii, będziemy z nimi walczyć na zabój, a wtedy zawsze mnie zobaczycie w pierwszym szeregu."

Na tém kończy się pierwszy akt zatargu bułgarskiego. Następne odgrywają się na konferencyi stambulskiéj, w delegacyach austryacko-węgierskich, wreszcie na polu walki z serbami. W owych dniach po wybuchu powstania w Płowdiwie, miałem długą rozmowę z byłym ministrem oświaty bułgarskim, d-rem Konstantym Ireczkiem. Jest to syn byłego austryackiego ministra oświaty, Józefa Ireczka (1871), który jako minister podpisał dyplom fundacyjny krakowskiéj Akademii umiejętności i od dawna składa dowody swéj szczeréj dla nas przyjaźni. P. Konstanty Ireczek, urodzony w r. 1844,

już w r. 1876 ogłosił „dzieje Bułgaryi,“ uznane powszechnie za najlepsze dzieło o tym przedmiocie. W r. 1879 był powołany do Bułgaryi celem zorganizowania, a raczéj utworzenia szkół nowopowstałego księztwa, późniéj piastował urząd ministra oświaty, obecnie zaś jest rzeczywistym profesorem dziejów powszechnych na wszechnicy prazkiéj.

— Czy Panu także—zagadnąłem b. ministra bułgarskiego—wypadki 18 września zgotowały niespodziankę?

— Nie było łatwo przewidziec dnia katastrofy, odparł dr. Ireczek, była ona jednak nieunikniona. Rumelia wschodnia, utwór kongresu berlińskiego, nie miała żadnéj racyi bytu. Był to wymysł fantastyczny, nie oparty ani na historycznych, ani na etnograficznych podstawach. Nadto—nadany jéj statut organiczny dostarczał powodu do ciągłych zatargów. Według statutu, sejm uchwalał budżet, ale sułtanowi przysługiwało prawo odrzucenia go. Otóż na 6 budżetów przedłożonych sułtanowi przez rząd rumelijski, jeden tylko został potwierdzony, inne ugrzęzły w biurach carogrodzkich i trzeba więc było rządzić na mocy budżetów tymczasowych. Wreszcie inna jeszcze okoliczność czyniła zmianę statutu konieczną. Skoro koléj żelazna z Białogrodu, względnie Niszu do Zofii i Plovdiwa będzie wykończona, zmienią się wszystkie stosunki handlowe w tych stronach. System ceł tureckich, tudzież podatku rumelijskiego traci wtedy wszelką podstawę i traktat berliński już z tego względu musiałby uledz zmianom.

— Cóż jednak przyśpieszyło katastrofę?

— Oczywiście zabiegi p. Karawelowa. Dzisiejszy prezes gabinetu bułgarskiego Petko [1]) Karawelow urodził się około r. 1840, w miasteczku Koprisztícy w Bałkanach po stronie rumelijskiéj. Ojciec jego, Stojczo Karawela, był jednym z tych „Beglikczyców,“ którzy się zbogacili jako poborcy podatków. Petko spędził lata dziecięce w górach z stadami ojca, po wojnie krymskiéj z starszym bratem Ljubenem był oddanym do szkół w Moskwie, gdzie następnie był profesorem w szkole wojskowéj. Obaj bracia wywierali główny wpływ na organizacyą spisków w Bułgaryi. Starszy Ljuben nie doczekał się owoców swéj pracy, bo w r. 1879 umarł w Ruszczuku. Petko w czasie wojny rosyjsko-tureckiéj był mianowany cywilnym gubernatorem Widdynia, następnie w zebraniu, obradującém w Tirnowie nad konstytucyą, jako przywódzca liberalnéj większości, przeparł uchwalenie wolnomyślnéj konstytucyi na wzór belgijskiéj, w r. 1880 został prezesem gabinetu i na téj posadzie utrzymał się 13 miesięcy...

— Co w ówczesnych stosunkach bułgarskich oznaczało nadzwyczajną trwałość!

---

[1]) Imię Petko a raczéj Petka, pochodzi od ś-téj Praksedy, patronki Tyrnowa; a zatem Karawelow nosi imię Petko, jak u nas czasem mężczyznom nadaje się imię Maryan.

— Tak jest, bo przedtém odbywały się przesilenia ministeryalne co kilka miesięcy. Gdy w kwietniu r. 1881 książę Aleksander dokonał zamachu stanu i zawiesił konstytucyą, p. Karawelow przedniósł się do Rumelii, był wybrany burmistrzem Płowdiwa i zbliżył się do gubernatora księcia Vogoridesa, którego usiłował pozyskać dla unii. Wtedy istotnie zanosiło się na zjednoczenie bułgarów nie pod egidą księcia Aleksandra, lecz księcia Vogoridesa. Po przywróceniu konstytucyi bułgarskiéj w wrześniu r. 1883, Karawelow powrócił jednak do Zofii, stanął na czele stronnictwa radykalnego i w lipcu r. 1884 został ponownie prezesem gabinetu.

Jest to mąż nizkiego wzrostu, chudy, o czarnych, kędzierzawych włosach i śniadéj cerze twarzy. Znamionuje go nadzwyczajna, niemal ekscentryczna ruchliwość. Na ulicy Zofii zdaleka poznać go można po żywém machaniu rękami i ubiorze z białego płótna latem, z gróbego, żołtego sukna bułgarskiego, zimą. Jak ubiór, tak i pomieszkanie jego jest nader... nader skromne. Przy głównéj ulicy posiada parterowy, żółto pomalowany domek o 3 czy 4-ch pokojach, urządzonych po spartańsku, tak, że tam nie ma ani kanapy. Żona jego jest ładna, wychowana w Rosyi bułgarka z Ruszczuku, która się téż zajmuje literaturą i niedawno przełożyła na język bułgarski angielski podręcznik filozofii. Karawelow czyta dzienniki angielskie i francuzkie, mówi trochę po niemiecku, ale płynnie tylko po bułgarsku i po rosyjsku. W każdym razie pomiędzy bułgarskimi „mężami stanu“ jest jednym z niewielu, którzy mitują szczerze literaturę i naukę, i zachęcają swych rodaków do poważnych studyów.

— Przedewszystkiém jednak pałał żądzą zjednoczenia bułgarów?

— Tak jest, a w swym patryotycznym zapale nie oglądał się na nikogo. P. Karawelow jest to fanatyk, gotów podburzyć nie tylko Rumelią lecz także Macedonią, byle dopiąć celu swego. Nieprzystępny żadnym przestrogom i napomnieniom dyplomatycznym [1]).

— A książę Aleksander?

---

[1]) Paryzki dziennik „Tempa.“ w numerze z 1-go października pod tytułem „Les Origines du mouvement bulgare,“ ogłosił bardzo ciekawe szczegóły o ruchu unionistycznym w księztwie. Na czele ruchu tego od r. 1880 stał „komitet wykonawczy,“ którego członkami byli Karawelow, Slawejkow, Zankow, Suknarow, Stoiszow i francuz inżynier B..., „który bawiąc wtedy przypadkiem w Bułgaryi, był uproszony, aby w połączeniu z dwoma pierwszymi członkami komitetu kierował ruchem, dotyczącym rewindykacyi terytoryalnych i swobód konstytucyjnych.“ Dalej umieszczony manifest komitetu z 17-go marca r. 1880, rozesłany do wszystkich rządów, aby wykazać konieczność unii. W numerze tegoż dziennika z 4 października czytamy: „P. Karawelow nie nadrabia miną; jest mały, chudy, brzydki i nosi ogromną brodę i długie włosy. Po francuzku mówi z trudnością, ale odznacza się zdumiewającą czynnością (ruchliwością).“

— Ten się znajdował w trudném położeniu. W Bułgaryi większość parlamentarna domaga się, aby książę panował, ale nie rządził (le roi règne, mais ne gouverne pas) i aby zatém wykonywał wolę odpowiedzialnego ministeryum. Skoro p. Karawelow w porozumieniu z swymi przyjaciołmi w Płowdiwie wywołał wybuch ruchu unionistycznego, księciu Aleksandrowi nie pozostawało jak poprzeć go, albo zrzec się tronu.

Przypominamy w tém miejscu, że dnia 21 września książę Aleksander telegrafował do ojca swego księcia Aleksandra heskiego, mieszkającego w Darmstadzie: „Bóg sam przyszedł mi w pomoc, wyjeżdżam do Płowdiwa,“ co tłómaczą sobie tak, że położenie księcia pomiędzy ruchem unionistycznym narodu, a napomnieniami dyplomatów stało się tak przykrém, iż z radością witał gwałtowne rozwiązanie sytuacyi nieznośnéj. Dnia 17-go paźdz. „Pester Loyd“ ogłosił następującą rewelacyą, zapewniając, że ją otrzymał z poważnego źródła bułgarskiego: „P. Karawelow, pozostający w najściślejszych związkach z tajnemi komitetami, zawczasu usiłował pozyskać księcia Aleksandra dla ruchu unionistycznego. To téż nie ulega wątpliwości, że od wiosny książę Aleksander wiedział o tém, co się przygotowywało, chociaż wzbraniał się przystąpić do ruchu. Dopiéro po powrocie z Anglii, gdzie był obecny przy ślubie brata z córką królowéj angielskiéj, stawiono mu alternatywę, albo stanąć na czele ruchu unionistycznego, albo zrzec się tronu na korzyść księcia Waldemara, syna króla duńskiego. Książę Aleksander starał się przedewszystkiém zapewnić sobie poparcie Anglii, które uzyskał. Dla tego téż agent angielski Lascelles znajduje się teraz ciągle u jego boku. Przed wyjazdem do Austryi (na manewra w Pilznie) książę Aleksander oświadczył w Zofii: „Przywiozę wam podarunek“.

— Czy książę Aleksander posiada potrzebne zdolności, aby przeprowadzić wielkie dzieło?

— Niezawodnie. Wprawdzie w pierwszych latach swego panowania zanadto radził się drugich, i tak śród bardzo sprzecznych rad nie zawsze odkrywał drogę właściwą. Zważywszy jednak, że wszedł w całkiém obce i nieznajome sobie stosunki, nie można się temu dziwić. W końcu stał się popularnym w Bułgaryi, wszystkich swych poddanych przewyższa o całą głowę a w kraju, gdzie siła fizyczna znaczy tak wiele, jest to dla władcy korzyść nie mała. Mówi téż już dość płynnie po bułgarsku, choć z tym samym cudzoziemskim akcentem, co oficerowie rosyjscy z prowincyi nadbałtyckich.

— Czy pan nie sądzisz, że gubernator Krestowicz działał w porozumieniu z spiskowymi?

— Bynajmniéj, bynajmniéj! P. Krestowicz, którego znałem, gdy był dyrektorem spraw wewnętrznych Rumelii, jest to fanatyk legalności. Jakkolwiek odznaczył się jako pisarz bułgarski na polu prawniczém, spędził całe życie w służbie tureckiéj. Gdy książę Vogorides był gubernatorem wyspy Samos (obdarzonéj szeroką auto-

mią), ale przemieszkiwał w Carogrodzie lub jako poseł W. Porty w innych stolicach, p. Krestowicz był rzeczywistym rządzcą wyspy. Zamianowany generalnym gubernatorem Rumelii wschodniéj, książę Vogorides zabrał go ze sobą jako sekretarza generalnego do Płowdiwa. Późniéj stał się dyrektorem, czyli ministrem spraw wewnętrznych i na téj posadzie miał sposobność zaznajomić się z konsulami obcych mocarstw, co mu przysłużyło się do nominacyi na gubernatora. Jest to człowiek uczciwy, nie zdolny dopuścić się zdrady, ale równie niezdolny oprzeć się ruchowi rewolucyjnemu. W głowie p. Krestowicza wszystkie sprawy świata przedstawiają się w formie paragrafów prawniczych. Zamiast działać szybko, byłby z pewnością odłożył rzecz do następnego dnia, aby dokładnie zbadać paragrafy, na mocy których wypadało działać. Zresztą spiskowi nie dozwolili mu czasu do namysłu.

— Czy wystąpienie oficerów rosyjskich z armii bułgarskiéj znacznie osłabi siły zbrojne księcia Aleksandra?

— Niezawodnie, ponieważ w wojsku bułgarskiém niemal wszystkie wyższe posady znajdują się w ręku oficerów rosyjskich. Jest tam kilku zdolnych kapitanów bułgarskich, jak Nikoforew, mianowany ministrem wojny w miejsce księcia Kantakuzena, ale niedoświadczenie oficerów bułgarskich zapewne mocno się zaznaczy

— A milicya rumelijska?

— Ta znajduje się w odmiennem położeniu. Jéj oficerowie są mianowani przez sułtana, są to w większéj części rumelioci. Jest pomiędzy nimi kilku rosyan, ale ci osiedli stale w Rumelii. Jednakże i ta milicya nie jest w pogotowiu. Liczy ona w komplecie 12 batalionów, dostarczanych przez 12 okręgów Rumelii. Jednakże z każdego batalionu tylko kompania (230 żołnierzy) znajduje się pod bronią, a zatém w téj chwili rząd rumelijski rozporządza tylko około 3,000 żołnierzy...

Na tém skończyła się nasza rozmowa. Przypominamy, że to było w kilka dni po wybuchu powstania w Płowdiwie. Gdyby wtedy wojsko tureckie było bez zwłoki wkroczyło do Rumelii, byłoby z łatwością opanowało prowincyą. Ale Turcya oddawna straciła wiarę w swą przyszłość, gdy przywódzcy ruchu bułgarskiego byli ożywieni tą silną wiarą, co to „przenosi góry.“ To tłómaczy wszystko.

II. Delegacye austryacko-węgierskie.

W Wiedniu, nader wrażliwym i czułym na wszelkie drgnienia na wschodzie, wieść o przewrocie płowdiwskim, ogłoszona w wychodzących o 3-ciéj godzinie po południu dziennikach wieczornych (w sobotę 19-go września) sprawiła ogromne wrażenie. Jedni uważali przewrót, jako skutek układów kromierzyzkich, drudzy jako iskrę, która może wysadzić w powietrze całą niebezpieczną prochownię półwyspu

Bałkańskiego i wywołać pożar powszechny, wszyscy instyktownie czuli doniosłość wypadku.

„Powstanie w Płowdiwie — oświadczała „Neue Freie Presse“ w numerze niedzielnym—jest wprawdzie samorodnym owocem bułgarskim, ale zapewne nie zgotowało niespodzianki gabinetom cesarskim. Zbyt szybko nastąpiło po zjeździe w Kromierzyżu, aby nie miało się opierać na nadziei, że nie napotka na opór ze strony mocarstw najbliżéj interesowanych, i sądzimy, że książe bułgarski nie byłby się odważył przyjąć wezwania rumelijskich powstańców i stanąć na czele ruchu unionistycznego, gdyby nie był miał dobrych powodów do mniemania, że nietylko w Petersburgu, lecz także w Wiedniu i w Berlinie znajdzie opiekę“. To zdanie w pierwszéj chwili przeważało. Jednakże półurzędowy organ ministeryum spraw zagranicznych „Fremdenblatt,“ przemówił inaczéj i już tego dnia dość dobitnie zaznaczył główne rysy polityki austryacko-węgierskiéj. Unionistyczne dążenia bułgarów, oświadczył „Fremdenblatt“ niejednokrotnie zwracały na siebie uwagę kół politycznych i zmuszały je zajmować się tą kwestyą. Atoli wybuch gwałtowny, wskutek którego została obwołana unia, nastąpił tém niespodzianiéj, ponieważ wielkie mocarstwa pragnęły przedewszystkiém utrzymać traktaty, co się świeżo (w Kromierzyżu) naznaczyło nie dwuznacznie. Czyn ks. Aleksandra nie tylko mocno narusza prawo międzynarodowe, lecz jest także wyzwaniem Turcyi, jeżeli prawda, że wojsko bułgarskie ciągnie nad granicę turecką. Europa nie może potwierdzić sans façon złamania traktatów, któreby równocześnie pociągało za sobą naruszenie ustalonéj przez traktat berliński r ó w n o w a g i s i ł p o l i t y c z n y c h i n a r o d o w y c h n a p ó ł w y s p i e B a ł k a ń s k i m n a k o r z y ś ć j e d n e g o k r a j u.

Już zatém w pierwszym komunikacie rządu wiedeńskiego występuje na jaw owa teorya równowagi, w imię któréj potém król Milan serbski niefortunnie dobył oręża. Ale téż w owych dniach hr. Kalnoky aż do przesytu nasłuchał się o téj równowadze. Dnia bowiem 19-go września przybył do Wiednia król grecki, Jerzy, dnia następnego zawitali tam także wracający z Gleichenberga król Milan serbski, tudzież król Karol rumuński. Wszyscy ci monarchowie oczywiście zgodnie wygłaszali zasadę równowagi, względnie kompensat na przypadek, gdyby Bułgarya została nagle powiększona o blizko milion ludności [1]).

[1]) Zwykle liczba ludności Rumelii bywała podawana na 815,946 dusz. Atoli statystyka wschodnia, oparta na zliczeniu domów, pomnożonych przez 6 lub 7, nie jest dokładną. Gruntowni znawcy stosunków tamtejszych np. wymieniony już były minister bułgarski p. Konstanty Ireczek, podają ludność Rumelii na milion dusz. Co do księstwa bułgarskiego, liczy ono według statystyki oficyalnéj 2 miliony ludności. Serbia liczy 1,800,000 mieszkańców.. Zjednoczenie Bułgarów istotnie więc mocno naruszy równowagę.

Dnia 22 września „Neues Pester Journal“ ogłasza rozmowę swego korespondenta wiedeńskiego z pewnym wybitnym mężem stanu (Kallay?), który oświadczył: Podczas swego pobytu w Pilznie książę Aleksander odzywał się tak, że niepodobna przypuszczać, aby wtedy był wiedział o przygotowującym się przewrocie. Wypadki bułgarskie nie są konsenkwencyą, lecz przeciwstawieniem do polityki, która się naznaczyła w Kromierzyżu. Rosya wybuchem płowdiwskim została tak samo zaskoczona niespodzianie, jak Austrya i wszystkie inne mocarstwa. Zresztą powiększona Bułgarya tém prędzéj stanie na własnych nogach a nawet będzie zmuszona zbliżyć się do nas. Na teraz wszystko zależy od Turcyi. Atoli według nadeszłych z Carogrodu doniesień, rząd turecki nie zdaje się być zdolnym do akcyi spiesznéj i energicznéj. Śmiały czyn księcia Aleksandra wytworzył dla uczestników kongresu berlińskiego położenie przykre. Austrya w tym razie musi kroczyć wespół z innemi mocarstwami, ale na ich czele. Aneksya Bośnii (o czém wtedy spominały dzienniki) byłaby grubym błędem. Obecny stosunek zupełnie odpowiada potrzebom naszym. Powstanie w Płowdiwie nie może skłaniać Austryi do zmiany swéj polityki. Właściwym celem układów w Kromierzyżu było właśnie utrzymanie status quo na półwyspie Bałkańskim.

Informacye dyplomaty austryackiego były dokładne. Zamiast bowiem wysłać wojska do Rumlelii, rząd turecki dnia 23-go września przesyła wielkim mocarstwom okólnik, w którym protestuje przeciwko naruszeniu legalnego stanu rzeczy w Płowdiwie i przypomina, że według artykułu 16-go traktatu berlińskiego przysługuje W. Porcie prawo interwencyi. Wprawdzie kazuistyka dyplomatyczna mogła w téj mierze czynić pewne zastrzeżenia. Według artykułu 16-go, sułtan może wysłać swe wojska do Rumelii jedynie wskutek wezwania generalnego gubernatora. Ponieważ zaś generalny gubernator Krestowicz był wtedy uwięziony przez powstańców, przeto téż nie mógł nadesłać takiego wezwania i t. d. Ale dnia 18-go i 19-go września pono żadne mocarstwo nie byłoby zaprotestowało przeciwko wysłaniu wojsk tureckich do Rumelii. Późniéj „Nowoje Wremia“ twierdziło, że ambasador austryacko-węgierski, baron Calice, radził wyraźnie sułtanowi, aby czém prędzéj rozkazał wojsku swemu wkroczyć do Rumelii. Półurzędowe organa wiedeńskie stanowczo temu zaprzeczyły a nawet powstała kontr-plotka, że nie baron Calice, lecz p. Nelidow radził sułtanowi użyć środków dosadnich. Ale mniejsza o to! W tych pierwszych dniach zatargu, sułtan ze strony wielkich mocarstw miał ręce rozwiązane. Na szczęście dla bułgarów, nie skorzystał z téj sposobności, lecz zmienił ministeryum i obrzucał gabinety okólnikami i depeszami. To téż walna narada ministrów, która się dnia 24-go września odbyła w Wiedniu pod prezydencyą świeżo przybyłego z Węgier cesarza i króla, przygotowała się na długą i zmudną kampanią dyplomatyczną. Minister wojny hr. Bylandt poruszył nawet myśl uruchomienia dwóch korpusów, jednakże hr. Kalnoky stanowczo oświadczył,

że nie potrzeba, poczém uchwalono zwołać delegacye austryacko-węgierskie na zwykłą sesyą na 22-go października.

Tymczasem główna uwaga rządu wiedeńskiego zwracała się nie tyle na Bułgaryą, ile na Białogród, gdzie przygotowywały się widocznie ważne rzeczy. Rezydent austryacko-węgierski u dworu tamtejszego, hr. Khevenhüller, dnia 25-go września przybył do Wiednia, gdzie zabawił do 28. Jak się dowiedziano później, gdy nazwisko hrabiego Khevenhüllera stało się głośném, przedłożył on wówczas cesarzowi i królowi memoryał, w którym wykazywał argumentami przekonywającemi, że jeżeli status quo ante nie będzie szybko przywrócone w Rumelii, król Milan niezawodnie będzie zmuszony rozpocząć wojnę. Nie mamy pretensyi przenikania tajnych instrukcyi dyplomatów austryacko-węgierskich, choć łatwo się domyśleć, że hr. Khevenhüller miał królowi serbskiemu odradzać wojnę. Co do pierwszych publicznych oświadczeń rządowych były one, jak zwykle w ważniejszych chwilach, wygłoszone w sejmie węgierskim.

Gdy na posiedzeniu dnia 1-go paźd. posłowie Szilagyi, Helfy i Iranyi wnieśli cały szereg interpelacyi, dnia 3 października prezes gabinetu p. Tisza odpowiedział: „Zjazd w Kromierzyżu był bezpośrednićm następstwem zeszłorocznego zjazdu monarchów w Skierniewicach. Gdy Cesarz Aleksander III w najuprzejmiejszy sposob objawił życzenie odpowiedzenia na grzeczność uprzedzającą naszego Najjaśniejszego Pana w roku zeszłym, naturalnie nie mogło to być przyjęte inaczéj, niż równie uprzejmą serdecznością; ale ani pomiędzy monarchami samymi, ani pomiędzy obecnymi tam ich ministrami nie przyszły do skutku żadne umowy. Ich Cesarskie Moście utwierdziły i ponowiły objawy osobistéj przyjaźni, oraz życzenie, aby ich monarchie i w przyszłości w najlepszym między sobą pokoju żyły. Zarazem z obu stron wyrażono toż samo życzenie, o którém na przeszłorocznym zebraniu delegacyi dane były najkompetentniejsze objaśnienia, a mianowicie, że obie strony będą się starały o utrzymanie pokoju, wedle możności na podstawie status quo.

„Co do aneksyi Bośnii i Hercegowiny, albo co do połączenia Rumelii Wschodniéj z Bułgaryą, o przedmiotach tych całkiem nie wspominano nawet. P. Szylagyi pytał jednak także, azali pomiędzy trzema Cesarstwami nie przyszło do układu co do tego, jakiéj polityki trzymać się należy w obec dążeń przemiany, przeciwnych postanowieniom traktatu, który to układ mógłby dać Bułgarom i Rumeliotom powód do ich wystąpienia. (Szylagyi woła: W Skierniewicach!). Czy tam nie przyszło do układu? Co do Skierniewic już w roku zeszłym była dana odpowiedź, a ja pana posła upewniam i teraz stanowczo, że żaden układ do skutku nie przyszedł. Ale z najzupełniejszą szczerością powiem panu posłowi to, z czego nigdy nie robiliśmy tajemnicy, że nigdy nie byliśmy w zetknięciu ani z Bułgarami, ani z Rumeliotami, co właśnie dla tego, że nie robiliśmy z rzeczy żadnéj tajemnicy, mogło ewentualnie dojść i do ich wiadomości tak-

że, jakkolwiek nie sądzę, by ich mogło zachęcić do wystąpienia. Otóż mówiliśmy zawsze otwarcie i jasno: że jeżeli tam nastąpi jaki wewnętrzny ruch, to my uznajemy wynikające z traktatu prawo Turcyi do utrzymania i przywrócenia status quo wszelkiemi, jakie za właściwe uzna, środkami siły, i że Turcyi w tém przeszkadzać nie będzie. Jeżeli to nie nastąpi, w takim razie będziemy uważali za nasz obowiązek wspólnie ze wszystkiemi państwami podpisanemi na traktacie berlińskim, by stosunki wedle możności zostały uregulowane odpowiednio do traktatu, by uniknięno powszechnego starcia. Albowiem według naszego zdania i według ducha traktatów, mocarstwa podpisane mają obowiązek pogodzić z berlińskim traktatem położenie, wytworzone wbrew temu traktatowi, oraz pogodzić je z zaprowadzoną przez tenże traktat na półwyspie Bałkańskim równowagą. Nie kryliśmy się wcale z tém, że wrazie takiego wewnętrznego ruchu, powtarzam raz jeszcze i przy zastrzeżeniu prawa tureckiéj potęgi, nie uważamy żadnego mocarstwa za powołane do mieszania się w to—zbrojną ręką. Czy p. poseł jest z tego zadowolony, nie wiem; ale to wiem z pewnością, że gdybym z tego miejsca powiedział, iż postanowiliśmy wmieszać się w tę sprawę zbrojnie, to w kraju tym nie znalazłoby się ani stu ludzi, którzyby się na to zgodzili

„Że w Bułgaryi i Rumelii istnieją dążności ku połączeniu, o tém wiedział tak dobrze minister spraw zagranicznych, jak ja sam, równie jak każdy, ktokolwiek tameczne wypadki pilnie śledził. W roku ubiegłym więc, gdy ruch ten zaczął na wierzch występować, wszystkie mocarstwa wystąpiły za utrzymaniem status quo. Lecz o tém, co w skutek spisku nastąpiło w dniu 18-m września na drodze rewolucyjnéj, o tém nie wiedzieliśmy ani my, ani żadne europejskie mocarstwo. Naczelnicy tylko małą liczbę osób z zaufaniem wciągnęli w zmowę, a chwilowe powodzenie tém łatwiéj mogli osiągnąć, że na prowincyi nikt im nie stawił oporu. Ponieważ jednak postępek ten zawiera w sobie otwarte zdeptanie prawa i naruszenie traktatów, natychmiast otwarcie to oświadczyliśmy. Jednocześnie też nasze ministeryum spraw zagranicznych z równą otwartością oświadczyło się za prawem sułtana, że może wszelkiemi środkami status quo przywracać. Turcya miała zatém najzupełniéj wolną rękę. Rząd nie ma żadnéj wiadomości, by którekolwiek z mocarstw chciało wystąpić z granic neutralności, gdyby pomiędzy Bułgaryą a Turcyą przyszło do starcia.

„Zresztą mocarstwa, podpisane na traktacie berlińskim, natychmiast jak najbardziéj stanowczo wystąpiły, by ruch nie rozszerzył się daléj. Pod tym względém otrzymały uspakajające zapewnienia. Ze swéj strony mocarstwa zgodziły się, by ich posłowie zebrali się w Konstantynopolu na konferencyą przygotowawczą... Co do pytania, ażali monarchia z tych wypadków nie zechce korzystać ku aneksyi Bośnii i Hercegowiny, albo posunąć się naprzód na terytoryum tureckiém (do Saloniki), mogę pp. posłów zapewnić, że tego zamiaru nikt nigdzie

nie ma i że w ogóle zamiarem naszym być nie może, z powodu podobnego zajścia zmieniać nasze położenie w Bośnii i Hercogowinie, a tém mniéj, przez posunięcie się naprzód na terytoryum tureckiém, powiększać zamieszanie i powikłanie.

„Lecz pp. posłowie znajdą to naturalném, że wrazie gdyby pomimo wszystkich naszych usiłowań, nastąpiły wypadki, dziś jeszcze nieprzewidziane, któreby zagroziły żywotnym interesom monarchii, utrzymamy i utrzymać musimy wszelką swobodę działania.“

Tego samego dnia, kiedy w sejmie peszteńskim prezes gabinetu węgierskiego w ten sposób wyjaśniał stosunek rządu austryacko-węgierskiego do zatargu bułgarskiego, w Carogrodzie miało się odbyć pierwsze posiedzenie ambasadorów wielkich mocarstw, czyli nie wiemy już któréj z rzędu „réunion,“ z których żadna nie zapobiegła rozszerzeniu się pożarów na półwyspie Bałkańskim. Ambasadorowie zeszli się atoli dopiero nazajutrz, w niedzielę 4-go października. Tymczasem jednocześnie z mową p. Tiszy nadeszła do Wiednia mowa króla Milana z 2-go października. Tak samo jak p. Tisza, król serbski oświadczał, że trzeba dążyć albo do przywrócenia dawniejszego stanu rzeczy, albo do zabezpieczenia równowagi na półwyspie Bałkańskim—oczywiście przez uzyskanie dla Serbii odpowiednich kompensat za nagłe zwiększenie Bułgaryi. Od samego początku pod tym względem istniała zupełna harmonia pomiędzy rządem białogródzkim a wiedeńskim.

Jaknajdobitniéj wyjaśniły to obrady delegacyi austryacko-węgierskiéj. Od mowy p. Tiszy aż do otwarcia tego najwyższego ciała parlamentarnego do kontroli polityki zagranicznéj rządu wiedeńskiego, nie zaszedł żaden ważniejszy wypadek: namnożyły się tylko oznaki, świadczące o tém, że i urzędowa polityka Rosyi stanowczo potępiała przewrót rumelijski. I tak depesza p. Giersa, wręczona księciu Aleksandrowi dnia 3 paźdz. przez rosyjskiego rezydenta p. Kojandra, brzmiała groźnie [1]). Późniejsza depesza p. Giersa do tegoż rezydenta (9 paźdz.) oświadczała: „N. Cesarz przyjął deputacyą bułgarską (w Kopenhadze) i zapewnił ją, że uczucia Rosyi względem bułgarów nie zmieniły się, pomimo świeżego zachowania się rządu bułgarskiego. Myśl zjednoczenia bułgarów łatwo zrozumieć, Rosya także życzyła jéj sobie; ale N. Cesarz nie pochwala środków, użytych przez Buł-

[1]) „Comme vous avez déclaré que vous étiez entraîné par le mouvement populaire et que vous n'aviez ni connaissance de ce qui s'est passé ni part aucune dans ces événements, j'ai le devoir de vous faire connaître que néanmoins le gouvernement du tsar regrette la politique aventureuse dans la quelle vous avez été entraîné, politique qui ne peut que tourner au déshonneur des véritables intérêts de la Bulgarie. Le gouvernement du tsar prendra des mesures en vue de prévenir le retour de telles suprises.“

garyą. Zachowanie się Bułgaryi stawia kraj ten w położeniu krytycznem; rząd cesarski uczyni wszystko, aby ją ocalić z obecnego niebezpieczeństwa, ale ku temu potrzeba, aby bułgarowie zostali spokojni, aż sprawa będzie ostatecznie uporządkowana.“ Przeciwnie coraz wyraźniéj zaznaczało się przyjazne usposobienie Anglii dla sprawy bułgarskiej. Dnia 7 paźdz. margrabia Salisbury w Monmuth wygłosił mowę, w któréj oświadczył, że rząd Angielski wprawdzie pragnie utrzymać państwo tureckie, ale gdzie na półwyspie bałkańskim istnieją narody żywotne, trzeba je w interesie wolności i niepodległości wzmocnić. Swego czasu przepisy kongresu berlińskiego co do Bułgaryi były potrzebne; jeżeli nadal rozwinie się silnie jednolity naród bułgarski, będziemy to jedynie zawdzięczali owemu kongresowi. Przywódzca zaś opozycyi, p. Gladstone, w listach do prof. Laveleya i do rezydenta bułgarskiego w Londynie oświadczał, że pragnie żywo unii bułgarskiéi. Prasa angielska odzywała się w tym samym duchu, a ambasador angielski na zebraniu reprezentantów wielkich mocarstw w Carogrodzie opiera się stanowczo przywróceniu status quo ante, popierany pośrednio przez ambasadorów Francyi i Włoch. Wreszcie dnia 21 paźdz. rząd turecki proponuje zwołanie formalnéj konferencyi.

W takich okolicznościach dnia 24 paźdz. cesarz i król Franciszek Józef zagaił w Wiedniu zwykłą sesyą delegacyi spólnych. W odpowiedzi na przemowy marszałków dwóch delegacyi, kardynała Haynalda i hrabiego Falkenhayna, cesarz oświadczył: „Stosunki monarchii do mocarstw zagranicznych są najprzyjaźniejsze. Odwiedziny Cesarstwa rosyjskich w Kromierzyżu okazały się cennem świadectwém trwałości obfitego w błogie skutki a pełnego wzajemnéj ufności stosunku między władcami trzech wielkich sąsiednich mocarstw, którego znaczenie dla pokoju Europy już przed rokiem wam zapowiadałem. W usilnych dążeniach naszych, aby traktatami ustanowiony porządek prawny utrzymać, jako podstawę pokoju i porządku, znajdujemy poparcie ze strony wszystkich innych mocarstw europejskich. Ta jednomyślność celem zabezpieczenia wielkich interesów pokoju, stanowi najważniejszą rękojmię sukcesu. W tym duchu rząd mój w połączeniu z innemi mocarstwami, podpisanemi na traktacie berlińskim, s t a r a s i ę p r z y w r ó c i ć n a p ó ł w y s p i e b a ł k a ń s k i m l e g a l n y p o r z ą d e k, którego niespodziane pogwałcenie na niebezpieczeństwo naraża spokój i dobrobyt tamtejszych narodów. Stawiając ludy bałkańskie w warunkach samoistnego bytu politycznego, Europa spodziewała się po nich poszanowania traktatów i przestrzegania płynących z nich praw i obowiązków.“

Trzeba wyznać, że hr. Kalnoky bardzo niefortunnie dobrał słów, które włożył tym razem w usta swego monarchy. Czytając albowiem tę mowę od tronu, a była to wogóle pierwsza wygłoszona o zatargu bułgarskim, trzeba było przypuszczać, że głównie rząd wiedeński, powracając do staro-austryackiéj polityki kwietyzmu i zasadniczego wstrętu

do wszelkich ruchów i aspiracyi narodowych, domaga się przywrócenia status quo ante, gdy tymczasem w Berlinie i Petersburgu równie stanowczo stawano przy utrzymaniu traktatu berlińskiego, ale nie wypowiadano tego w tak uroczystéj formie. Daleko zręczniéj brzmiała wyżéj przytoczona mowa p. Tiszy. Jakoż rzeczywiście: rząd wiedeński nie domagał się absolutnie, jakby się można domyśleć z mowy od tronu, przywrócenia dawnego stanu rzeczy, nie opierał się wcale zasadniczo unii bułgarskiéj, lecz był gotów przystać na nią, byle jednocześnie klient austryacki, t. j. Serbia, otrzymała wynagrodzenie i byle w ten sposób została utrzymana równowaga. Rozprawy w delegacyach dostatecznie to wyjaśniły.

I tak: na posiedzeniu wydziału delegacyi węgierskiéj 31 paźdz., na zapytania delegatów Szilagyiego i Apponiego, hr. Kalnoky odpowiedział: „Ze stanowiska austryackiego można rozmaicie sądzić o zjednoczeniu bułgarów; co do mnie, nie twierdzę, aby się ono koniecznie sprzeciwiało naszym interesom, gdyby ów fakt można izolować, to jest pozbawić go następstw, jakie sprowadza względem innych państw półwyspu bałkańskiego. Gdy jednak te państwa (Serbia, Grecya), obawiając się przewagi zjednoczonéj Bułgaryi, ze swéj strony stawiają żądania, cały przeto ustanowiony w traktacie berlińskim stan rzeczy jest zakwestyonowany. Obawy i żądania reszty tych państw istotnie do pewnego stopnia są uzasadnione, skoroby miało tam powstać większe niezależne państwo (Bułgarya), któreby zagrażało ich niepodległości.“ Delegat Horwath oświadczył, że rząd austryacko-węgierski powinien „wspierać narodowe aspiracye ludów półwyspu bałkańskiego,“ to znaczy: nie opierać się unii bułgarskiéj, ale popierać uzasadnione żądania serbskie. Delegat Szilagyi dodał: „Zachowanie się Serbii względem monarchii austryacko-węgierskiéj było tak przyjazne, że jesteśmy moralnie zobowiązani stanowczo ją poprzeć. Mianowicie musimy to czynić względem całkiem słusznych żądań kompensaty, gdyby zjednoczenie bułgarów pod jaką bądź formą stało się faktem.“ Hr. Kalnoky, zabierając powtórnie głos, zapewnił, że wysoko ceni przyjazne zachowanie się Serbii i że nie przestanie opiekować się jéj interesami. Aby sobie jednak na wszelki przypadek zabezpieczyć odwrót, dodał, że król Milan sam bardzo lojalnie stanął na podstawie traktatu berlińskiego, a zatém z przywrócenia dawniejszego stanu będzie miał większą radość, niż z jakiegokolwiek powiększenia Serbii. Król Milan téż niebawem przesłał do Wiednia gorące podziękowanie za tak trafne ocenienie swych życzeń; z tém wszystkiém zapewne nie byłby potém wyruszył w pole, gdyby się nie był spodziewał uzyskać kompensaty.

W owéj zresztą chwili dyplomaci widzieli znowu wszystko w różowych kolorach. Właśnie miała się zebrać w Carogrodzie tym razem już nie „réunion,“ ale formalna konferencya ambasadorów. Dnia 25 paźdz. zapewniano, że wszystkie mocarstwa zgodziły się na spólny program, tylko rząd angielski zastrzegł sobie, że o złożeniu księcia Aleksandra z tronu bułgarskiego nie ma być mowy. To téż dnia 26

paźdz. dyplomatyczny agent bułgarski w Wiedniu, p. Naczowicz, w rozmowie z pewnym korespondentem oświadczył: „Mamy obecnie tylko jednego przyjaciela unii: „Anglią i to rząd lorda Salisburego. Ktoby to był myślał w r. 1878!“ (gdy właśnie pełnomocnicy angielscy na kongresie berlińskim, Beaconsfield i Salisbury przeparli utworzenie dwóch odrębnych prowincyi bułgarskich). Dnia 29 paźdz. odbyła się w Carogrodzie przedwstępna narada ambasadorów. Spodziewano się, że konferencya, pod naciskiem trzech sprzymierzonych cesarstw, udzieli sułtanowi mandat wezwania księcia Aleksandra do cofnięcia swych pułków bułgarskich z Rumelii! Taka możliwość pobudzała dyplomatów do najśmielszych nadziei względem przywrócenia status quo ante. Dnia 5 listop. istotnie odbyło się pierwsze posiedzenie konferencyi w arsenale Tophane a równocześnie rozeszły się depesze o wykluczeniu księcia Aleksandra z list wojska rosyjskiego, — w czém dopatrywano najdobitniéjszéj oznaki faktu, że rząd rosyjski stanowczo potępiał przewrót rumelijski.

To téż na posiedzeniu wydziału delegacyi austryackiéj dnia 7 listopada hr. Kalnoky jeszcze odważniéj przemawiał za przywróceniem status quo ante, aniżeli to uczynił na posiedzeniu delegacyi węgierskiéj. Oświadczył: „Właśnie wskutek okazanéj bułgarom względności, musiało mocno obrazić wielkie mocarstwa, że odważyli się sposobem niesłychanie lekkomyślnym zakłócić porządek. Bułgarya i Rumelia zaszkodziły tylko swym materyalnym interesom i będzie trzeba wiele czasu, zanim te straty powetują. Austryi wprawdzie może być obojętném, czy Bułgarya jest trochę większą lub mniejszą; ale traktat berliński ustalił pewną proporcyą sił na półwyspie bałkańskim. Skoro jeden z tych narodów gwałtownie przełamał zakreślone sobie ramy, u sąsiadów musiało powstać zaniepokojenie.. W Serbii, dla któréj jak wiadomo żywimy gorące sympatye, wypadki płowdiwskie wywarły nader silne wrażenie. W całéj ludności, we wszystkich warstwach objawiło się natychmiast zdanie, że trzeba użyć środków zaradczych a uruchomienie wojska zostało uchwalone przy pełnéj zapału zgodzie tak opozycyi, jako téż stronnictwa rządowego. Rząd serbski zajmuje stanowisko całkiem słuszne. Przywrócenie traktatu berlińskiego skłoniłoby go do rozpuszczenia wojska... Spodziewamy się usunięcia trudności i przywrócenia prawowitego stanu rzeczy środkami moralnemi“ (dyplomatycznemi, czyli bez wojny).

Na témże posiedzeniu mowa czeskiego delegata, Riegera, wywołała sensacyą. Wyrażał on obawę, czy czasem rząd białogrodzki nie został w Wiedniu zachęcony do zajęcia swego nieprzyjaznego względem unii bułgarskiéj stanowiska? Daléj twierdził, że król Milan w téj sprawie działa z powodów osobistych, gdy naród serbski myśli inaczéj, i że wojna z Bułgaryą nie byłaby w Serbii popularną. Dodał, że Austrya powinna się przedewszystkiém starać o przyjaźń Bułgarów, i wreszcie oświadczył, że traktat berliński był dziełem chybionem, o którego przywrócenie nie należałoby wcale się ubiegać. Wy-

wody delegata czeskiego tak ze strony hr. Kalnokiego, jako też ze strony delegatów niemieckich Dumby i Heilsberga wywołały dość szorstką odpowiedź, zdawały się zaś tak być sprzecznemi z polityką urzędową, że opuszczono je w urzędowém sprawozdaniu. Zastanowiwszy się spokojnie nad mową d-ra Riegera, trzeba przyznać, że miał słuszność, gdy traktat berliński nazwał dziełem chybioném („Machwark"). Monarchia austryacko-węgierska w przedostatniem przesileniu na wschodzie (1875—1878) nie przyjęła na siebie wstrętnéj roli żandarma Turcyi, a teraz tém mniéj może stać się żandarmem traktatu berlińskiego, który oczywiście, jak to uznał już margrabia Salisbury, nie był na to zawarty, aby na wieki skrystalizował stosunki na półwyspie bałkańskim, lecz na to, aby ułatwił rozwój odpowiedni. W tym więc punkcie, że nie należało się upierać przy utrzymaniu traktatu berlińskiego tel quel, dr. Rieger miał słuszność i zgadzał się też z wszystkimi postępowymi posłami madziarskimi, polskimi, niemieckimi. Równie słuszną była uwaga, że należy starać się o sympatye bułgarów. Drażliwą tylko była wycieczka d-ra Riegera przeciwko królowi serbskiemu, bo mniejsza o to, jak tam kto sądzi o osobistych przymiotach króla Milana, to pewna, że odkąd król ten stał się przyjacielem Austryi, w parlamencie austryackim nie wypada go zaczepiać.

Bądź jak bądź, na następném posiedzeniu wydziału, właśnie z powodu mowy d-ra Riegera, delegat Sturm (z lewicy) zaproponował umieścić w sprawozdaniu następujący ustęp: „Uwzględniwszy wywody J. Ekscelencyi ministra spraw zagranicznych, i zgodnie z cesarskiém przemówieniem do delegacyi, wydział pochwala politykę wschodnią spólnego rządu, zmierzającą do pokojowego przywrócenia status quo ante stosownie do traktatu berlińskiego." Hrabia Kalnoky oświadczył, że się zgadza na ten wniosek. Ponieważ więc głosować przeciwko niemu, byłoby równało się opozycyi przeciwko rządowi, przeto także delegaci, należący do stronnictwa autonomistycznego, głosowali za wnioskiem d-ra Sturma. Tylko Rieger i Hausner wstrzymali się od głosowania. Tegoż samego dnia na konferencyi carogrodzkiéj pełnomocnik angielski p. White wprawdzie podpisał protokół, zalecający przywrócenie status quo ante, ale jednocześnie odczytał deklaracyą, że jakkolwiek rząd angielski w teoryi przywrócenie status quo ante uznaje za najprostsze rozwiązanie kwestyi, jednakże rzeczywiste przywrócenie stanu dawniejszego uważa jako niemożliwe, wskutek czego uchwały konferencyi straciły wszelką doniosłość praktyczną.

Gdyby na czele rządu austryacko-węgierskiego stał mąż stanu pochopny do czynu i o widokach szerokich, byłby niezawodnie tak samo, jak marbrabia Salisbury, wyzyskał przewrót rumelijski celem zwiększenia pośrednio lub bezpośrednio wpływu Austryi. To przewidywano od samego początku mianowicie w Anglii. Tam po wybuchu rewolucyi w Płowdiwie domyślali się, że rząd wiedeński przystąpi natychmiast do aneksyi Bośnii i Hercogowiny. Poźniéj przypuszczano, że postara się o znaczne wynagrodzenie Serbii, choćby kosztem Turcyi, a za to narzuci rządowi serbskiemu konwencyą wojskową na wzór

tych, które Prusy w r. 1866 zawarły z Bawaryą, Wirtembergią i t. d. Wreszcie nastręczała się też wyborna sposobność do zbliżenia się do mocarstw zachodnich, Anglii i Francyi, które znowu w polityce zagranicznéj zaznaczyły tak dobitnie zasady liberalne, odwołujące się do woli ludów.

W téj jednak pierwszéj fazie zatargu bułgarskiego wykazało się bardzo dobitnie, że hr. Kalnoky nie jest mężem stanu o szerokim widnokręgu, a przedewszystkiém nie jest mężem śmiałéj inicyatywy. To, cośmy o nim powiedzieli w „Bibliotece“ przy innéj sposobności [1]), zupełnie się teraz stwierdziło. Dla hr. Kalnokiego jest utrzymanie sojuszu trójcesarskiego nie środkiem politycznym, lecz celem — niemcy w takim razie mówią: Selbstzweck. Temu celowi podporządkowuje wszystkie inne. Ponieważ zaś oczywiście sojusz najłatwiéj mógł się utrzymać na podstawie traktatu berlińskiego, przeto hr. Kalnoky gorąco pragnął go przywrócić. Wszelka rewizya traktatu mogła naruszyć sojusz, bo mogła uwydatnić pewne rzeczywiste sprzeczności, na które liczyli tak rewolucyoniści bułgarscy, jako też dyplomaci serbscy, a które powinny pozostać w ukryciu, aby się mógł utrzymać system polityczny, który się światu tak uroczyście i wspaniale przedstawił w Skierniewicach i Kromierzyżu. Hr. Kalnoky temu systemowi byłby zapewne bez wahania poświęcił owe artykuły traktatu berlińskiego, które rozgraniczały dwie prowincye bułgarskie; ale żaden minister austryacki nie może poświęcić wpływu, jakiego się Austrya dobiła w Serbii. Uznać unią Bułgaryi bez zadowolenia Serbii — to równa się utracie wszelkiego wpływu i znaczenia w Białogrodzie i wprowadzeniu tam do steru stronnictwa, wskroś nieprzyjaznego Austryi [2]). A zatém, chcąc koniecznie i przedewszystkiém utrzymać sojusz trójcesarski, konserwatywny mąż stanu, jak hr. Kalnoky, mógł tylko stanąć przy zasadzie przywrócenia status quo ante, czyli:—„bud' jak buwało.“

Zbyteczna dodać, że, jakkolwiek obie delegacye poparły ministra spraw zagranicznych, bo w austryacko-węgierskich delegacyach jest to niejako zasadą, nie odmawiać żadnemu ministrowi zaufania,—to też ani hrabia Beust, ani hr. Andrassy nie byli zmuszeni do ustąpienia wskutek opozycyjnéj uchwały delegacyi,—nie brak jednak wśród wybitnych mężów stanu wiedeńskich takich, którzyby byli gotowi rozpocząć politykę czynniejszą. Pomiędzy takimi wymieniano np. ambasadora austryacko-węgierskiego w Carogrodzie, barona Calice, który istotnie może zostać następcą hr. Kalnokiego w urzędzie ministra spraw zagranicznych.

W sobotę 14 listopada odbyło się ostatnie walne posiedzenie

[1]) „Sojusz austryacko-niemiecki,“ Biblioteka Warszawska, r. 1885, tom I-szy.

[2]) Porównać: „Z Wiednia do Peszta i Białogrodu,“ Biblioteka Warszawska, 1883, tom IV-ty.

delegacyi węgierskiéj. Delegat Falk długą swoję mowę zakończył słowami: „Pomimo naszéj najszczerszéj chęci utrzymania pokoju i przyjaznego stosunku z innemi mocarstwami, nie moglibyśmy jednak nigdy zezwolić, aby na prawdopodobny przypadek, że status quo ante nie będzie przywrócony, doznały uszczerbku interesa i życzenia tych, którzy od kilku lat główną wagę kładą na przyjazne stosunki z naszą monarchią, którzy starali się o pogodzenie swych własnych interesów z naszemi i zaufali naszéj lojalnéj przyjaźni.“ Delegat Szilagyi oświadczył: „Jeżeli przywrócenie status quo ante znaczy, że ustanowiony na półwyspie Bałkańskim porządek, ma być zmieniony tylko za przyzwoleniem wielkich mocarstw, na to zupełnie się zgadzam. Gdyby jednak polityka rządu zmierzała jedynie do przywrócenia dawnego stanu rzeczy, nie mógłbym jéj popierać.“ Delegat Horwath domaga się, aby na półwyspie Bałkańskim była utrzymana pewna równowaga narodów, i pragnie, aby Austrya jednała sobie ich przyjaźń. „Każdéj dążności tych narodów, o ile nie narusza interesów naszych, musimy dostarczyć swobodnego pola rozwoju i nie powinniśmy zachować się tak, jak niegdyś względem Włoch, gdzieśmy w końcu ściągnęli na siebie powszechną nienawiść.“ Hrabia Wojciech Apponyi zauważył, że polityka austryacko-węgierska wobec narodów półwyspu Bałkańskiego, powinna się odznaczać jednocześnie energią i przyjaźnią, — „energią, aby się przekonały, że wbrew woli naszéj nie mogą dostąpić niczego; przyjaźnią, aby wiedziały, że nie tylko nie opieramy się zupełnemu rozwojowi ich indywidualności i samodzielności, lecz właśnie w tém widzimy najpewniejszą gwarancyą naszych interesow na wschodzie.“ Delegat Czernatony sądził, że skoro proste przywrócenie status quo ante okaże się niemożliwém, rząd nie będzie się przytém upierać.

Słowem madziarzy, wystawiani często jako nieprzyjaciele słowian, zajęli w sprawie zatargu bułgarskiego rozumne i zręczne stanowisko. Nie upierali się przy traktacie berlińskim. Szanując dążności ludowe, nie potępiali stanowczo przewrotu rumelijskiego, nie występowali namiętnie przeciwko unii bułgarskiéj. Domagali się tylko, aby równocześnie zaspokojono uprawnione żądania serbów, i tym sposobem nie narażali się ani jednym, ani drugim. Delegacya austryacka, w któréj jako sprawozdawca funkcyonował książę Windischgraetz—nomen omen—nie zdobyła się już na walną rozprawę. Zresztą wskutek gorliwego ubiegania się niemieckiéj lewicy o względy ministra spraw zagranicznych, którego pragnie pozyskać jako sprzymierzeńca w walce z hr. Taaffem, także prawica, czyli autonomiści byli zmuszeni więcéj ulegać hrabiemu Kalnokiemu, aniżeli do tego mieli powodu i ochoty. Téj okoliczności hr. Kalnoky w delegacyi austryackiéj zawdzięczał votum zaufania sans phrase.

Ale musimy jeszcze powrócić do ostatniego posiedzenia delegacyi węgierskiéj. Posiedzenie to rozpoczęło się o godzinie 10-éj w wielkiéj sali pałacu byłego kanclerstwa węgierskiego. Po wygłoszeniu

kilku naszkicowanych powyżéj mów, o godzinie 12-éj delegat dr. Falk, naczelny redaktor „Lloydu“ peszteńskiego, oświadczył, iż zamierza wystosować pytanie do rządu, i rzekł: „W téj chwili otrzymałem z Pesztu depeszę téj treści: Deklaracya wojny króla Milana właśnie co nadeszła. Jakkolwiek tę depeszę otrzymałem ze źródła całkiem wiarogodnego, powaga delegacyi węgierskiéj wymaga, abyśmy się dowiedzieli z ust p. ministra spraw zagranicznych: czyli mu jest wiadomy taki obrót rzeczy i czy chce nam udzielić wyjaśnień.“

Szef sekcyi Władysław Szögyenyi: „Z polecenia i w imieniu ministra spraw zagranicznych, (który, jak wiadomo, pomimo swego nazwiska madziarskiego, nie umie po madziarsku) oświadczam: Dziś rano od naszego posła (hr. Khevenhüllera), który się znajduje w Niszu, otrzymaliśmy wiadomość, że rząd serbski, dowiedziawszy się, iż oddziały bułgarskie napadły przednią straż serbską, wysłał wczoraj deklaracyą wojny do Zofii. Wiadomość tę potwierdził uwierzytelniony u dworu tutejszego poseł serbski (p. Bogiczewicz), niewątpliwie więc wojsko serbskie przekroczyło już granicę bułgarską.“

Na tém miejscu w sprawozdaniu „Neue Freie Presse“ znajdowały się słowa: „Okrzyki Elien, powszechne wzruszenie.“ Delegaci madziarscy są zbyt wytrawnymi politykami, aby na zebraniu publicznem wypowiedzenie wojny witali okrzykami radości. Urzędowy dziennik węgierski natychmiast więc zaprzeczył doniesieniu „N. Fr. Presse.“ Kilku też delegatów austryackich, którzy jako słuchacze znajdowali się na galeryi na owém posiedzeniu delegacyi węgierskiéj, nie słyszeli owych rzekomych okrzyków. Później twierdzono, że pewien delegat serbski, siedzący blizko sprawozdawcy wymienionego dziennika, zawołał: Elien! Zaznaczamy to dla tego, ponieważ owe rzekome okrzyki już przeszły, jak tyle innych kłamstw i zręcznych wymysłów, do dziejów.

Jakkolwiek jednak delegaci madziarscy na mocy przyrodzonego taktu, nie witali wypowiedzenia wojny okrzykami radości, rzeczą pewną jest, że dość powszechnie i to nie tylko w kołach węgierskich, po wojnie serbskiéj spodziewano się wyjaśnienia sytuacyi, zagmatwanéj przez dyplomatów, oraz rozwiązania węzła gordyjskiego. Niespodziany obrót téj wojny wprawdzie te nadzieje zawiódł i sprawę zawikłał jeszcze więcéj. Ale wtedy, dnia 14 listopada, przypominano sobie żywo znane słowa p. Bismarcka z r. 1862: „Nicht durch Reden und Majoritätsbeschlüsse werden die grossen Fragen der Zeit entschieden, sondern—durch Eisen und Blut.“

(*dok. nast.*).

ALFRED TENNYSON.

PRZEZ

Juliana Adolfa Święcickiego.

Piosonki moje, luba, nuć,
Jeżeli nie tkwi morał w nich.
W zwierciadło proszę okiem rzuć:
Jaki jest morał wdzięków twych?...
Na co się przyda skromny kwiat,
Rosnący pośród zbóż?...
Jaką moralność znajdzie świat
W kielichu polnych róż?...
Tennyson („*The day dream*").

Zdawałoby się, że pogoń za złotem odwraca od sfery ideałów, że turkot maszyn i świst pary zagłusza poetyczną serc wieszczych mowę, że praktyczność i spekulacya powszedniego życia są antypodem idealizmu,—a przecież anglicy, ów naród par excellence praktyczny i trzeźwy, zajęty gorączkowo handlem na wielką skalę i przemysłem, oddany pozornie jednemu tylko celowi: gromadzenia zasobów materyalnych, jest jednym z poetyczniejszych narodów świata. W Anglii poeci nie mają potrzeby żyć ambrozyą, bo ich utwory idą na wagę złota. Moore za jeden z mizerniejszych poematów swoich otrzymał 25,000 fr., a takąż samą kwotę wziął Campbell za jedną edycyą poematu „Pleasures of Hope" (Rozkosze nadziei). Southey zebrał za wszystkie płody swéj muzy 300,000 fr. Crabbe za jeden tom wierszów dostał od księgarza 75,000 fr. Ale bo też dzieła poetyczne znajdują zawsze chętnych nabywców, nawet na kolejach żelaznych, których księgarnie sprzedają tyleż poezyi co i romansów. Dzienniki i przeglądy angielskie nie zaniedbują krytyki i zachęty dla poetów,

a nawet prasa polityczna nie waha się drukować wierszów. Parnas nie wyłącza tam wcale ani forum, ani trybuny, ani spraw bieżących. W innych krajach nikt nie przypuszcza, żeby poeta mógł być wybornym mężem stanu, w Anglii bardzo często wybierany bywa na członka parlamentu, ambasadora lub ministra. W każdym prawie z gabinetów angielskich spotkać można jednego lub kilku nawet literatów, a wiadomo, że Disraeli dzięki romansowi stanął na czele rządu. Kolega jego lord John Manners, minister poczt i telegrafów, był poetą, a poprzednik jego uczonym. Lord Houghton, jeden z najznakomitszych członków izby wyższéj, jest literatem i poetą. W ogóle anglicy pomimo niezaprzeczonéj gruntowności, jaka cechuje naukowe ich dzieła, dalecy są od pedantycznego specyalizowania zajęć. Karol Lyell, słynny geolog, jest jednocześnie adwokatem, a podczas swych podróży w Ameryce, studyował zarówno instytucye i obyczaje, jak wnętrze ziemi, pokłady gruntu i kopalnie. Inny geolog, John Lubbock, deputowany z Maidstone, stał na czele poważnego domu bankierskiego. Samuel Roggen także był bankierem, a prace poetyczne przeżyły go. Talfourd, jeden z najpoważniejszych dramatopisarzów, był adwokatem, urzędnikiem i członkiem Izby; a Whately, słynny arcybiskup Dublinu, znany z prac swoich filozoficznych i teologicznych, pisał niekiedy w dziennikach krytyki literackie i sprawozdania z romansów [1]).

Królowa sztuk pięknych nieodstępnie towarzyszy anglikom we wszystkich epokach dziejowego ich życia. Jednoczy się ona z ich teologią, wojnami, polityką, zbytkiem i bogactwami. Za despotycznych rządów Elżbiety kwitnie śpiewak „Romea i Julii," ów tytan poezyi wszechludzkiej; w epoce wybryków purytańskich i rozpraw długiego parlamentu, zasłynął twórca „Raju utraconego;" z morza sceptycyzmu i prądów materyalnych XVIII-go wieku wyłaniają się marzyciele i romantycy, jak Cowper, Coleridge, Scot, Wordsworth a wreszcie Byron, wpływ którego odbił się na całéj literaturze europejskiéj.

Dwaj ostatni poeci przedstawiają zupełnie nowy kierunek poezyi, która w XVIII-ém stuleciu odznaczała się przewagą słów nad myślą, stylu nad treścią, błyskotliwością języka nad istotą wewnętrzną. Poeci nie czerpali wątku ze skarbnicy życia codziennego, nie obrazowali przedmiotów, które cywilizacya w pochodzie swoim ustawicznie stawiała przed oczyma, lecz trzymali się uporczywie starych tematów, z któremi tylko za pośrednictwem fantazyi spotykać się mogli, i które dla ich odświeżenia jedynie w strój nowy przyoblekali.

Wordsworth pierwszy ustalił równowagę pomiędzy treścią a ornamentacyą poezyi; Byron zaś pierwszy obalił stary porządek rzeczy, wykazując jak idee mogą zapanować nad językiem. Obaj współcześni sobie poeci, zajmując wysokie stanowisko w sztuce, bezświadomie

[1]) M. Odysse Barot „Histoire de la littérature contemporaine en Angleterre," Paris, 1876, p. 135.

przyczynili się do wywołania tego samego przewrotu, wprost odmiennemi krocząc drogami. Jakkolwiek bowiem przebywali w zupełnie odrębnych sferach myśli, oba jednakże byli epigonami sił tych samych, oddziaływających w jednym kierunku, ale na różne temperamenty.

Muza Wordswortha zatapia się w głębinach filozofii, odkrywa analogie, wiążące świat ducha i materyi w jeden system; muza Byrona usiłuje rozplątać powikłane prądy uczuć, roświetlić głębie tajemne serc ludzkich, rozwinąć majestat natury w jéj potędze, uplastycznionéj w postaci już to orkanów wodnych lub wichrów górskich, już téż walk duszy, zbudzonéj z letargu pokusą przedsięwzięcia bohatérskiego lub namiętności niebezpiecznéj. Dla Wordswortha społeczeństwo jest pod władzą tajemnych praw moralnych, dla Byrona areną igrzysk. Tamten we wszechświecie materyalnym widział świątynią duszy, obdarzonéj wszystkiém, co jéj bezpieczeństwo i szczęście zapewnić mogło; ten, przyznając istnienie pewnych praw stałych w świecie fizycznym, mały widział związek tych praw z człowiekiem z poza ogromu niedoli i nędzy ludzkiéj. Wordsworth walczył przeciw instytucyom ludzkim, z których, w przekonaniu jego, spływały klęski na społeczeństwo; Byron szedł daléj, zwracając oskarżenie przeciw Bogu. To téż w stosunku obu poetów do chrześciaństwa, uwidocznia się najlepiéj różnica intelektualna między nimi. Wordsworth patrzył na instytucye religijne, jako na arkę ludzkości; Bajron w nich widział hipokryzyą ducha i tamę wszelkiego postępu. Dla tamtego religiom dodaje znaczenia obfitość prawd abstrakcyjnych i bezwzględnych; ten ocenia ich wartość stosunkiem do potrzeb danéj epoki. Refleksye pierwszego są wytworem mózgu, opartym na wyżynach myśli oderwanéj, zstępującéj niekiedy tylko, gwoli plastyce, do świata zjawisk materyalnych; refleksye Byrona mają właśnie źródło w owych zjawiskach. Wordsworth był rozwlekły do znużenia, łatwowierny do naiwności, przesądny do dzieciństwa. Byron miał potęgę słowa, płynącą z duszy żadnemi więzami nieskrępowanéj, — to téż przedstawiciel romantyzmu zwyciężył twórcę szkoły l a k i s t ó w.

Nie przebrzmiały jeszcze echa téj walki, gdy na widownią poetyczną wystąpił nowy zapaśnik... Shelley. Świat rzeczywisty, z jego formami konwencyonalnemi był zupełnie obcy naturze tego poety. W tym względzie, jak i w wielu innych, Byron i Shelley stanowią antytezę, i kto wié czy dwa te charaktery mogłyby się były zbratać kiedykolwiek, gdyby nie wspólność doli, gdyby obaj nie doświadczyli prześladowań we własnym kraju. Shelley ujawniał zawsze miłość ludzkości, Byron — nienawiść; tamten miał pewien zapas przekonań logicznych i harmonijnych, któremi oddziaływał na każdego z kim tylko wchodził w stosunki; ten wątpił o wszystkiém, wierząc tylko w istnienie złego. Shelley ma nie wielki zasób satyry i dowcipu, Byron włada zjadliwością i humorem. Shelley przedstawia świat materyalny w szacie ideału; Byron przeciwnie świat idealny odtwarza

w barwach materyi. Shelley wierzył, że wszystko było czyste przy stworzeniu i z czasem do czystości pierwotnéj powrócić może; Byron twierdził, że wszystko było złe z gruntu, z natury swojéj i takiém pozostać musi do końca. Wiara Shelleya w ducha piękności i celu, widniejącego z każdéj cząsteczki wszechświata, i wiodącego wszystko ku dobremu broni go od zarzutów ateizmu, których ostatecznie padł ofiarą. Jego teorya doskonalenia się rasy ludzkiéj, skłoniła go do walki z żywiołami społecznemi, które uważał za wrogi do swych celów, ztąd téż był niewątpliwie sceptyczny, imponujący, szyderczy i dziwaczny nieraz, świat odgadywał raczéj niż go badał; — ale w utworach tego poety spotykamy coraz rzadsze dzisiaj przymierze wielkości idei z potęgą formy, odwagi przekonań z barwnością i precyzyą kolorytu. Jest on nieporównanie szczerszy od Byrona i na efekt teatralny nic nie oblicza. Zarówno w sceptycyzmie jak i zachwytach lirycznych idzie jedynie za prądem swych myśli. To téż w miarę jak Byron starzeje się, Shelley nabiera wartości i tworzy szkołę.

Pokrewnym Shellejowi duchem był Keats, zbratany z autorem „Prometeusza Wyzwolonego“ w teoryi o doskonaleniu się ludzi, i w antagonizmie do instytucyi publicznych owego czasu. Wykarmieni wielkiemi tradycyami sztuki greckiéj, obaj usiłowali wskrzeszać stare bożyszcza. Celem tych dwu poetów było sprowadzać na ziemię duchowe światło elizejskie, zbratać człowieka z bóstwami, odbudować zasady téj filozofii, która uważając każdy atom za objaw ducha w formie wyższéj lub niższéj, jednoczyła wszechświat węzłem wzajemnych stosunków i zależności. Z Wordsworthem poezya stała się filozofią, z Shelleyem i Keats'em jednocześnie filozofią i religią. Shelley stara się przeważnie osiągać cel swój drogą rozumowania; — Keats tylko na skrzydłach fantazyi. U tamtego prawda przedstawia się zawsze jako duch piękności, u tego piękność jest duchem prawdy. Miłość i piękność — oto dwa geniusze świata idealnego, które Keats chciał zrobić penatami ognisk rodzinnych. Dążnością jego było ustalić równowagę zachwianą na korzyść senzualizmu przez sztukę grecką, i na stronę spirytualizmu przez sztukę chrześciańską, aby wytworzyć nowy związek sztuk obu, w którymby zlewały się tylko dodatnie ich strony.

Z posiewu ducha tych dwu poetów wykwitła szkoła artystyczna, z największym przedstawicielem jéj Tennysonem.

Tennyson stanowi wprost przeciwległy biegun z Byronem, tak pod względem formy jak treści. Byron przy gorączce swego geniuszu nigdy nie mógł osiągnąć jednolitości w stylu; siła natchnienia pozwalała mu na omijanie lub druzgotanie wszelkich przeszkód. Na podobieństwo potoku lub uraganu z łatwością przebywał tamy i przepaści. Tennyson stara się zawsze o najświetniejszą poprawność wyrażenia, a jakkolwiek wiersze jego są niezmiernie skomplikowane, jakkolwiek na wykończaną ich plastykę składa się mnóstwo ornamentacyi i klejnotów, — w całości niczego nie brak, nic nie ginie, żadna cząstka nie tworzy dysharmonii. Byron mało się troszczy o ustosun-

kowanie rozmiaru swych poematów do ich treści;—Tennyson ma zawsze względy architektoniczne na widoku i można być pewnym, że każda budowa jego jest obmyślana. Za to fantazya Byrona ma nie równie silniejszy polot, a spostrzegawczość jego daléj sięga. W ogóle, widnokrąg myśli Byrona jest nieskończenie przestronniejszy niż Tennysona, który go przewyższa jedynie mistrzostwem formy, oraz godnością moralną i powagą.

Za to pokrewieństwo Tennysona z Shelleyem i Keatsem jest wielkie i to na punktach najistotniejszych. Dusza ludzka jest podług niego, przed przyjściem na świat, cząstką ducha rozlanego we wszechświecie. Przez akt urodzenia wydobyto ją z próżni i skrępowano więzami, ztąd téż pierwszém uczuciem dziecka jest utożsamianie się z tém wszystkiém, co je otacza. Dzięki doświadczeniu, dopiéro zaczyna dziecko odczuwać samodzielność swéj istoty, odgraniczonéj ciałem od elementów, z których powstało. Doktryna jego o życiu duszy pozagrobowém, chwieje się między ortodoksyjnością a panteizmem. Raz się Tennysonowi zdaje, że dusza nie wraca do próżni, że zachowuje odrębność swoję i w sferach wyższych, to znów twierdzi, że z chwilą zgonu ciała pogrąża się w oceanie bytu, z którego wyszła. Jest to panteizm Shelleya, zabarwiony halucynacyami Malebranche'a. W poemacie „Two Voices“ (Dwa głosy) poeta stawia istnienie złego, oraz zagadkę życia i śmierci na gruncie czysto filozoficznym, lecz ta filozofia jest tylko reprodukcyą angielską myśli Goethego [1]).

Tennyson nie grzeszy w ogóle zbytnią świeżością myśli, nie roztwiera nowych dla niéj światów, lecz tylko stare eksploatuje. Erotyczność, sentymentalizm prowansalski, wycieczki filozoficzne w świat etyki chrześciańskiéj, zamiłowanie w legendach starych,—oto żywioły, które poeta znalazł w łonie swojego czasu i te odtwarzał, nie dorzuciwszy nic nowego, a odtwarzał z wielkim artyzmem, bo w nim właśnie widział istotę poezyi, któréj nikt, podług niego, pytać nie powinien o cele i dążności, jak pytań podobnych nikt zwracać nie będzie... do urody dziewczęcia lub do kielicha różyczki polnéj.

Alfred Tennyson urodził się 5 sierpnia r. 1809 w Somerby, wioseczce, prowincyi Lincolnshire, o sześć mil od miasta handlowego Horncastle, gdzie ojciec był rektorem parafii. Od dzieciństwa przejawiał Alfred nadzwyczajny pociąg do poezyi, pochłaniał bowiem utwory Scott'a i już w 13-ym roku życia napisał powieść, świadczącą o uzdolnieniu poetyczném dziecka. Pierwsze zadatki wiedzy otrzymał od ojca i w szkółce miejscowéj, późniéj zaś wraz z braćmi uczęszczał do „grammar school“ w Louth, gdzie dziadek ich był wikaryuszem. Tu Alfred w 15-ym roku życia napisał do spółki z bratem Karolem pierwszy tomik poezyi, p. t. „Poems by two Brothers,“ z dewizą Marcyalisa „Haec nos novimus esse nihil“ (1827). Tomik ten o 228

[1]) J. Dovey „A comparative estimate of modern englisch poets,“ London, 1873, p. 184, 257, 263, 290.

stronicach składał się ze 102 drobnych wierszów, naśladujących zarówno wzory klasyczne jak romantyczne, tak Wirgiliusza, jak Byrona. W ogóle nie ma tam utworów pierwszorzędnych, już jednak współczesny krytyk zauważył w czasopiśmie „The Literary Chronicle“ (May 19, 1827), że mały ów zbiorek „contains several little pieces of considerable merit.“ Do tych wyjątków należał przedewszystkiém bardzo udatny poemat p. t. „Antony to Cleopatra“ [1]).

Następny utwór Alfreda z r. 1828 p. t. „The lover's Tale,“ nie przejawia jeszcze żadnych rysów, po których przyszłego laureata możnaby było odgadnąć, i ma jedynie wartość świadectwa, że w tym czasie przewodnikiem poety mocno wpływowym był Shelley. W r. 1828 Tennyson wstąpił do Trinity College w Cambridge, gdzie zawarł serdeczny stosunek z Henrykiem Hallam'em, synem słynnego historyka. W następnym roku zdobył nagrodę pierwszą za napisanie na podany temat konkursowy poematu p. t. „Timbuctoo.“ Utwór ten, skreślony wierszem białym, nosząc na sobie wybitne cechy wieku poety, przejawiał już jednak talent, któremu krytyka współczesna (Athenaeum July 22, 1829), wróżyć zaczęła świetną przyszłość. Nie nazbyt wielkie uznanie krytyki zdobył autor po wydaniu w roku następnym pierwszego tomiku poezyi, na którym położył swe nazwisko. Książka ta o 150 stronicach zawierała kilkadziesiąt utworów przeważnie lirycznych, jak wskazuje sam tytuł „Poems chiefly Lirical,“ (London 1830). Jeden tylko sprawozdawca pisał o tych poezyach z zapałem wcale nie kłamanym (Englishman's Magazine) ależ był nim... serdeczny druh poety Hallam. Niezrażony przyjęciem chłodném Tennyson, w dwa lata później, wydał drugi tomik swych utworów, zatytułowany skromnie „Poems,“ (London 1832, p. 163). Jakkolwiek uwidocznił się tu rozwój talentu autora, krytyka jednak zachowała się jeszcze względem poety bardzo zimno.

W rok po wyjściu drugiego tomu poezyi Tennysona, ukochany jego przyjaciel Hallam zmarł zagranicą (1833), a śmierć ta była dla poety ciosem okropnym. Zarówno ten wypadek, jak nie mniéj zapewne obojętność ogólna z jaką przyjęte były poezye Tennysona, skłoniły go do milczenia przez lat dziesięć, po upływie których w r. 1842, poeta puścił w świat dwa tomy swych utworów p. t. „Poems,“ w których umieścił wybrane poezye w pierwszéj edycyi, z dodatkiem kilkunastu nowych poezyi. Przyjęcie tych dwu tomików było entuzyastyczne, krytycy na wyścigi spieszyli z pochwałami dla Tennysona, o którym Wordsworth nawet tak pisze do profesora Reed'a:

„Widziałem Tennysona, będąc w Londynie kilka razy. Jest on stanowczo śród poetów żyjących najpierwszy i mam nadzieję, że da jeszcze światu rzeczy piękniejsze.“ Cooper przypisuje mu poczucie harmonii poetycznéj w takim stopniu, w jakim nie posiadał go żaden z poetów nowożytnych. Też same laury zbierał poeta w Ameryce.

[1]) R. H. Shepherd „Tennysoniana,“ London, 1869, p. 9.

Surowy krytyk Lowel zaopiniował, że na takich poetów i myślicieli wieki czekać potrzeba, a Edgar Allan Poe nazwał Tennysona jednym z poetów największych [1]). W dodatku do rąk królowéj Wiktoryi, dostał się tomik poezyi między któremi był utwór p. t. „Córka młynarza," („The Millers Daughter"). Mały ten poemacik, nieskończenie prosty w swéj treści, opiewa małżeństwo harmonijne, które wspomnieniami z młodego wieku osładza sobie nie wesołą dolę starości. Opowiadanie młynarza jak poznał swoję Alicyą, jak zdobył jéj serce, jak był szczęśliwy, gdy mu pozwolono zaślubić ukochaną, ma w sobie tyle prostoty sielskiéj, tyle uczucia potężnego czystością niepokalaną, że królowa kazała przedrukować utwór dla swéj córki. Ten wypadek zdecydował o karyerze Tennysona, który zdobywszy sobie sympatyą dworu, coraz popularniejszym się stawał i w narodzie. Jakoż wydania poezyi szybko po sobie następują (1843, 45, 46), a twórca otrzymuje za pośrednictwém Roberta Peel'a dwieście funtów pensyi rocznéj.

Marzenia i wizye fantastyczne, które zaludniały wówczas umysł poety przeważnie mają niewiast imiona. Pierwiastek ten stanowi zresztą dziewięć dziesiątych wszystkich jego utworów. „Claribel," „Lilian," „Izabel," „Maryana," „Madeline," „Rosalind," „Fatima," „Margaret," „Eleanore," i t. p., oto tytuły ulubione utworów Tennysona. Cały kalendarz imion żeńskich. Poeta nie lubi i nie umie malować postaci męzkich, które téż, jak zobaczymy niżéj, wychodzą u niego lalkowato i niezdarnie. „Kobiety tak się różnią od siebie, mówi Tennyson—jak fijołek od lilii, jak sosny od dębów," a jednak piękności jego mają mniéj więcéj stereotypowe cechy szablonu. Włos bujny, kształty królewskie, szyja perłowa, nózki, zdolne raczéj do rozsuwania powietrza, niż do stąpana po twardéj ziemi. Otoczone wiecznie przepychem, poruszają się tylko śród kwiatów i oddychają powietrzem balsamicznem, zabezpieczone od żaru słońca wonnemi z róż festonami lub falą dzikiego wina. Zbyt są czarodziejskie, żeby rzeczywistemi być mogły, zbyt dobre lub słabe, żeby im na prawdzie nie zbywało. Większość postaci niewieścich Tennysona są to istoty nie materyalne, będące uśmiechem samym, łzą, melancholią, kaprysem, cieniem. Maluje on w kobietach szczegóły najniepochwytniejsze i przelotne: odblask światła w oku, bladość, którą cień rzuca na barwę policzków, piękność którą smutek wzrokowi nadaje, kokieteryą głowy lekko pochylonéj, majestatyczność pewnych poruszeń i postawy. Poeta usiłował, podług trafnéj uwagi krytyka francuzkiego [2]) podchwycić to, co jest najbardziéj nie ujęte: wdzięk w ruchu. Nie udaje mu się malowanie ciała i piękności w ogóle plastycznych; ale za to żaden z poetów nowożytnych nie znał lepiéj tajemnic i uroku twarzy ludzkiéj:

[1]) Walter E. Wace. Alfred Tennyson, his life and Works. Edinburgh 1881 p. 52.

[2]) Revue des deux mondes 1847(18), 1856(1), 1859(24), 1868(62).

sylfów, wyglądających przez okienka źrenic, chochlików, zamieszkujących jedwabne włosów pierścienie, duchów, przebywających w ponętnym lic kształcie. Ta zdolność malowania wdzięku ruchomego jest jedną z orginalności Tennysona.

Spojrzyjmy na chwilę w kalejdoskop wizyi niewieścich tego poety, odtworzonych w dwu tomowym zbiorze liryk pierwotnych.

Oto dzieweczka, której lica opromienione zawsze radością niczém nie zasępioną; robak życia nie wcisnął się jeszcze do kielicha jéj duszy, najlżejsza chmurka nie spoczęła nigdy na jéj czole. Jest ona uśmiechem wcielonym ku wielkiéj przykrości kochanka, któremu ta wesołość wieczna—torturą.

Lotna, wietrzna Lilijana [1])
Czarodziejska Lilijana!..
Kiedy pytam czy jest mi wzajemną,
Ona rączki swe składa przedemną,
I już śmiechem serdecznym porwana
Nie chce wyznać, że jest mi wzajemną
Okrutna, mała Lilijana!..

Gdy śród miłości burz
Westchnieniem łagodzę żal,
Patrzy na mnie jakby przebić rada,
A wciąż śmiechu jéj dźwięczy kaskada
I nie przemówi już!..
Niewinna a chytra, podatępna a szczera,
Zdradziecko przez jasną zasłonę przeziera,
A wzrok jéj rani jak stal!..
Gdy wreszcie promienny ten śmiech pootwiera
Dołeczki na licach jéj z róż,
Pierzchliwie ucieka w dal!..

O płacz Lilijano majowa!..
Radość torturą, gdy stale
Śpiga—Lijano majowa!..
Coś boli tam w serca głębinie,
Gdy bez końca przez usta twych korale
Śmiech srebrzysty i płynie i płynie!..
O płacz Liljano majowa!.. [2]).

Ledwie że nam znikła z oczu ta czarodziejka śmiechu, miejsce jéj zajęła postać będąca antytezą poprzedniéj. Maryana w smutku

[1]) Starałem się jak najściśléj zachować miarę wiersza, nadzwyczaj skomplikowaną i fantastyczną.

[2]) The works of Alfred Tennyson, poet laureate London 1882 p. 4.

wiekuistym utulić się nigdy nie może. Wszystko widzi w barwach grobowych; niby czułek, za najlżejszém dotknięciem ręki losu kurczy się i wije w cierpieniach. W możność szczęścia własnego nie wierzy, wszystko ją drażni i przeraża.

Świergot wróbli trwoży ją o wiośnie [1]),
Dźwięk wahadła—co kroczy powoli,
I łagodny szmer listków topoli,
Które wietrzyk porusza miłośnie!..
Lecz najmocniéj cierpi, gdy w komnacie
Smuga świetlna w morzu pyłów drga;
Gdy już słońce w krwawym majestacie
Zapowiada blizki schyłek dnia!..

O! jak mi łzawo—powtarzała,
Nie wróci anioł stróż;
Jam smutna —szepcze, jam zbolała,
Lepiéj by umrzeć już!

Łzy o rosie płyną jéj obficie,
Łzy jéj płyną, choć wyschnie już rosa;
Na pogodne spoglądać niebiosa
Ni wieczorem lubi ni o świcie.
Gdy wylecą z gniazd swych nietoperze,
Gdy na niebo spłynie gęsty mrok;
Wnet zasłonę z okna swego bierze,
I w ciemnościach smętny gubi wzrok.

Wszędzie tak ciemno—powtarzała.
Nie wróci anioł—stróż;
Jam smutna—szepcze, jam zbolała,
Lepiéj by umrzeć już!.. [2])

Albo ta Amy, podobna gołąbce trwożliwéj. Kocha—ale sama przed sobą nie śmie wyznać tego uczucia, które w jéj sercu zadrgało poraz pierwszy. W naiwności nie przypuszcza nawet, żeby ten, którego zrobiła bohatérem swych myśli, mógł jéj odpłacić wzajemnością. (Locksley—Hall).

Na wiosnę raszka pod gardziołkiem szkarłat silniejszy ma,
O wiośnie nad główką czajki pióropusz odmienny drga.
Na wiosnę piór gołębich tęcza uderza świateł grą...

---

[1]) Wszystkie przekłady przy których nie podaję nazwiska tłómacza, są mego pióra.

[2]) Tennyson loc. cit 6.

Na wiosnę młodych tętna serc miłości kipiątkiem wrą.
Naówczas lica miała blade, drobniejsze nad swój wiek,
Milczącо mnie wzrokiem śledziła i mych poruszeń bieg.
I rzekłem: kuzynko, przemów—a prawdy niech tryśniezdrój,
Żem oddal się tobie—ufaj, żem, droga, na wieki twój!..
Na blade lica jéj, na czoło wystąpił ognia blask,
Jak gdybyś nagle ujrzał krwawy zorzy półocny brzask!..
I odwróciła się, a pierś jéj od westchnień silnie drży.
Snopem przez oczu ciemnych głębie duch świetlne rzuca skry,
—Z uczuciem kryłam się—odrzeknie—w obawie srogich burz
Więc, luby, kochasz mnie?.. płakalu—ja dawno kocham już [1]).

Co za kontrast z tém dzieckiem trwożliwém a skromném stanowi Fatyma, namiętnością zmysłów pijana:

„Gdy kto wymówi jego imię—tysiące prądów ognistych palą mi członki; taki pożar czuję w swém łonie, że oceanem ugasićbym go nie mogła. Sen ucieka mi z powiek, błąkam się nocą śród kwiatów i gorączkowo je cisnę do czoła, do piersi, do ust płonących, żądna ochłody. Ach! ta miłość przeklęta i rozkoszna, ona mnie ogłusza i oślepia!.. Pocałunkiem jednym wypił mi duszę, jak słońce wypija rosę kwiatów kielicha. O! ja muszę go posiąść lub umrzeć, ja muszę patrzeć bez końca w otchłanie jego wzroku, oddychać jego oddechem skonać w jego ucisku“ [2]).

Tenże sam charakter nosi Euona. W „Lady Clara Vere de Vere,“ odmalował poeta wizerunek dziewicy zimnéj, posągowéj, głaz martwy; dla którego jedyną wartość mają herby jéj antenatów; w „Godivie“ uosobienie miłosierdzia posunięte do ostatecznych granic zaparcia się chrześciańskiego. Była to żona hrabiego z Coventry, człowieka dzikich obyczajów. Gdy nałożył na poddanych swoich ciężki podatek, rzesza niewiast przybiegła z dziećmi do Godowy wołając: jeśli nas hrabia nie zwolni od podatku pomrzemy z głodu. Godiva błagając męża o litość dla nieszczęśliwych, wyrzekła w końcu: że śmiercią własną chętnieby okupiła ich niedolę. Wówczas hrabia z szyderstwem cynicznem rzekł do małżonki: „przejedź naga konno całe miasto podatek zniosę —i wyszedł otoczony zgrają psów.“ Po wewnętrznéj walce chwilowéj, Godiwa poleciła mieszkańcom, żeby o wskazanéj godzinie wszyscy siedzieli w domu pozamykawszy drzwi i okna, a potém w czystość duszy i w cnotę jedynie przyodziana spełniła ofiarę bohaterską.

W téj galeryi sylwetek niewieścich spotykamy także, jakkolwiek rzadziéj, typy silnie ujemne, rażące dzikością zwierzęcych prawdziwie instynktów. Oto np. poemet, zatytułowany skromnie „The Sisters“ („Siostry“).

---

[1]) loc. cit. 111.
[2]) loc. cit 42.

Dwie siostrzyce wychował dom nasz,
Ona miała ponętniejszą twarz.
Wiatr wieje śród drzew i skał...
Byli razem i dotknął ją srom,
Wywołując zemsty mojéj grom.
O! hrabia piękną postać miał!..
Zmarła!.. dziś piekieł sciga ją gniew,
Że wstydem czystą zhańbiła krew.
Wiatr jęczy śród drzew i skał...
Więc o tém tylko zaczęłam śnić,
By jego kiedyś kochanką być.
O hrabia piękną postać miał!..
Wydałam uczte i oto wróg
Siedziby mojéj przestąpił próg.
Wiatr wyje śród drzew i skał!..
Oddan piekielnym żarom na łup,
Wije się w żądzy u moich stóp.
O hrabia piękną postać miał!..
By go usidlić—garnę się doń,
Pocałunkami palę mu skroń.
Wiatr ryczy śród drzew i skał...
Choć nienawistny mi był jak gad,
Kochałam jego piękności kwiat...
O hrabia piękną postać miał!..
W nocy przy drganiu pulsowych fal,
W dłoń pochwyciłam błyszczącą stal.
Wiatr szalał śród drzew i skał!..
I gdy się w pól snu pogrążał toń,
W serce mu sztylet wpycham po dłoń.
O hrabia piękną postać miał!..
Włos mu bujny utrefiłam w grób,
Tak się wielkim zdawał jego trup.
Wiatr świszczy śród drzew i skał...
Gdy w całunie już spoczął mój wróg,
Położyłam go matce u nóg.
O! hrabia piękną postać miał!.. [1])

Rozstając się z utworami lirycznemi Tennysona dodamy jeszcze, że poeta odczuwał silniéj współczesne wypadki polityczne, jak świadczą o tém prócz innych utworów poezye: „Song“ z powodu rewolucyi listopadowéj w polsce i „Sonnet“ w którym autor, po ostatecznym rezultacie tych wypadków, posyła zwyciężonym gorącą łzę współczucia [2])

[1]) Tennyson loc. cit p. 47.

[2]) Jest to zapewne sonet p. t. „Poland“ w wydaniu zbiorowém (p. 26) zaczynający się od słów „How long O God...“

Zajęty prawie wyłącznie piękniejszą połową rodu ludzkiego i przeniknięty rycerską średniowieczną ku niéj galanteryą, Tennyson jest przecież daleki od sympatyzowania z emancypacyą kobiet, która nie licuje bynajmniéj z jego o niewiastach pojęciami. Oto jaki uznaje stosunek mężczyzn do kobiet:

On do pola—ona do ogniska.
Ona igielką—on mieczem błyska.
Ona ma serce—on rozum, ducha
On rozkazuje—a ona słucha!..
Inaczéj zamęt...

W poemacie p. t. „The princess" (Księżniczka), pierwszym większych rozmiarów utworze, (1847) Tennyson podjął właśnie kwestyą praw kobiety i zupełnego jéj równouprawnienia, które tłómaczy w duchu konserwatywnym, przyznając prawom natury wyższość nad wszelkiemi utopiami doktrynerów.

Bohaterką poematu jest księżniczka, która pragnie płeć swą wyzwolić z jarzma przewagi męzkiéj. W tym celu założyła akademią, sprowadziła do niéj wszystkie młode dziewczęta z państwa swego ojca, i na froncie budynku kazała umieścić napis, że mężczyznom do téj akademii wstęp wzbroniony pod karą śmierci. Uczennice miały tam odbierać naukę tylko od kobiet i naturalnie w duchu zupełnego wyzwolenia się z pod wpływu i przewagi płci brzydkiéj. Każda uczennica, wstępująca do akademii, musiała podpisać się na to, że „w ciągu lat trzech zerwie całkiem stosunki z domem, oraz że w ciągu tego czasu ani razu nie wyjdzie na wolność i nie będzie mówiła z żadnym mężczyzną." Oprócz tego każdéj nowicyuszce kazano pamiętać raz na zawsze, że „wiedza przestała już być źródłem zapieczętowaném, że trzeba z niego czerpać głęboko aż dotąd, dopóki nie zaginą raz na zawsze zwyczaje niewolnictwa kobiet, oraz ich grzechy próżności, plotkarstwa, kłótliwości i obmowy." Na nieszczęście księżniczka była zaręczona w dzieciństwie synowi króla północy i młody książę nie mogąc inaczéj otrzymać ręki narzeczonéj, wkradł się do przybytku niewiast w stroju kobiecym wraz z dwoma towarzyszami. Księżniczkę zadziwiał wielce wzrost nowicyuszek, lecz nie domyślając się zdrady, przyjęła mniemane uczennice przemową odpowiednią, w któréj poleciła im stosować się do ustaw akademii. Ale gdy Cyryl, towarzysz księcia, podpiwszy sobie, śpiewem niewłaściwym zdradził swoje tygrysie pochodzenie, księżniczka była oburzona do tego stopnia, że musiało przyjść do walki pomiędzy wojskami obu królów. W poczuciu dumy obrażonéj nie mogła przebaczyć temu, ktory się ośmielił stanąć na drodze do urzeczywistnienia jéj planów. Z wysokiego tarasu przyglądała się walce, a widząc klęskę swych wrogów zstąpiła na pole walki, gdzie śród trupów i rannych znalazła ciało martwe młodego księcia. Stanęła przy nim i zapominając o nienawi-

ści, wzruszona losem nięszczęśliwego, poleciła zanieść go do pałacu, żeby tam własnemi rękami pielęgnować młodzieńca, który tak dalsze swe losy opowiada.

Byłem długo bez zmysłów a ona siadywała przy mnie godzinami. Czasem w przystępie gorączki zdarzyło mi się porwać jéj rękę, uścisnąć silnie a potém odepchnąć szybko jak żmiję z krzykiem: „Tyś nie Ida!..“ Tak dnie mijały a ona żyła w trwodze o zmysły moje i... o życie. Nakoniec przyszedłem do przytomności, ale byłem tak osłabiony, jakbym za chwilę miał skonać. Nie mogłem rozpoznać gdzie byłem. Ida zdawała mi się zjawieniem. Siedziała przy mnie, trzymając mi rękę a łzy perliły się w jéj źrenicach. Utopiwszy w jéj licach wzrok nieruchomy szeptałem do niéj: Jeżeli jesteś tém za co cię biorę, wizyo czarowna, błagam dokończ swojego dzieła. Umrę dziś w nocy, więc słodka maro, nachyl się ku mnie abym doświadczył złudzenia, że mi dajesz ostatni pocałunek na drogę śmierci. Straciłem głos. Byłem niby człowiek w letargu, który słyszy, jak przyjaciele jego mówią o pogrzebie, a jednak nie może przemówić, ani dać znaku, ani drgnąć... Ona odwróciła głowę... przez chwilę była nieruchomą, wreszcie nachyliła się ku mnie i... z piersi moich, na wpół martwych, wydobył się okrzyk zachwytu. Namiętność gorąca wyrwała mnie z samego progu śmierci, i dusza moja na ustach Idy zbratała się z jéj duszą. Jam był upojony, a ona, wyrwawszy się z objęć moich z rumieńcem szlachetnym na twarzy tak zmieniła nagle dawniejszą naturę swoję jak suknią, która się zruca i pozostała w niéj tylko kobieta, piękniejsza we wzruszeniu swojém od téj bogini, która wyłoniła się z piany dla zdobycia świata miłością. Lecz oddaliła się nie mówiąc słówka, a ja upojony uczuciem w bezmiarze szczęścia zasnąłem. Gdym się obudził siedziała przy mnie blada z piersią od westchnienia falującą; mówiła z trudem, a głos jéj drżał jak i ręka. Wiedziałam dobrze—mówiła—że mi zbywało napokorze, na wszystkiém, że to, com zrobiła jest niczém, a jednak nie mogę oddać się człowiekowi, który miałby jedynie pogardę dla moich celów dla praw płci mojéj. Jakoż prosiła mnie, żebym sprawy kobiet nie sądził podług niéj, która ją tak niegodnie podtrzymywała, która w wiedzy szukała raczéj środka wyniesienia się niż prawdy...

Refleksye, które w tém miejscu wypowiada książę, dają nam poznać pogląd Tennysona na stanowisko kobiety w społeczeństwie.

Nie gań zbytecznie swéj przeszłości, nie gań zbyt mężczyzn i ich praw barbarzyńskich: były one błędami świata jeszcze nie ucywilizowanego. W przyszłości będziesz miała towarzysza i pomocnika na drodze do urzeczywistnienia swych planów, znajdziesz go we mnie, który wie, że sprawa kobiet jest sprawą mężczyzn. Kobieta nie jest mężczyzną nie ukształconym; lecz istotą całkiem różną; gdybyśmy ją zrobili podobną do mężczyzny, miłość z jéj czarami zniknąć musi. Jéj harmonia nie opiera się na powtarzaniu jednego wdzięku, lecz jest akordem dwu dźwięków, które harmonizują nie zlewając się z sobą. Z cza-

sem jednak, po latach długich, towarzysz i towarzyszka upodobniają się coraz więcéj. On nabiera słodyczy i poduiosłości moralnéj, nie tracąc sił do walki, ona rozszerzy wiedzę swoję nie tracąc instynktu matki: myśl nie zabije w niéj wdzięków niewieścich. Mężczyzna i kobieta zawsze będą szli razem, jednocząc się coraz silniéj, aż wreszcie ona tak się z nim zespoli jak doskonała muzyka ze słowami pełnemi szlachetności. Niech przepadnie to dumne słowo równość, gdyż każda płeć sama w sobie jest tylko połową a w każdym związku prawdziwym nie ma równości ni wyższości („Not like to like but like in diference"). Wzajemnie uzupełniają braki swoje a zespoleni silnie chcą i myślą tylko jedno w drugiem, stanowiąc we dwoje istotę jedyną i doskonałą, serce dwukomurkowe, ale uderzające jednem pełném życia tętném...

Na te słowa księżniczka odpowiedziała z westchnieniem: Toż samo marzenie miałam kiedyś... która to kobieta nauczyła ciebie tych rzeczy?! [1]).

Opisowa strona „księżniczki" ma wiele piękności rzeczywistych tak, że nieraz żałować przychodzi tych klejnotów formy, w którą przyodział poeta treść banalną. Wady utworu wynikają głównie z braku harmonii pomiędzy kolorytem a celem. Poemat rozpoczyna się w tonie uroczystego żartu, lecz powaga pisarza nie pozwala mu wytrwać w nim do końca, spada więc z wyżyn humoreski na grunt filozofii małżeńskiéj. Pierwsza połowa utworu zdaje się być powiastką dla dzieci— ostatnia zakrawa na traktat pochwalny o monogamii. Sceny są po większéj części tak fantasmagoryczne, że trudno dopatrzeć jakiegokolwiek ich związku z rzeczywistością. W epoce dyskusyi nad prawami kobiet poeta uważał za swój obowiązek zabrać głos w téj sprawie; lecz jeżeli ostateczny pogląd jego na kwestą przedstawia się dość jasno—argumentacya nie zawsze jest dość szczęśliwą. Już Montegut, a zanim Taine nazwali ten poemat zabawnym, jak maskarada wytworna, ale interesu głębszego pozbawionym. Krytycy angielscy jak Devey, Stedman, Moir, Wace oceniają ten utwór jeszcze surowiéj, nazywając go wprost niegodnym Tennysona.

W r. 1850 Tennyson zawarł związek małżeński z panną Emilią Sellwood i w tym samym roku wydał ku uczczeniu pamięci zmarłego przyjaciela Hallama poemat p. t. „In memoriam," uważany przez niektórych krytyków za najlepszy utwór tego poety.

Nie podziela tego poglądu Tennyson i bardzo słusznie. Poeta bowiem okazał się tu jak i wszędzie mistrzem formy, ale zimnym i monotonnym: W utworze tym, złożonym ze stu kilkudziesięciu drobnych poemacików, nie powiązanych z sobą organicznie, autor odświeża w pamięci przeżyte z przyjacielem chwile a odtwarzając różnorodność uczuć, któremi przejmuje go strata, pogrąża się w odwiecznéj pozagrobowego bytu zagadce. W téj jakby rozmowie z duchem niewidzialnym kojarzą się w sposób szczególny religia ze sceptycyzmem, wiara z kryty-

[1]) Tennyson loc. cit 193—254.

ką, uczucie Danta z materyalizmem Lukrecyusza. Zresztą nie brak miejsc pięknych w tym poemacie. Oto przykład:

Zwierzom nie będzie zazdrościł nikt z ludzi,
Że mogą życie przepędzać swobodniéj;
Że nie krępuje ich poczucie zbrodni,
Że się sumienia głos w nich nie obudzi!..

O! nie zazdroszczę ja spokoju ducha
Śpiącym na miękkiéj pościeli haremu;
Ni czyżykowi w klatce zrodzonemu,
Którego nigdy świat gajów nie słuchał..

O! nie zazdroszczę sercu, które mniema,
Że bez gorętszych pragnień żyć najlepiéj;
Że szczęśliw, kto się sam w sobie zasklepi,
Komu nie sądzon raj... ni anatema!..

Przekładam straszne niecestwa otchłanie
Nad próżnią serca w tym życia padole;
Kochać i razem wszystko stracić wolę,
Niż nie doświadczyć nigdy, co kochanie!..

Piękne jest również wspomnienie spędzonych kiedyś z przyjacielem świąt Bożego Narodzenia. Te same dzwony, które wówczas tak wesoło na tę uroczostość zapraszały dziś jęczą smutno i grobowo:

Cichutka noc... księżyc we mgle,
Narodzin Bożych dzionek tuż...
Jęknęły dzwony pośród wzgórz
Jeden drugiemu echo śle!.. [1]).

Powodzenie poematu w Anglii było wielkie i ono niewątpliwie przyczyniło się do mianowania Tennysona poetą-laureatem, w miejsce zmarłego właśnie w tym roku (1850) Wordsworth'a. Jakoż poraz pierwszy przedstawiono poetę królowéj Wiotoryi w pałacu Buckingham w 1851 r., i jednocześnie wyszło siódme wydanie poezyi Tennysona z dedykacyą wierszowaną do monarchini. Wkrótce też nastręczyła się poecie nadwornemu sposobność zabrania głosu w sprawach politycznych. Po grudniowym zamachu stanu we Francyi, ogłosił Tennyson trzy wiersze liryczne. Jeden z nich p. t. „Britons guard your own;“ wyszedł w czasopiśmie „Examiner“ bez podpisu, dwa zaś p. t. „Hauds all round“ i „Third of February 1852,“ wydrukowane były w témże piśmie pod pseudonimem „Merlin“ (1852). Dwa pierw-

[1]) Tennyson loc. cit. 319.

sze są deklamacyami na temat wolności i potęgi Albionu, ostatni zaś odnosi się do pamiętnéj rozprawy w izbie lordów w przedmiocie stanowiska, jakie Anglia zająć miała wobec nowego cesarza francuzkiego. W tym samym roku ukazał się większéj od poprzednich wartości poemat ku uczczeniu zwycięzcy Napoleona, p. t.: „Ode an the death of the Duke of Wellington.“ Podczas wojny krymskiéj, gdy poeta wyczytał w „Times'ie“ opis szarży dokonanéj przez 600 anglików bohaterskich, pod wpływem tego wypadku napisał wiersz: „The Charge of the Light Brigade,“ wydrukowany we wspomnianém już czasopiśmie „Examiner“ (December, 1854). Poemacik ten był następnie wydrukowany oddzielnie z komentarzem następującym: „Dowiedziawszy się, że dzielnym żołnierzom pod Sewastopolem (dumny jestem, że mogę być ich współrodakiem), podobała się moja balada o szarży w Bałakławie, poleciłem wydrukować dla nich tysiąc egzemplarzów tego wiersza. Wiem, że im to pismo nic nie przyczyni do sławy nabytéj w Krymie, lecz nie wątpię, iż życzliwie przyjmą odemnie tę balladę wraz z oświadczeniem, że i ci co siedzą w domu czczą ich i kochają“ (1855).

(*dok. nast.*).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Doroczne posiedzenie Akademii francuzkiéj. — Dzieła uwieńczone konkursową nagrodą w końcu 1885 roku: „Historya monarchii lipcowéj“ p. Thureau-Daugin. — „Historya handlu we Francyi“ p. profesora Pigeonneau.—„Szymon z Monfort, hr. Lejcester“ p. d-ra Bemont.—„Książę Rohan i protestanci za czasów Ludwika XIII-go“ przez Henryka de la Garde. — „Fenelon w Cambrai“ p. księcia de Broglie. — „Brahminizm i stosunek jego do Judaizmu i Chrześciaństwa,“ przez biskupa Laouenan z Pondichery. — „Historya powszechna literatury nowożytnéj,“ przez profesora Marc Monnier, zmarłego w Genewie.—„Filozofowie z Akademii francuzkiéj“ przez Lucyana Brunet.—„Wybrzeża Francyi,“ przez Karola Vatlier z Amboyse. — „Życie kocznownicze na drogach angielskich w XIV-ym wieku“ p. Jusserand.—„Mowy pogrzebowe Bossueta“ z komentarzem p. Jacquinet.—„Chrestomatya starego języka francuzkiego“ p. Constans. — „Gramatyka starego języka francuzkiego“ profesora Cledat.—Literackie utwory Pawła Bourgot. — Poezye Andrzeja Lemoine.—„Sekcye filozofii“ prof. Eliusza Rabier.—„Potęga Francyi“ p. Jeanerod.—„Jan z Vivonne“ przez hr. Guy de Bremond. — Powieść „Tony“ pani Beutzon.—„Najlepszy dział,“ powieść p. Tinseau.—„Dziedzictwo ojca Farruel“ p. La Salle.—Dzieła pedagogiczne: „Projekta panny Marcelli“ p. Desbeaux.—„Wychowanie w rodzinie“ pani Samson.—„Nowe zdobycze naukowe“ Ludwika Figuier.—„Życie i prace wielkich wynalazków“ barona Ernouf.—Wielkie przykłady starożytności chrześciańskiéj p. Pelissier. — Dwa poemata na zadany temat „Sursum Corda:“ panny Loiseau i kapitana Berelli.—Przyjęcie do Akademii Józefa Bertrand:—Mowa Pasteura.—„Kapłan z Nemi,“ dramat filozoficzny Renana. — Jakobici, dramat Fr. Coppée.—Odczyt generała Tcheng-ki-Tong, „o cywilizacyi chińskiéj.“—„Pamiętniki dzisiejsze“ p. Bonnieres.—Dzieło w niemieckim języku: „Die Mutter“ przez p. Michała Żmigrodzkiego.

Pierwszą kronikę tegoroczną rozpoczynamy od wskazania dzieł, uwieńczonych na akademickim konkursie. Zdaniem naszém, przed-

miot to najważniejszy, gdyż najlepiéj świadczy o ruchu umysłowym we Francyi, ruchu, którego ani klęski zewnętrzne ani wewnętrzne zatargi powstrzymać nie zdołały. Jeśli Francya utraciła na chwilę głos w politycznych sprawach świata, jeśli w domowym ustroju dopuszcza się błędów i szaleństw, jeżeli skażoną beletrystyką rosiewa na zewnątrz zarazę, to z drugiéj atrony, na polu nauk ścisłych i poważnéj literatury, okazuje niewygasłą żywotność. Zrozumiał to doskonale poeta Teodor Banville. W dramatycznym obrazku, który świeżo pojawił się na deskach teatru francuzkiego, przez usta Sokratesa przemawia poeta do Ateńczyków, zatrwożonych gradem klęsk sypiących się na naród: tam zawistny Spartańczyk ostrzy miecz na Heladę, tu morowa zaraza dziesiątkuje kwitnące niegdyś grody. Poeta ma na myśli Francyą, dowodem tego sam zapał, z jakim woła na przerażonych braci:

Bądźmy Ateńczykami! wszak nam w żyłach płynie
Krew bohaterskich ojców, słynnych w Salaminie!
Bądźmy jak oni dzielni, jak oni bez trwogi,
Kiedy kraj twardą stopą Pers przyciskał srogi,
Gdy nam przyjdzie w pomroku szermierzyć z kolei,
Niech nam przyświeca pamięć boskich Propylei.
W koło świętych przybytków niech krąży myśl nasza,
Gdzie Niebian odtworzyło dłuto Fidyasza.
Aby nam duch nie upadł w prób stanowczéj chwili,
Czyńmy to, co przesławni ojcowie czynili.
I dla nas do zapasu błyska nowa doba,
Sofokles i Eurypid żywi jeszcze oba,
Na czole ich Eschila kwitnie bluszcz zielony,
Niech nauczy w teatrze poeta natchniony,
Jak w kraju, co się rozrósł w dniach próby i klęski,
Cudotwórcza pieśń wieszczów rodzi czyn zwycięzki.
Złote ziarno na każdém posiewajmy polu!
Patrzą na nas bogowie z wyżyn Akropolu,
Daléj mistrze za pędzel, za lirę i dłuto!
Tkaczu, chwyć cewkę niémi purpury nasnutą,
Siejmy zboże na roli, w sadzie szczepmy drzewa,
Niech nam kłosy falują, niech owoc dojrzewa;
Opiewajmy olbrzymów, budujmy świątynie,
A niech między żywymi cześć umarłych słynie.
Bądźmy wielcy jak oni!

Głos ten nie jest głosem wołającego na puszczy. Poeta wydobył go z piersi, patrząc z otuchą na żywotność, jaką Francya rozwija na każdém polu. Przypatrzmy się i my téj niezmordowanéj działalności. Dowodem jéj dzieła nadesłane na tegoroczny konkurs w tak wielkiéj liczbie, że mimo kilkudziesięciu nagród, cząstka ich zaledwie

uwieńczoną być mogła. Większa część otrzymała tylko zaszczytne wzmianki.

Pierwsza nagroda imienia Gobert przypadła p. Thureau-Daugin, za „Historyą monarchii lipcowéj.“ Dwa pierwsze tomy dopiéro opuściły prasę. Dzieło to odznacza się gruntownym poglądem, umiarkowaniem i bezstronnością, a do tego jasnym i pięknym stylem.

Drugą nagrodę Gobert otrzymał profesor Sorbonny Pigeonneau, autor „Historyi handlu we Francyi.“

Na konkurs imienia Therouanne nadesłano dwadzieścia sześć prac, z tych Akademia odznaczyła dwie najznakomitsze, przyznając innym niezaprzeczoną wartość. Połowę nagrody otrzymał dr. Karol Bemont za znakomitą monografią p. t. „Szymon Monfort hr. Lejcester.“ Ów Szymon, syn innego Szymona, głośnego wodza krucyaty przeciwko Albigensom, pozostawił po sobie najpiękniejszą pamięć i stał się o tyle popularnym w Gaskonii, o ile ojciec jego wypisał krwią imię swoje w dziejach przypirenejskich ludów. Autor z niepospolitym talentem wydobył na światło dzienne tę wspaniałą postać XIV-go wieku.

Drugą połowę nagrody otrzymał Henryk de la Garde, autor historycznego dzieła „Książę Rohan i protestanci za czasów Ludwika XIII-go.“ Przedstawiając zaciętą walkę księcia Rohan przeciw kardynałowi Richelieu'mu, autor okazał się bezstronnym sędzią. Jeżeli z jednéj strony widocznie sprzyja księciu, z drugiéj znów pokazuje w całém świetle geniusz wielkiego kardynała.

Nagroda fundacyi Bordin przypadła téż dwom laureatom; większą część otrzymał książę Emanuel de Broglie, autor dzieła p. t. „Fenelon w Cambrai.“ O tém znakomitém dziele wspominaliśmy dość obszernie w ostatniéj kronice naszéj, nie będziemy téż zatrzymywać się nad niém. Drugą część nagrody przysądzono biskupowi Laouenan, apostolskiemu wikaryuszowi w Pondichery, za pełne erudycyi studyum o Brahmanizmie i stosunkach jego z Judaizmem i Chrześciaństwem. Badania te wielką mają doniosłość naukową, zwłaszcza, że dokonane w Indyach Wschodnich, gdzie Brahmanizm jest dotąd panującą religią tubylców.

Sumę 6,000 franków, fundacyi Marcelina Guerin, Akademia rozdzieliła pomiędzy czterech laureatów. Pierwszą część otrzymać miał Marc Monnier, profesor literatury w uniwersytecie genewskim, zmarły nagle w chwili, kiedy sąd konkursowy przyznał mu nagrodę, złożono no ją pozostałéj rodzinie.

Marc Monnier, osiadły od lat kilkunastu w Szwajcaryi, przedsięwziął wielką pracę: „Historyą powszechną literatury nowożytnéj.“ Zamierzył on zestawić obok siebie literatury różnych krajów, pokazać wzajemne ich oddziaływanie, a tém samém śledzić rozwój myśli i sztuki, objawiający się równocześnie w rozmaitych stronach świata. Pracował usilnie nad wypełniem tak rozległego programatu. Pierwszy tom téj pracy nosi tytuł „Czasy odrodzenia, od Dantego do Lutra,“ drugi tom „Czasy reformy, od Lutra do Szekspira.“ Oba pełne głę-

bokiéj erudycyi, ale zaprawno duchem protestanckim, autor bowiem należał do gorliwych wyznawców reformowanego kościoła.

Drugą część nagrody przyznano Lucyanowi Brunet za jednotomowe dzieło p. t. „Filozofowie z Akademii francuzkiéj.“ Autor wziął sobie za cel pokazać, jaki udział wzięli akademicy w ruchu filozoficznym drugiéj połowy XVIII-go wieku, za czasów d'Alemberta, Woltera i Monteskiusza.

„Akademia francuzka, mówi Brunet nie była nigdy popularną: Wolter przyjęty do uczonego grona, powtarzał sarkastycznie, że jest jednym z czterdziestu niepożytecznych członków kompanii. W kilka lat późniéj, śledząc z daleka jéj działanie, tak zwany patryarcha z Ferney uderzył się w pierś ze skruchą i wyznał, że Akademia wielki przynosi pożytek, przechowuje bowiem tradycyą wytwornego smaku, zacierającego się coraz bardziéj we Francyi. „Potrzeba, mówił on, zachować tę tradycyą, równie jak zachowujemy starożytne pomniki, aby służyły za drogoskaz dla następnych pokoleń.“

Dzieło Bruneta napisane bez pretensyi, obejmuje mnóstwo zdarzeń, anegdot i dokumentów, nadzwyczaj zręcznie zestawionych.

Trzeci laureat Karol Vatlier z Amboyse, w dziele p. t. „Wybrzeża Francyi,“ dał dowód gorącego patryotyzmu; opisuje on z miłością pomniki starodawnéj architektury religijnéj, przechowane po nadbrzeżnych miastach: w licznych drzeworytach pokazuje wierne ich reprodukcye, przypomina legendy i podania, przyrosłe jak zwoje bluszczu do starych murów. Dzieło swoje poświęca tym, którzy ukochali Francyą.

Czwarty nakoniec dział nagrody otrzymał p. Jusserand, autor ciekawéj książki: „Życie koczownicze na drogach angielskich.“ O téj zajmującéj pracy mówiliśmy już obszernie w roku zeszłym, jako o pełnym życia i poezyi obrazie ludu angielskiego w XIV-ym wieku.

Konkurs pod imieniem Archon Desperouse, ufundowany dla filologów i erudytów, ściągnął w tym roku nadzwyczaj liczną konkurencyą. Z mnóstwa dzieł nadesłanych, Akademia wybrała trzy najgodniejsze nagrody. Pierwszą z tych praca p. Jacquinet: nowe wydanie pogrzebowych oracyi Bossueta. Pomnikowa ta praca nową jest odpowiedzią na sarkastyczne żarty niemców z lekkiéj literatury francuzkiéj. Nie idzie zatém, żeby komentarz p. Jacquinet miał być ciężko uczonym, a przez to dostępnym wyłącznie dla erudytów; przeciwnie, ukształcony ogół odczyta go z przyjemnością i pożytkiem: uwagi to bowiem pisane jasno, w sposób zajmujący. Do każdéj mowy żałobnéj autor dodał rozprawkę historyczną. Z całém poszanowaniem dla genialnego oratora, ale z bezstronnością sumiennego historyka, pokazuje, że Bossuet niekiedy ze względu na wysokie dostojeństwo zmarłych osób, pokrywał milczeniem ich słabości i wady. Z równą tu sumiennością krytyk odpiera zarzuty panegiryzmu, niesłusznie czynione Bossuetowi. Nie pierwsza to praca autora w tym kierunku; przed laty kilku wydał on historyczne dzieło Bossueta „Dis-

cour sur l'histoire universalle“ i dopełnił je komentarzem. I kiedyż to, pytamy, nasz Skarga doczeka się podobnego wydawcy?

Drugą nagrodę otrzymał p. Constans, uczony filolog, za „Chrestomatyą starego języka francuzkiego.“ Jest to obraz średniowiecznéj literatury francuzkiéj, przedstawiony w starodawnych pomnikach, dopełniony glosaryuszem.

Trzeci laureat p. Cledat, profesor średniowiecznéj literatury w fakultecie lyońskim, wykonał dzieło podobnéj treści p. t. „Gramatyka starego języka francuzkiego.“

Oprócz premiów konkursowych za prace ściśle określonéj treści, Akademia rozporządza kilkoma innemi, które fundatorowie Vinet, Lambert i inni, bezwarunkowo jéj powierzyli. Te premia otrzymują zwykle zasłużeni w literaturze weterani, za całość prac dokonanych, lub też młodzi pisarze, świetnie rozpoczynający swój zawód, na zachętę do dalszéj pracy. Taką zachętę w medalu wartości 5,000 franków otrzymał Paweł Bourget, młody literat, który w ostatnich czasach zjednał sobie wielki rozgłos w świecie paryzkim. Kto czytał paradoksalny romans autora: „La double enigme,“ lub też nacechowane pesymizmem jego rozprawy literackie, ten łatwo odgadnie walki w konkursowym areopagu, nim sąd wydanym został. Większość jednak przechyliła się na stronę świetnego stylisty, ztąd zapewne, że głównym obowiązkiem Akademii stać na straży pięknego języka, a pod tym względem Bourget nie da się dziś nikomu ubiedz. Sekretarz Akademii, p. Doucet, wygłaszając imię laureata, uczynił jednak surowe a słuszne zastrzeżenia. Przytaczamy tu jego słowa, trafnie bowiem charakteryzują uwieńczonego pesymistę.

„P. Bourget nie weźmie nam za złe, rzekł poważny sekretarz, jeśli stawiając go w gronie świetnych pisarzy dzisiejszych, mówiąc o nim, jako o autorze, który najsilniéj poruszył opinią publiczną, dodam, że najwytrawniejsi sędziowie wystąpili przeciwko niemu z wielką surowością. „Okrutna zagadka!“ jak zatytułował młody pisarz ostatnie, najwięcéj zachwalone a najostrzéj krytykowane swoje dzieło. Poeta i powieściopisarz zarazem, czy to tworzy wierszem czy prozą, ten potomek Balzaka i Spinozy, ten duch pokrewny Manfreda i Wertera, okazuje się myślicielem, marzycielem i prawie uczonym, a nadewszystko głębokim znawcą tajemnic duszy ludzkiéj.

U niego dramat odbywa się w ideach, a nie w przygodach życia, to też w powieściach swoich raczéj bada niż szuka dramatycznych sytuacyi, z upodobaniem przeprowadza tezy a nawet paradoksa. Styl jego wytworny, obrazowy, a niekiedy wyszukany, mógłby łatwo obejść się bez sztucznych ozdób, których nadużywa czasami. Gotów on poświęcić nieraz poprawność języka, byle nadać mu więcéj blasku. Ta gra podoba się panu Bourget, a powodzenie, jakie znalazł, utrzymuje go w błędzie. Znam takich, którzy oceniają więcéj jego wady niż istotne zalety. Akademia przecież, ze względu jedynie na zaletę

autora, ofiaruje swe premium, jako zachętę do świetnie rozpoczętego zawodu.“

Część z fundacyi Witeta przyznana Andrzejowi Lemoine. „Ten nie ma orlich polotów, rzekł sekretarz, wystarcza mu pióro łabędzie. Akademia nagradza w nim poetę pełnego wzniosłych uczuć i wysokiéj godności osobistéj.“

W podobny sposób Akademia nagrodziła kilku pracowników, oddawna zasłużonych na niwie literatury. Jeden z nich Honoryusz Bonhomme, poświęcił dwadzieścia lat na wszechstronne badanie XVII-go i XVIII-go wieku; drugi ośmdziesięcioletni Roux-Fernand, mimo późnego wieku, nadesłał w tym roku na konkurs „Dykcyonarz filozoficzny,“ dzieło niepospolitéj wartości. Trzeci nakoniec Ernest Lyonet, dotknięty w pełni lat utratą wzroku i słuchu, pozbawiony wszelkich środków do życia, mimo kalectwa swego, podyktował mały tomik pod tytułem „Doktor Chabot.“

Nagrodę fundacyi Lambert'a rozdzieliła Akademia pomiędzy dwie autorki, zasłużone na polu pedagogii. Jedna z nich panna Emilia Carpentier, napisała dziełko pełne uczuć patryotycznych p. t. „Dziatwa alzacka i lotaryńska;“ druga pani Marta Bertin, wydała książkę pożyteczną dla młodych czytelników p. t. „Pani Gramatyka i jéj dzieci.“

Nagroda Jouy za prace literackie, czy to w formie powieści czy krytyki, poświęcone badaniom obyczajów współczesnych, powołała do konkursu sześćdziesięciu zdolnych autorów. Z tych dwóch otrzymało premia. Pierwszy z nich Quatrelles wydał ciekawe dzieło krytyczne p. t. „Listy do uczciwéj kobiety.“ Wyprowadza on na scenę dwie osobistości: dojrzałego paryżanina i wdowę w średnim wieku, zamieszkałą na prowincyi; oboje związani ścisłą przyjaźnią, zamieniają listy pełne dowcipu i wdzięku poetycznego, dotykając rozmaitych przedmiotów, to literatury, to spraw bieżących, a nawet polityki. Niekiedy spierają się w delikatny sposób. Wdowa przywiązana do niepodległości, matka dorastającéj córki, długo odmawia ręki przyjacielowi; ten ze swéj strony nalega coraz silniéj, aż w końcu odnosi zwycięztwo.

Drugi laureat, Bernard Deroues, przysłał na konkurs dzieło pod tytułem „Types et Travers“ (typy i dziwactwa). Jest to szereg małych obrazków, pełnych życia, wziętych prosto z natury. W tym kalejdoskopie przesuwają się typowe postacie z dzisiejszego społeczeństwa, oddane w sposób dowcipny i charakterystyczny.

Liczniejszy poczet współzawodników przedstawił się do konkursu Monthion'a. Nadesłano sto trzydzieści ośm dzieł rozmaitéj treści, wszystkie stosownie do programu, nacechowane myślą zdrową, wszystkie według świadectwa sekretarza Akademii zasługujące na uznanie. Sąd konkursowy w obec takiéj obfitości znalazł się w trudném położeniu, fundusz bowiem (17,500 fr.) pozwala tylko na wynagrodzenie dwunastu laureatów. Wybrano więc dwanaście prac najrozmaitszéj tre-

ści, odznaczających się wyższą nad inne wartością. Przebiegnijmy kolejno imiona autorów i tytuły dzieł uwieńczonych.

Pierwszy laureat Elizeusz Rabier p. t. „Lekcye filozofii,“ napisał studyum nad działaniem inteligencyi, nad wrażeniem przyjemności i bólu; nad rozmaitą formą skłonności naszych, przywyknieniem instynktów, wreszcie nad sposobem wyrażania piękna. Autor rozbiera tu zasady pozytywizmu francuzkiego i empiryzmu angielskiego, i w nowém świetle stawia je przed okiem czytelników.

Druga praca uwieńczona do innéj całkiem należy kategoryi. W dziele p. t. „Potęga Francyi,“ dawny wojskowy p. Jeanerod rozbiera ważne pytanie, dotyczące reorganizacyi wojska. Uwagi te wsparte na doświadczeniu, autor bowiem dowodził oddziałem w północnéj Francyi, podczas smutnéj wojny w 1870 roku.

Trzecia nagroda przypadła hrabiemu Guy de Bremond, za biografią pradziada Jana z Vivonne, zawołanego szermierza i dyplomaty z XVI-go wieku. Śmiały gaskończyk, nieustraszony w boju, gotowy zawsze do ofiary, i ramieniem i radą wspierał dzielnie młodego księcia Bearnu, w zabiegach o tron francuzki, na którym miał zabłysnąć pod imieniem Henryka IV go. Niezmordowany w posługach Jan z Vivonne styrał w nich siłę, zdrowie, a nakoniec stracił i życie. Ta ciekawa postać posłużyła niewątpliwie Dumasowi, za wzór do jego „Muszkieterów.“ Jan z Vivone był ojcem markizy Rambouillet, słynnéj rozumem i nauką, któréj salon za czasów Ludwika XIII-go zastępował miejsce akademii, nim ją założył kardynał Richelieu.

Dwie nagrody za powieści z życia współczesnego przypadły: pani Beutzon, autorce pięknego romansu p. t. „Tony,“ i panu de Tiaseau, autorowi wybornéj powieści p. t. „La Meilleure part“ (najlepszy dział); obie odznaczają się wdziękiem stylu i głęboką znajomością ludzkiego serca.

Do działu powieści należy też pełna wartości książka pana La Salle, słusznie zaszczycona nagrodą, pod tytułem: „Dziedzictwo ojca Farruel.“ Celem autora było, jak mówi sam we wstępie, dać ukochać wieśniakom życie rolnicze, i pokazać jak wielkie niebezpieczeństwo grozi tym, którzy opuszczają lekkomyślnie swój zagon i domowe ognisko, a pędzeni chorobliwym szałem, spieszą do wielkich miast, gdzie zamiast łatwego zarobku spotykają nędzę i upadek moralny.

Reszta dzieł uwieńczonych należy głównie do wydziału pedagogii. Wymieniamy tu naprzód powieść Emila Desbeaux, przeznaczoną dla młodzieży, pod tytułem: „Projekta panny Marcelli i pana Roberta.“ Powiastka to zajmująca, pełna przygód dramatycznych, napisana z niepospolitym wdziękiem. Młody jeszcze autor ukochał dziatwę i pracuje wyłącznie dla niéj.

Otrzymała też premium pani Samson, autorka wybornego dzieła p. t. „Wychowanie w rodzinie“ (Une education dans la famille). Pełna miłości matka przemawia tu do matek, daje im poznać wielkość obowiązków macierzyńskich, nie słowami, ale szeregiem obrazów.

Bierze za rękę małą dzieweczkę, prowadzi ją od dnia do dnia, od roku do roku, czuwa nad nią pilnie, rozwija umysł jéj, krzepi siły fizyczne, prace jéj urozmaica zabawą i nie spuszczając z oka córki, doprowadza ją do chwili, kiedy uzbrojona na wszelkie przygody życia, może śmiało doprowadzić ją do ołtarza i wypuścić z pod macierzyńskich skrzydeł.

Trzy inne nagrody, odpowiednie szczególniéj myśli Monthion'a, Akademia przeznaczyła dla autorów, którzy wzięli sobie za cel kształcić ogół, dając im pokarm zdrowy i pożyteczny. Do tych należy Ludwik Figuier, niezmordowany pracownik, który od trzydziestu lat stara się uczynić nauki ścisłe dostępnemi dla mniéj przygotowanych czytelników. Do licznego szeregu dzieł dodał on w tym roku osobny tom p. t. „Nowe zdobycze naukowe."

Ten sam charakter ma uwieńczone dzieło barona Ernouf p. t.: „Życie i prace wielkich wynalazców francuzkich," wskazujące ludowi, jak wytrwałością i silną wolą, można dojść do znaczenia i chwały.

Najsłuszniejszą nagrodę otrzymał nakoniec uczony pedagog, Pelissier, który w ciągu trzydziestu lat, pomimo zajęć profesorskich, znalazł czas na wydanie całego kursu nauk filologicznych w dwudziestu czterech tomach. Oprócz tego nadesłał na konkurs, pełne wartości dzieło p. t.: „Wielkie przykłady starożytności chrześcijańskiéj." Autor pokazuje w obrazie historycznym, ile religia uczyniła i czyni dla jednostki, rodziny i państwa. Jest to antologia chrześcijańska, praca nadzwyczaj wielkiéj doniosłości.

W tym roku przypadał właśnie konkurs poetyczny. Na zadany przed dwoma laty przedmiot Sursum corda, odpowiedziało dwustu czterdziestu współzawadników; wymowny to dowód, że umysły stęsknione za ideałem, usiłują dźwigać się w górę. Wielu upadło nie dobiegłszy mety; z tylu powołanych dwoje tylko zdołało wzbić się nad poziom równym lotem. Jeżeli jeden utwór przeważał siłą, drugi za to czarował wdziękiem niepospolitym. Wartość obu tak była równa, że sąd akademicki musiał wzorem Salomona, rozdzielić nagrodę na dwie równe połowy. Uwieńczone osobistości tworzą prawdziwą antitezę; jedną jest bowiem młoda panienka, Joanna Loiseau, drugą dzielny żołnierz, osmalony w prochu bojowym, kapitan Borelli. O panience wiemy tylko, że przebywa w Paryżu, że pracuje wytrwale i poraz drugi zdobywa wieniec akademicki. Żołnierza dłuższy zawód i burzliwsze koleje. Ciężko ranny pod Solferino, ozdobiony na polu bitwy zaszczytnym krzyżem, po kampanii r. 1871, opuścił służbę wojskową. Przed dwoma laty pochwycił znów za oręż, pośpieszył do Tonkinu, gdzie odznaczył się chlubnie i wysłużył stopień komendanta, Na pełném morzu o 2000 mil od ziemi ojczystéj, wyśpiewał piękny swój poemat. Rzecz dziwna! dwa głosy wybiegłe z dwóch krańczyn ziemi, głos natchnionéj dziewicy i głos walecznego żołnierza, zbiegły się harmonijnie w słonecznym świecie ideału. Oba poemata odczytane były na zebraniu akademickiém, ale żaden z nich dotąd nie uka-

zał się w druku. Skoro to nastąpi, damy je bliżéj poznać czytelnikom naszym.

Jako zadanie do przyszłego konkursu, ogłoszono temat Pallas-Athene. Jest to parafraza tegorocznego Sursum corda, ideał uosobiony w bogini, która wiodła starożytnych helenów do zwycięztwa i chwały.

W tydzień po téj uroczystości, Akademia obchodziła inną: mówimy o przyjęciu nowego członka Józefa Bertrand, wielkiego matematyka. B. zajmował miejsce po zmarłym chemiku Janie Dumasie, wprowadzał go zaś w progi Akademii zasłużony i głośny Pasteur. Zbieg trzech imion, znanych przeważnie na polu nauk ścisłych, budził niejaką obawę w słuchaczach nieprzygotowanych do pojęcia ostatnich wyników w przedmiocie chemii i matematyki; obawa ta jednak okazała się płonną. Tak Aleksander Bertrand utopiony w cyfrach, jak Pasteur w retortach swego laboratoryum, umieli na ten dzień, jeśli nie zapomnieć o nauce, to przynajmniéj przemówić do zwykłych śmiertelników w dostępny dla nich sposób, stylem świetnym, prawdziwie akademickim, a co więcéj, z tém żywotném ciepłem, właściwém ludziom głębokiéj nauki, którzy aczkolwiek oddani specyalnym badaniom, wybiegają chętnie myślą w nieskończony świat ideału.

Pięknie wyraził to Pasteur w mowie do nowego kolegi: „Akademia, rzekł on, miłem będzie dla myśli twojéj wytchnieniem. Wśród téj rozmaitości prac i talentów ocenisz wymowę pod rozmaitemi jéj postaciami; ocenisz poezyą w jéj formie, to najwznioślejszéj, to znów najrzewniejszéj, sztukę dramatyczną, to analizującą głęboko serca i charaktery, to znów pobudzającą do wesołego śmiechu; ocenisz tu wreszcie krytykę, nie ograniczającą się, jak niegdyś na panegirycznem uwielbieniu, lecz opartą na filozoficznem dochodzeniu przyczyn i następstw. Kiedy kto, jak my obaj, żył długo zamknięty w obrębie nauk specyalnych, z celem ściśle oznaczonym i dotąd obraca się w tém kole, to nagłe przejście z atmosfery laboratorum do atmosfery akademickiéj szczególne sprawia wrażenie. Czujemy się jak owi górnicy, długo zagrzebani pod ziemią, zmuszeni tam chodzić po omacku, gdy się uczują w jednéj chwili wydobyci na światło, postawieni w pośród rozkwitłych drzew i zielonéj murawy. Niech bowiem niechętni jak chcą krytykują Akademią, niech jéj zarzucają, że nie podąża naprzód z ruchem literackim, musimy jednak przyznać, że wszystkie najpiękniejsze cechy plemienia naszego, i szlachetny zapał, takt, niezrównany wdzięk, satyryczny dowcip, zbiegają się w tém żywotném ognisku. Jeśli niekiedy literatura pragnie zbliżyć się i przeniknąć naukę, to z drugiéj strony, my specyaliści, powołani in partibus do grona literatów, czujemy całą słodycz zetknięcia się z ideą wzniosłą, jaką od trzech wieków przedstawia Akademia francuzka.“

Obaj uczeni przebiegli kolejno pracowity i zasłużony żywot Jana Dumasa. Bertrand zatrzymał się szczególniéj nad początkiem je-

go zawodu; jak po ukończeniu elementarnych szkół w Alais, ubogi chłopiec pożegnał rodziców i spragniony nauki puścił się pieszo do Genewy; jak otrzymawszy miejsce subjekta w aptece, pracował mozolnie po nocach w ciasnéj izdebce, jak nowemi pomysłami zwrócił na siebie uwagę uczonych genewczyków; jak do téj ubogiéj izdebki za apteką przychodził wielki Humboldt i słowami zachęty budził zapał w chciwym wiedzy młodzieńcu. Ukazał potém owego aptekarczyka na szerokiéj arenie paryzkiéj, jak o własnych siłach, wspinając się ze szczebla na szczebel, obejmował coraz nową katedrę chemii, to w szkole politechnicznéj, to w Atheneum, to w Sorbonie, aż zabłysnął nakoniec jako założyciel szkoły centralnéj, jako minister i członek dwóch akademii, jako prezydent niezliczonych kongresów i rozjemca we wszystkich sporach naukowych.

Ale głębiéj od wymownych słów matematyka Bertranda, poruszyły słuchaczów słowa Pasteura, związanego z Dumasem długoletnią przyjaźnią i wdzięcznością, jaką genialny uczeń, zachował w sercu dla genialnego mistrza swego.

„On to, mówi Pasteur, odkrywał przed nami nowe, szerokie widnokręgi, on rozbudzał siłę twórczą w swych uczniach, wskazywał im przyszłe powołanie. Kiedy otrzymałem pierwszą katedrę chemii opodal od Paryża, myśl o nim dodawała mi bodźca i siły w osamotnieniu mojém. Ilekroć wpadłem na jaki szczęśliwy pomysł, powtarzałem w duchu: i cóż on na to powie?...“ później, kiedy rzuciłem się z zapałem do nowych odkryć, usiłując przynieść własną cegiełkę do postępu nauki, w któréj on był mistrzem naszym, jego pochwała opłacała mi hojnie wszelkie trudy.

„Każdy z poczynających pracowników, dodaje Pasteur, miał w nim najgorliwszego opiekuna. Kiedy Daguerre, zapoznany z razu, wystawiony na pociski szyderców, marzył o pochwyceniu i zatrzymaniu rysów za pomocą przyrządu swego, nikt nie przypuszczał, aby usiłowania jego przyniosły jakiś owoc. Niespokojna rodzina udała się do Dumasa o radę. Nie szło tu już o wartość pomysłu; rodzina sama nie przykładała do niego żadnéj wagi; szło o to, czyby nie wypadało zamknąć Daguerra w domu obłąkanych. Dumas, wysłuchawszy cierpliwie sprawy całéj, oświadczył się stanowczo za Daguerrem. I przez lat piętnaście, nie dość że go bronił z zaciętością, ale dodawał mu odwagi. Śmiało! idź naprzód! powtarzał to bez ustanku, aż nareszcie po latach piętnastu Daguerre stanął przed Dumasem i ukazał mu przyrząd. Daguerotyp został wynaleziony!...“

Z miłością przebiega Pasteur życie mistrza swego, wspomina jego słowa, pełne głębokiéj mądrości, widzi w nim żywe uosobienie demokracyi w wielkiém znaczeniu tego słowa.

„Prawdziwa demokracya, rzekł on, jest to, co pozwala jednostce wznieść się najwyżéj i przynieść światu najbujniejsze plony wysiłków swoich. Subiekt aptekarski, który wytrwałą pracą wzbił się do takich wyżyn, iż prezydował pierwszym uczonym w świecie, jakiż to

wielki przykład! I czemuż niestety! w obec takiéj demokracyi widzimy inną, bezpłodną i niebezpieczną, która, pod pozorem jakiejś urojonéj równości, marzy o zniweczeniu jednostki i utopieniu jéj w państwie. Ta fałszywa demokracya upodobała sobie miernotę, na wszelką wyższość podejrzliwem patrzy okiem. Jedném słowem, to liga wszystkich tych, którzy chcą żyć bez pracy, spożywać bez produkcyi, rządzić bez właściwego przygotowania, dochodzić zaszczytów bez zasługi!

Zmuszeni jesteśmy wspomnieć tu o dramacie filozoficznym Renana, pod tytułem „Kapłan z Nemi," bo jakże tu nie mówić o dziele, które poruszyło pióra wszystkich krytyków, które w kilka dni po wyjściu na widok publiczny, rozbiegło się w dziesięciu wydaniach. A cóż tu z drugiéj strony powiedzieć o utworze, którego zrozumieć nie podobna, tyle w nim nagromadzonych sprzeczności?... Autor pełną ręką rzuca paradoksa, zbija jedne drugiemi, daje do rozwiązania zagadkę, któréj ostatnim wynikiem przerażającym słowo... n i h i l!

Forma filozoficznego dramatu przypomina nieco Irydyona i Niebozką. I tu i tam ścierają się idee, uosobione w typach ludzkich, ale kiedy nasz poeta, filozof chrześciański, po groźnych nawałnicach, ukazuje bezpieczną przystań, wołając w końcu „Galilee vicisti", Renan kończy swój dramacik słowy Jeremiasza proroka: „prace ludzkie pójdą w niwecz, i prace narodów na ogień pójdą i zginą!"

Dramat odbywa się w Albie: opodal na widnokręgu rysują się nowo pobudowane wzgórza; na jedném z nich błyszczy w słońcu Kapitol. Mieszkańcy Alby z trwogą patrzą na to rodzące się miasto, i to z tém większą trwogą, że Sybilla albańska zapowiada mu panowanie nad światem. Alba pierwsza padnie ofiarą, nie obroni jéj wyższa cywilizacya, gdyż ta „ubezwładnia ludy i wytrąca im z ręki oręż."

Wielu krytyków widzi w Albie uosobioną Francyą, w rodzącym się Rzymie uosobione Prusy. Ależ i tu dziwna zachodzi sprzeczność. Gdyby tak było, mógłżeby ów kapłan z Nemi, w którym autor przedstawia najwyższy ideał kapłana, postępowego racyonalisty, odrzucającego ofiary, głoszącego bezskuteczność modlitwy, mógłżeby, powtarzamy, ów kapłan, głosić przez usta Sybilli, konieczność zwycięztwa Rzymu nad Albą? Trudno przypuścić, aby Renan śmiał zapowiadać taki koniec Francyi. Byłaby to zniewaga narodu.

W dyalogach ścierają się najsprzeczniejsze zdania. Widocznie autor parafrazuje zacięte spory w Izbie; patrycyusze stoją na tradycyi, oświecone mieszczaństwo podnosi patryotyzm, demagogi stanowczo powstają przeciw niemu; celem ich: obalić stary porządek a wprowadzić nowy, oparty na prawach równości: „tłum bezmyślny pędzi naprzód jak rozhukany buhaj, ryczy, parska, pluje, miota się; biada temu w kogo ugodzi!"

Dramat kończy się zamordowaniem kapłana, którego współcześni zrozumieć nie mogli. Nagle rozbiega się straszna wieść, iż Romu-

lus zamordował Remusa, stanął gmach nowy, posady jego zbudowane na krwi bratniéj. Alba poddaje się swym losom.

Tak się kończy ów dziwny dramat. Autor wśród niezliczonych sentencyi rzuca i tę: „Nie trzeba nigdy przemawiać do ludu językiem, którego on nie rozumie.“ Dla czegóż, pytamy, Renan, podnosząc ów aksiomat Cycerona, tak bardzo od niego sam odstąpił?

W teatrze odeońskim pojawił się parę miesięcy temu zapowiadany od roku dramat Franciszka Coope'go pod tytułem: „Jakobici.“ Dawno Paryż nie był na takich godach, jak w dniu, gdy go poraz pierwszy przedstawiono. Nie tracąc czasu na przedwstępne uwagi, powtórzmy treść dramatu: niechże on sam świadczy za sobą.

Rzecz dzieje się w Szkocyi. Jakób III-ci, król bez korony, przebywał to w Rzymie, to we Francyi pod opieką Ludwika XV; małżonką jego była Marya Klementyna Sobieska, wnuczka naszego króla Jana. Syn ich dwudziesto-pięcio letni Karol Edward, wychowany w Wersalu, z garstką młodych francuzów, równie jak on chciwych przygód rycerskich, tylko co wylądował na wybrzeżu.

Akt pierwszy odbywa się w górach, we wsi należącéj do klanu Fingallów. Dzień to świąteczny. Na cmentarzu przed wiejskim kościołem, gromadzą się górale. Wieść o przybyciu księcia dobiegła między góry. Fingalle, jakkolwiek nienawidzący rządów panującego domu Hanowerskiego, nie chcą narażać kraju na nowe klęski.

— Dość już krwi popłynęło! woła z goryczą stary Enoch, co do mnie, nie dobędę z pochwy oręża!

Wszyscy potakują mu, jeden tylko dzielny Dunkan występuje śmiało przeciw druchom; krew kipi w piersi młodego górala, ależ on sam jeden w obec tylu zimnych i trwożliwych.

Kiedy radzą, przybywa ślepy żebrak, Angus, wsparty na ramieniu wnuczki Maryi. Starzec ten, wierny Stuartom, stał nad morzem w chwili, gdy przybił do lądu książe Karol-Edward. Opowiada to Fingallom, lecz gorące słowa jego odpadają od serc jak od skały.

Dunkan jeden rozumie starca; skłania go, aby porzucił kij żebraczy. Z ust Dunkana dowiadujemy się, kto jest ów ślepy Angus:

Nie tobie, zacny starcze, znosić głód i nędzę.
Poniewierać włos siwy w téj wiecznéj włóczędze.
Nie tobie to wyciągać po chleb dłoń żebraczą,
Two szlachetne lachmany, my wiemy co znaczą!
Czteréj synowie twoi, szkoty krwi gorącéj,
Gdy mierzył im do piersi wróg tryumfujący,
Nie rzucili zwycięzcom oręża pod nogi,
Woleli śmierć niż hańbę.—Tyś starcze ubogi
Pozostał sam, two oczy zgasły w łez potoku,
Za jedyną podporę masz tylko przy boku
Tę sierotę po synu, co legł pełen chwały;
Czas pod dachem twój głowie spocząć posiwiałéj.

Ale napróżno Dunkan zaprasza starca do ciepłego ogniska swego; Angus z wdzięcznością przyjmuje ofiarę, lecz zadosyć uczynić nie może jego prośbom, Nic mnie, rzecze, w pośród was nie zatrzyma.

Muszę żebrać i stromc przebiegać gór stoki,
A dziecię bohaterskie, co wiedzie me kroki,
Ku celom tajemniczym, gdzie mnie oczy niosą,
Musi o skał krawędzie krwawić nóżkę bosą.
Nie mnie stół i ognisko!... By wypocząć z drogi
Starczy mi chléb i kącik w stajence ubogiéj,
Jutro, nim zorza góry te usrebrzy złotem,
Ja będę już daleko, bo wiedźcież—wy o tém:
Angus, świadek klęsk strasznych, ślub uczynił Bogu:
Zbiegać mu kraj, kołatać od progu do progu,
Wieść głosić o wygnańcach: dopóki Stuarty
Jedzą chléb na obczyźnie litością wydarty,
Póty on wyżebranym żyć musi sucharem.
Póki oni bez tronu, kościom jego starym
Na łożu nie spoczywać, lecz na prostéj słomie,
On utonął w Stuartach, w ich nieszczęść ogromie.
I ślepy żebrak został tułaczem jak oni!
Ilekroć spiż na wieży kościelnéj zadzwoni,
On powtarza w takt dzwonu: „Biada Szkocyi, biada!
I ten łachman i nocny pomrok, co mu pada
Na oczy wypłakane, wyrzut w sercach budzi,
I sromotą rumieni twarz bezmyślnych ludzi.

Górale słuchają obojętnie. Na odgłos dzwonu idą do kościoła. Angus oddala się z wnuczką. Postanawia użyć ostatniego środka, by rozbudzić serca z martwoty.

Wchodzi na scenę podeszły lord Fingall z młodą małżonką lady Dorą. Dzielny wódz klanu, oddany całą duszą Stuartom, gotów walczyć w ich sprawie; młoda małżonka wspiera go silnie w postanowieniu; ona sama pragnie pochwycić oręż.

Gdy górale wyszli z kościoła, lord Fingall oznajmił im stanowczy zamiar.

— „Książę za chwilę stanie pomiędzy nami, rzecze z zapałem stary wódz; chce uderzyć na Londyn, ale

Tych rycerskich czynów
Nie spełni bez tysiąca waszych karabinów,
Czas nabijać muszkiety, niech oręż zadzwoni,
Walka na śmierć! Jam wodzem. Górale! do broni!
Spełnijcie, co wam każę, ufni w mojém słowie:
Jak ojcom moim wasi ufali ojcowie,
Jak na głos mych naddziadów, szły wasze naddziady.

Na głos ten, odpowiedział jedyny głos Dunkana. Pierś wodza zakipiała gniewem; w téjże chwili ukazuje się Angus z wnuczką, za nim grabarz z łopatą.

— „Z drogi! śmierć idzie!" woła ślepy starzec.

— „Kto umarł? pytają górale, i kogóż to grzebać będziemy?

— Któż tu zmarł—woła Angus...

Tak zaprawdę zmarł śmiercią straszliwą...
Do roboty grabarzu! kopże grób co żywo,
O Szkocyo! ja sztandar twój w ziemi pogrzebię!
. . . . . Szkocyo! widzę jeszcze ciebie,
Pełną wiary, ubogą, lecz dumną przed laty,
Nieraz orzeł w błękicie wstrzymał lot skrzydlaty,
By w czystém tchnieniu twojém nowe czerpnąć życie,
I lazur twoich jezior, i śnieg na skał szczycie,
I potok, co roztacza piany srebrem lśniące,
I zielona murawa, i jaskry na łące,
I słonko, co wybiega rankiem z mgliatéj fali.
Ah! wszystko to przeczyste, lecz serce górali
Czystszém było zaprawdę!... Przy ognisku świętém
Rósł góral z dzielną wolą, z karkiem nieugiętym.
Miłością starych wodzów przejęty wskroś cały!
W jego piersi, jak w baszcie wykutéj ze skały,
Spoczywała przysięga z wiarą wyrzeczona,
I z ojców na potomne spadała plemiona.
Kto przysięgą związany, gdy wódz skinął okiem,
Ostrzył miecz o grób ojców, biegł rączym poskokiem
Na bój, gotów dać życie, snadniej niż to pióro,
Co u czapki góralskiej wiatr kołysał górą.
I gdzieżeś stara Szkocyo? ziemio ojców droga!
Nad twoją martwą głową krąży śmierć złowroga.
Tyś umarła... i umarł sztandar głośny w świecie,
Płacze wraz żebrak ślepy i to biedne dziecię.
Wasz grób jeszcze nie gotów... ja go przysposobię,
Będzie długi, głęboki, bo w tym wielkim grobie
Złożym chwałę narodu i narodu klęski,
I drogi niegdyś szkotom proporzec zwycięzki,
I klucz od czarnych lochów, gdzie Maryą więziono,
I topór, co jéj głowę odciął namaszczoną.
. . . . . Kopmy grób głęboki!
Złóżmy w nim łzy wygnańców, krwi ściekłe potoki,
Kobzy naszych gędźbiarzy, strzaskane szablice,
Krople potu, co w bruzdy zorały nam lice,
Zwiędłe liście wawrzynu, chwały dawno szczątki,
Zgasły nasze nadzieje, drogie nam pamiątki,
Wszystko to w grób zagrzebać, grób przywalić gliną,
Niech to świadki przeszłości na wieki zaginą;

A tę glinę stopami podeptać twardemi,
Aby szkocki już ocet nie wykwitł z pod ziemi.

Słowa te wskroś przebodły duszę Fingallom. Widzi to Angus, drżącą od radości ręką wydobywa z zanadrza nowy sztandar, ukazuje go szkotom:

Patrzcie nań, z białym krzyżem sztandar purpurowy,
Z godłem naszych Stuartów tak Fingallom znanem.
Nosiłem go po drogach pod zdartym łachmanem,
To dziecię pracowite, pełne wiary szczeréj,
Wyszyło święte godło złotemi litery.
Niech mój kosztur żebraczy za drzewiec mu stanie,
On żywy powstał z grobu... wróży zmartwychwstanie.

Szkoci pełnym zapału okrzykiem witają drogi sztandar. W téjże chwili ukazuje się Karol Edward, w upudrowanéj peruce, w stroju wersalskim, otoczony gronem francuzkiéj młodzieży.

Niech żyją Stuarty!—wołają setki głosów.

Książę skłania głowę pod sztandarem; dziękuje szkotom i żebrakowi, który trzyma w ręku święte godło; na czole Maryi składa z wdzięcznością pocałunek, widzi w niéj uosobiony obraz Szkocyi. Pocałunek ten roztlił w sercu dzieweczki nieznany dotąd płomień.

— Czego żądasz w nagrodę, starcze,—pyta książę, mów a uczynię wszystko.

— Dla siebie nic... lecz wiele dla Szkocyi, odpowie Angus:

. . . . Bądź dobrym królem! niech twe ludy
Błogosławią cię kiedyś... Ten zastęp, co stanie
Zbrojny pod twym sztandarem, mnie zawdzięczasz Panie,
Jam dla ciebie siał miecze, jak na roli ziarno,
Niech plony z mych posiewów Twoje ręce zgarną.
Potém, gdy szkot zwycięzki skruszy jarzmo cudze,
Myśl o dziatwie tych mężnych, co w kraju posłudze
Wytoczą krew ofiarną... a kiedy na tronie
Siędziesz z berłem w prawicy, w królewskiej koronie,
Po ojcowsku do serca przygarnij lud wierny,
Bądźże mu sprawiedliwy, bądźże miłosierny,
Nie przepomnij, jak wiele twa pamięć mu dłużną,
Ślepy żebrak królestwo daje ci jałmużną!

W pierwszym akcie poeta zarysował silnie węzeł sztuki i określił charakter wprowadzonych do działania osób. W dalszych czterech aktach dramat rozwija się, wypadki następują żywo po sobie. Drugi akt wprowadza nas do obozu księcia. Edymburg zdobyty, odniesione korzyści nad nieprzyjacielem zapowiadają przyszły tryumf.

W obozie gwarno i wesoło; wśród grona amazonek błyszczy nad innemi lady Dora. Lekkomyślny książę, wychowanek dworu wersalskiego, obrał ją za cel niewczesnych zalotów i od razu podbił jéj serce, stumanił wyobraźnią. Aby ujść oka natrętnych świadków, na miejsce schadzki obrali dom pusty na edymburskiém przedmieściu. Nic uszło to ludzkiego oka. Surowi wodzowie klanów odkryli tajemnicę. Nieraz już kobieta gęstym przysłonięta welonem przesunęła się przed ich oczyma. Któż ona jest? oni muszą wyśledzić. Gdyby to była żona jednego z wodzów, opuszczą natychmiast księcia, oddalą się z obozu. Rozstawili tajemne straże. W dniu kiedy zbrojne klany mają wyruszyć w pochód, uwiadomieni, że książę opuścił namiot, biegną do ustronnego domu, pociągają za sobą lorda Fingall. Marya posłyszała ich zmowę, ona odgadła wszystko. Mimo całéj nienawiści, jaką czuje dla Dory, postanawia ocalić ją, aby wraz z nią ocalić księcia i sprawę Stuartów.

W akcie trzecim Marya przybiega do pustego domu; zastaję Dorę samą, ostrzega ją, radaby wyrwać ją ztąd, póki czas... ale dom otoczony, ucieczka niepodobną. Wodzowie klanów kołaczą już we drzwi, wysadzą je niebawem. Marya bez namysłu wpycha Dorę do przyległego pokoju; gdy drzwi pękły, ukazuje się wodzom.

Wszyscy osłupieli. To ona tylko! mówią, wartoż było tylu zachodów? Chcą odejść, nagle ukazuje się stary Angus, powołany przez nich na świadka.

— To nic... to nic... prosta dziewczyna z ludu, mówią wodzowie.

— Zaliż mniejsza w tém hańba! zawoła starzec ze zgrozą. wolnoż to lud znieważać bezkarnie? Takaż to wasza sprawiedliwość? Lecz kto być może ta kobieta? Ślepy starzec usiłuje zbadać rzecz, przemawia do niéj słodko. Ona nic odpowiada... wszyscy milczą. Dziwne to milczenie trwogą przejmuje starca. Wybucha gniewem, podnosi w górę obie ręce, gotów rzucić przekleństwo na głowę nieszczęśliwéj.

— Dziadku! nie przeklinaj mnie! zawoła biedne dziewcze.

Łatwo pojąć rozpacz ślepego starca. Wodzowie odchodzą, zostaje tylko Angus z wnuczką.

— Dziaduniu ja skłamałam—wyszepnie Marya. W téjże chwili Dora wybiega z ukrycia; złamana boleścią i wyrzutem błaga o przebaczenie. Wnet pójdzie na pole zapasów, krwią własną obmyje się z hańby.

Kiedy rozpoczyna się akt czwarty, armia Jakobitów pokonana. Stronnicy Stuartów w rozsypce, książę ścigany pogonią ukrywa się w wąwozach. Jesteśmy w chacie Dunkana. Tu przebywa tajemnie lord Fingall, niepocieszony po stracie Dory, która poległa, walcząc przy nim. Nagle, dają się słyszyć strzały karabinowe; ścigany zbieg wpada do domu, błaga o przytułek. W tym zbiegu Fingall i Dunkan z żoną poznają księcia. Prowadzą go na górę. Podczas gdy książę odpoczywa strudzony, Fingall dziwnym wypadkiem z rąk obłąkanego chłopię-

cia, otrzymuje medalion znaleziony na piersiach zmarłéj żony. List ukryty w medalionie obok portretu księcia, otwiera mu oczy na hańbę własną. Zrozpaczony lord pochwyca topór, biegnie na poddasze, ale przekroczył ledwie parę wschodów, wstrzymuje się nagle... wypuszcza z ręki topór. Wtém wpada oddział Anglików, domaga się zbiega... widziano go przed chwilą jak wbiegł do chaty. Fingall słyszy to z przyległéj izby — oddaje się sam w ręce wrogom, wyznaje, że on był owym ściganym zbiegiem. I on również skazany na śmierć... głową swoją okupi głowę księcia.

W piątym akcie książę błąka się wpośród skał nadmorskich... oczekuje na statek, który ma zabrać go potajemnie. Spotyka tu starego Angusa z umierającą Maryą. Zgłodniały książe, bierze z rąk żebraka chleb podany mu z litości. Łódź przybija do brzegu. Karol Edward składa na czole Maryi żałosny pocałunek... żegna uosobioną w niéj Szkocyą. Marya pół zgasłém okiem, ściga oddalający się statek, a gdy ten znikł przysłonięty skałami, kona w objęciu starca.

Piękny ten dramat, spotkał jednak zawziętych krytyków. Jedni przez zazdrość, inni skutkiem teoryi nienawistnych wyższym ideałom, usiłują odmówić mu wszelkiéj wartości. Zobaczmy jakie to zarzuty sypią w oczy poecie. „Wiersz za nadto piękny! — mówią niektórzy, zachwyca ucho, ale odwraca uwagę od całości dramatu.“ Inni zarzucają zbytek liryzmu, nadużycie przenośni poetycznych. Jeden krytyk miał cierpliwość obrachować ptaki wspomniane w dramacie: ze zgrozą naliczył ich do ośmiu. Inni pomawiają Coopego o plagiat, ztąd że w Burgrafach Wiktora Hugo, jest także patryota, piorunujący na upadek serc w młodém pokoleniu; ztąd, że w innym dramacie „Zabawy królewskie“ jest także dziewczyna, córka trefnisia Tribouleta, zakochana w Franciszku I-szym. Najsmutniejszy zarzut, nie dla poety, ale dla tych, którzy go czynią,... oto: zbytek patryotyzmu!

Poważni tymczasem krytycy uznali dramat za arcydzieło. Ogół potwierdził to uznanie; świadczą o tém gorące łzy zachwyconych słuchaczów.

Rolę Maryi odgrywa młoda debiutantka panna Weber. Głos powszechny wita w niéj nową Rachel.

Dyplomata chiński generał Tcheng-ki-Tong, autor wielce uczącéj książki o Chinach, zaproszony niedawno przez Izbę syndykalną paryzką, miał ciekawą bardzo konferencyą o początkach Chin, o ludności, obyczajach, płodach, handlu i przemyśle tego kraju. Zamieszkały od lat kilkunastu we Francyi, uczony ten dyplomata, włada bardzo dobrze językiem tutejszym, co więcéj, przejął się nie tylko dowcipem, ale i blagą francuzką. Mimo długiego pobytu między obcymi nie zaparł się jednak gorących uczuć patryotycznych, ztąd podnosi może nad miarę instytucye i społeczeństwo chińskie. Słuchając go możnaby wnosić, że Chiny są najpiękniejszym i najszczę-

śliwszym krajem na całéj kuli ziemskiéj. Przypuściwszy nawet trochę patryotycznéj przesady, wyznać musimy, że odkąd pękła przed okiem Europejczyków twarda obręcz muru chińskiego, świat nowy ukazał się przed nami. Z razu widzieliśmy w Chińczykach, jakoby czerwonoskórych tubylców Ameryki, którzy jak wosk topnieli w obec białych. I jakże było sądzić inaczéj, kiedy oto przed laty dwudziestu kilku garstka Francuzów i Anglików zdołała zająć Pekin i zmusić do ucieczki Bohdychana, pana kilkuset milionowéj ludności? Takie to uprzedzone sądy o chińczykach wywołały dziś toczące się we Francyi zażarte spory co do przyszłych jéj stosunków z tym lekceważonym wczoraj jeszcze nieprzyjacielem. A przecież upokorzenie, jakiego doznała dziś Francya ze strony owych pogardzonych chińczyków, przejmuje dreszczem pierwszych mężów stanu, bodaj czy widok tego tak gorąco rozwijającego się w chińczykach patryotyzmu, przy tak chciwém i umiejętném chwytaniu wojennych wynalazków europejskich, nie złamie uporu samych nawet żelaznych Bismarcków, i nie zmusi ich do nowego ustroju Europy, któryby zatrzymał ten nowy a tak groźno zbliżający się potop. Czuje doskonale generał chiński ów niespokojny stan umysłów w Europie, sarkastycznie téż przypomina opinii publicznéj ową zarozumiałość, z jaką ludy Zachodu przyznają sobie we wszystkiém przewagę nad ludami Azyi.

Ale posłuchajmy mowy żółtego generała-dyplomaty: przytaczamy w treści jego konferencyą.

„Zaprosiliście mnie, mówi on, abym powiedział coś o początku Chiu. Ja także, gdym przybył do Europy, zapytywałem uczonych, czy znają początki Zachodu? Mówiono mi o Indyi, jako o tajemniczéj kolebce świata. I dla badaczy naszych mają Indye urok najgłębszéj starożytności: ztamtąd bowiem wyszedł Budyzm, rozpowszechniony dziś między ludami Azyi wschodniéj.

Lud indyjski utrzymuje, że świat obecny przeżył już 5,620,000 lat. Te bajeczne tradycye nie mają wziętości między uczonymi chińczykami, którzy trzymają się nauki Konfucyusza. Wielki nasz filozof i moralista, mógł jak inni twórcy systematów filozoficznych, mieć swoję opinią w tych ważnych pytaniach, ale jéj nigdy nie wyrażał. Był to człowiek u m i a r k o w a n y, w całém słowa znaczeniu. My wszyscy skutkiem wychowania i wrodzonego popędu przywiązujemy się do rzeczy pozytywnych, czego ja wcale nie żałuję, czas bowiem, w którym żyjemy, tak na Wschodzie jak i na Zachodzie, nacechowany jest wyłącznie pozytywizmem. Walka o byt toczy się wszędzie: potrzeba codzień zdobywać nowe siły, aby wystarczyć nowym potrzebom. Bądź co bądź, trzeba stać się pozytywistą. To téż z całém przekonaniem powiedzieć mogę, że nie chiński duch idzie z prądem XIX-ego wieku, ale raczéj XIX-ty wiek stał się chińskim, to jest pozytywnym. Pomawiano nas o zastałość, a oto postęp dostroił się dziś do nas.

.... Praojcowie nasi, ciągnie daléj mówca, mieli podobne do waszych tradycye. I my téż mieliśmy pierwszego człowieka, był on na-

turalnie chińczykiem, a co więcéj cesarzem. Nazywają go P a u - k o n; pojawił się na ziemi przed wiekami. Posiadał moc twórczą, tradycya mówi, że oddzielił niebo od ziemi. Widoczna, że się zbliżamy do Biblii, która mówi téż o podobnym rozdziale. Zresztą w naszym języku, tworzyć znaczy to samo, co rozdzielać, czyli wydobywać rzecz jakąś z istniejącego chaosu.

Podczas, gdy ludy zachodnie przekazują sobie w miarę występujących kolejno społeczeństw, skarby artystyczne i literackie, które stanowią ich chwałę, nasz lud dźwiga się sam pod kierunkiem przyrody, rośnie, postępuje na coraz wyższy szczebel, czyni wynalazki, pracuje, sam jest twórcą własnéj cywilizacyi, nic nie zawdzięcza nikomu. Jego obyczaje i prawa datują od wielu tysięcy lat. W epoce, kiedy nie istniał Rzym ani nawet Ateny, państwo nasze w nieśmiertelnych pomnikach położyło już węgielny kamień swojéj cywilizacyi, posiadało swych myślicieli, swych poetów i prawodawców. Dziś jak kwiat zerwany z łodygi, Ateny i Teby strącone ręką barbarzyńców; uczony Egipt zagrzebany pod piaskami pustyni. Z onéj chwały tak wielkiéj pozostały tylko żałobne pomniki i łuki tryumfalne, głoszące chwałę zdobywców.

My nie doznaliśmy takich katastrof i jak się zdaje, nie mamy nad czém ubolewać.

Chiny właściwe na Wschód i Południe oblane morzem, na Zachód opasane górami Tybetu, na Północ wielkim murem, zajmują przestrzeń 330,000,000 hektarów: na téj przestrzeni żyje przeszło 400,000,000 jednostek. Europa cała liczy zaledwo 280,000,000 ludności, rozsiadłéj po szerszéj daleko przestrzeni. Od końca do końca państwa naszego, wsie dotykają prawie jedna drugiéj, ruch panuje w nich tak ożywiony, jakby w okolicach wielkiego miasta. Płodność ziemi tak wielka, że na niektórych dolinach zbiory powtarzają się trzy razy do roku. Hektar ziemi wydaje do 1400 kilogramów ryżu, co sprawia, że hektar ziemi oceniony na 12 do 30,000 franków. Uprawa roli wymaga zatém wielu rąk, ale tych nie brakuje. Wzrost ludności tak wielki, że wkrótce zabraknie ziemi dla tych rodzących się pracowników. W braku ziemi chińczycy uprawiają téż wodę. Tak jest, na wielu jeziorach i stawach, widzimy tratwy pokryte ogrodami, zieleniejące zbożem. Co więcéj, na stromych krawędziach gór, kwitną ogrody, pełne drzew owocowych. Nie mamy dróg żelaznych, wiadomo to wszystkim, zwłaszcza materyalistom, którzy chcieliby nam dostarczać szyn żelaznych i lokomotyw, ale kraj nasz przecięty siecią kanałów, te wystarczają nam do zamiany płodów naszych. Mamy największe w świecie rzeki a tém saméni naturalne gościńce. Mogłoby to zastąpić drogi żelazne, ale dzisiejsza moda wymaga wielkiego pośpiechu i szybkich pociągów. Za najinteligentnieszych uważani ci, którzy najprędzéj biegną i przybywają pierwsi, acz nie wiedzą, do jakiego celu! Trzeba więc dróg żelaznych. Jest to szczyt cywilizacyi, za nim przyjdą kierowane balony i latające skrzydła.

Zdaniem mojém, pomyślność kraju zależy od liczby mieszkańców. Im większa ludność, tém mniejszy wydatek na jednostkę. W Chinach podatek wynosi zaledwie dwa franki od każdego mieszkańca.

Mówią powszechnie, że wieśniak chiński mało spożywa, że nie zbiera nic i zawsze nieszczęśliwy. Mówią tak wszędzie, wyjąwszy w Chinach, gdzie rolnictwo uważane jako jedno ze źródeł dobrobytu. Ktokolwiek zna Chiny, powie, że włościanin, który posiada pięć hektarów ziemi, wyżywi przyzwoicie rodzinę i odłoży na rok przynajmniéj tysiąc franków. Dom jego czysty, ładny a szczególniéj gościnny, gdyż gościnność spoczywa w obyczajach naszych.

Własność należy nie do osoby, ale do rodziny. Liczba tych rodzin dochodzi do 80,000,000. Każda z nich posiada od dwóch do trzech hektarów ziemi: jest to zwyczajny podział. Rodziny, posiadające dwadzieścia hektarów, już należą do wyjątkowych.

W każdéj z takich własności komunalnych jest cząstka osobna ziemi, zostająca pod szczególną protekcyą, któréj nie wolno żadnym obciążyć długiem. Jestto prawdziwe ognisko rodzinne, tu bowiem zbudowana świątynia, w któréj spoczywają prochy przodków, w osobnym domku zachowane archiwum domowe, akta urodzenia, małżeństwa i śmierci; w osobnym znów szkółka dla dziatek. W takiém to ognisku z pokolenia do pokolenia utrzymuje się duch rodzinny.

Liczba urzędników mała w Chinach, nie przechodzi 25 do 30,000. Samorząd wysoko tu rozwinięty. W rodzinie władza spoczywa w ręku najstarszego. Po miastach są delegowani, wybrani przez rodziny i ci załatwiają sprawy pod przewodnictwem urzędnika władzy centralnéj. Oto i cała teorya naszego rządu. Zamiast jednego parlamentu, mamy osobny w każdém mieście. Zasada wyborów jest kamieniem węgielnym instytucyi naszych. Konfucyusz napisał: „Monarcha jest prostym mandataryuszem ludu."

Nie tylko istnieje wolność polityczna, ale praktykujemy niemniéj wolność sumienia. Wszystkie religie kwitną u nas. Mamy między urzędnikami żydów, chrześcian, muzułmanów, budystów.

Wolność nauczania zupełna. Każdemu wolno otworzyć szkoły, posyłać lub nie posyłać do niéj dzieci. Państwo żąda tylko rezultatów, nie pytając o środki. Istnieje również wolność stowarzyszenia. Nie znamy systematu patentów w przemyśle ani handlu. Cło wcale nie istnieje. Wolność handlu, rzec można, zupełna.

Urzędy publiczne dostępne są wszystkim. Szlachectwo i zaszczyty osiągnąć można pracą. Nigdzie w świecie tytuł uczonego nie jest w tak wielkiém poszanowaniu. Każdy ma prawo do najwyższych dostojeństw. Aby je zdobyć potrzeba tylko talentu. Kasty wcale u nas nie istnieją.

Lud chiński sądzi sam swoje sprawy: nie ma u nas osobnéj magistratury w znaczeniu europejskiém. Rząd mięsza się w sprawy sądowe, w ówczas tylko, gdy powołany przez strony. Uprawa ryżu, któ-

ra zajmuje dwie trzecie części ziemi, a odbywa się rzec można w wodzie za pomocą irrygatorów, byłaby niepodobną przy tak ściśniętéj ludności, bez nadzwyczajnego poszanowania praw sąsiedzkich i bez miłości pokoju.

Herbata, jedwab' i cukier, stanowią główny przedmiot handlu wywozowego. Sprowadzamy za to wyroby wełniane i bawełniane, metale i opium. Ten ostatni produkt przedstawia 250,000,000 franków. Cyfra ta mogłaby was przestraszyć; nie zapominajmy przecież o wielkiéj masie ludności chińskiéj; a jednak dla szczęścia Chin byłoby lepiéj, gdyby ten wydatek nie istniał!

Głównem źródłem handlu jest herbata, dziś tak upowszechniona w świecie całym. Ten drobny listek pozyskał wprzód niż my szacunek zachodnich narodów; jakkolwiek nigdy go nie otrzymują w najlepszym gatunku.

Nic doskonalszego jak filiżanka herbaty pe-koe z dobrego zbioru. Ta pe-koe składa się głównie z młodych pączków wiosennych. Zbieranie ich szkodzi roślinie, ztąd pochodzi wygórowana cena. Jest nawet rodzaj nec plus ultra herbaty Pe-koe, lecz ten posiadają tylko właściciele; nigdy jéj nie wywożono z kraju; to nasze prawdziwe „Chateau Lafitte."

Prelegent zapowiedział następnie, że w przyszłym odczycie da poznać poetów chińskich w tłómaczeniu francuzkiém. „Rzecz pożyteczna, dodaje, uderzyć wstępnym bojem na przesądy i oszczerstwa. Zadanie to dobroczynne nauczyć ludzi, że są wszyscy członkami téjże saméj rodziny ludzkiéj, która ma wyższe cele nad te, jakie może rozstrzygnąć kanonada."

W jednym z tutejszych przeglądów literackich, tenże generał-dyplomata ogłosił obszerne sprawozdanie z teatru chińskiego. Rozbiera szczegółowo mnóstwo dramatów i komedyi, czyni uwagi nad panującą w nich myślą, daje poznać wystawę, dekoracye, efekta sceniczne i t. d. W jednéj z przyszłych kronik naszych podejmiemy ten przedmiot ciekawy a nieznany.

Powtarzamy tu, że gdyby nawet żółty generał-patryota dopuścił się przesady w podnoszeniu instytucyi, obyczajów, słowem cywilizacyi chińskiéj, przyznać jednak musimy, że prace jego przyczyniły się wielce do obalenia mnóstwa zastarzałych przesądów. Sami podróżnicy europejscy, w nowém a dodatniém świetle przedstawiają dziś społeczeństwo niebieskiego państwa. W śród tych apologistów odznacza się szczególniéj Simon, były konsul francuzki w Chinach. Ciekawe rozprawy jego drukowane były niedawno w Revue Nouvelle.

Pod tytułem: Pamiętniki dzisiejsze (Mémoires d'aujourd' hui), p. Bonnieres nakreślił liczne wizerunki literatów współczesnych. W tej galeryi błyszczą najsłynniejsze osobistości z drugiéj połowy tego wieku. Niektóre z nich, jak Wiktor Hugo, Balzak, Georges Sand,

Michelet, zasłynęły już w epoce przełomu romantycznego około 1830 roku. Obok nich widzimy dzisiejszych koryfeuszów jak Zola, Alfons Daudet, że pominiemy wielu innych.

Autor przyjął metodę owych malarzy portrecistów, zwanych impresyonistami, którzy w obawie, aby ich nie posądzono o przestarzały a ckliwy idealizm, wzięli sobie za cel przedstawiać prawdę z poziomej tylko a częstokroć ze szpetnej strony. O ile dawniejsi mistrze pędzla, umieli uszlachetnić szpetne nawet oblicze, dając odczuć piękność duchową, opromieniającą czoło, tryskającą przez oczy, o tyle dzisiejsi pracują mozolnie nad tém, aby nie ominąć żadnej brodawki, żadnej zmarszczki, najmniejszego śladu zyza, słowem niczego, co stanowi ujemną stronę modelu. I nazywają to chwytać na gorącym uczynku! Tak w powieści czyni Zola, Maupassant i wszyscy zwolennicy naturalistycznej szkoły.

Aby dać poznać jak p. Bounieres kreśli swoje obrazy przytaczamy tu kilka rysów z portretu Micheleta. Publiczność zasmakowała dziś w tym rodzaju; mamy nadzieję, że ta nieestetyczna moda przejdzie jak przeszło tyle innych.

„Michelet w r. 1868, mówi autor, był to dziwny staruszek. Cerę miał różową, włosy bujne, białe, wichrowate, wyraz twarzy pełen kokieteryi. Ubierał się jak młodzieniec, buciki nosił werniksowane: wyglądał jak dawny metr tańca.

Dziwno było patrzyć na tę twarz starego amorka, jakby wyróżowaną, lubo nią zapewne nie była, a zarazem na owe usta wymowne, na oczy pełne płomienistego żaru!

Podskakiwał bezustanku, wykręcał piruety, na małych zgrabnych piętach. Mówił przez gardło śpiewającym głosem, jak wszyscy wielcy ludzie jego współcześni. Słuchał się sam z podziwem, poglądając na koniuszczki swych małych werniksowanych bucików.“

Pomijamy resztę, gdyż nie wszystkie rysy powtórzyć się dadzą, a nie jeden zarumieniłby twarz czytelniczek naszych. Dość i tego na próbkę; widzimy tu, jak dzisiejsi realiści kreślą obrazy ludzi znakomitych talentem, zasłużonych długoletnią pracą.

Znany archeolog nasz, p. Michał Żmigrodzki, wydał niedawno w języku niemieckim w Monachium, obszerne dzieło, poświęcone kobiecie pod tytułem: Die Mutter bei den Völkern des arischen Stammes (Matka u ludów szczepu aryjskiego).

Autor rozpoczyna rzecz ogólnym wstępem treści etnograficznej: rozbiera tu podania ludowe na Ukrainie i porównywa tutejsze obyczaz obyczajami mieszkańców Indyi i Scytów, dowodząc, że cała ludność Europy jest jednym i tymże samym narodem Aryów, który więcej niż na tysiąc lat przed Chrystusem, zamieszkał ziemię od kotliny Dniepru po ocean Antlantycki.

Z kolei przychodzi pytanie, na jakim stopniu stała cywilizacya

owych Aryów. Aby odtworzyć obraz téj cywilizacyi, autor zebrał i porównał tradycye rodzinne na czterech dalekich od siebie stacyach; temi są: Ukraina, Kraków, Bawarya i Bretania francuzka. Z tego zestawienia otrzymał rezultat, że owi pierwotni Aryowie weszli do Europy, już jako naród rolniczy, że rodzina stała u nich wysoko, a matka otoczoną była niejako aureolą świętości.

W dalszym ciągu dzieła, autor przeprowadza historyą rodziny, mianowicie w aryjskiém plemieniu; oznacza trzy wielkie jéj fazy, najprzód: epokę przedhistoryczną, to jest tę, w któréj nie było jeszcze małżeństwa; potém epokę matki, gdy ta była główną osobą w rodzinie, nakoniec epokę ojca, w któréj dotąd żyjemy, a któréj początek naznacza autor w Europie na tysiąc mniéj więcéj lat przed Chrystusem. Idąc daléj z postępem historyi, pokazuje upadek rodziny w epoce cezarów; a następnie jéj odrodzenie się w skutek walki kobiet rozdzielonych na dwa obozy. Przy Ojcach Kościoła stanęły kobiety ożywione religią i nauką, przy Gnostykach stanęły kobiety Wschodu, podobne do dzisiejszych emancypantek. Pierwsze zwyciężyły: ich to zasługą rozwinęła się chrześcijańska cywilizacya średnich wieków.

W XVI wieku rozwija się żądza przepychu i gorączkowa chciwość pieniędzy, co prowadzi za sobą podrożenie przedmiotów niezbędnych do życia, coraz większą trudność w zawieraniu związków małżeńskich, rozwój rozpusty ulicznéj i zepsucie w łonie samejże rodziny. Ztąd przychodzi w końcu straszliwy upadek życia rodzinnego, widoczny w dzisiejszém społeczeństwie a wraz z tém rzeczywiste „zdziczenie cywilizacyi, pomimo świetnych form, w jakich się dziś przedstawia."

W takim stanie rzeczy, mówi p. Żmigrodzki, kobieta jedynie uratować nas może, nie emancypantka, ale matka wysoko ukształcona. Odrzuca więc autor tytuły licznych rozpraw, pisanych dzisiaj w tym przedmiocie „precz, mówi on, wszelkie nazwy: Frauenfrage, Frauenemancipation, Frauenrechte, jedno tylko słowo ma prawo obywatelstwa: die Mutterfrage.

Ostatni ustęp dzieła nosi tytuł: Versuch zur Lösung der Mutterfrage. Tu po obszerniejszém omówieniu rzeczy, stawia autor postulaty. Niektóre z nich przytaczamy.

Ze względu na różnicę wykształcenia mężczyzny i kobiety, przez co z każdym dniem zmniejsza się możność ich wzajemnego porozumienia, wypowiada autor postulat pierwszy: Zrównanie męzkich i żeńskich szkół, począwszy od szkółek ludowych aż do uniwersytetów.

Dążąc do tego, aby małżeństwo stało się przeważnie związkiem duchowym i aby zyskać czas na wyższe wykształcenie dziewczyny, stawia autor żądanie drugie: Żadna dziewczyna przed skończonym dwudziestym rokiem, nie ma prawa zawierać związków małżeńskich.

Ze względu na szkodliwość bezcelowego uczenia się, ze względu na to, że w klasie niemajętnych ludzi źródłem nieporozumień mał-

żeńskich jest często wielka różnica między zarobkiem mężczyzny a kobiety, ze względu, że z téj przyczyny, dziewczyna wychodzi częstokroć za mąż jedynie tylko dla pozycyi mężczyzny, autor stawia dwa postulaty: Kobieta powinna mieć wstęp do służby państwowéj i mieć prawo do prowadzenia rzemiosła na równi z mężczyzną.

Aby obronić prawa dziecka, aby każdemu dziecku w szczególności i całemu społeczeństwu w ogóle zabezpieczyć ów drogocenny wpływ rodzinnego wychowania, aby nadto zapobiedz przyszłemu upadkowi godności kobiety, stawia autor postulat: Zniesienie prawa rozwodowego, a to bez żadnego wyjątku.

Kończymy na tém, są jeszcze inne postulaty, które zostawiamy do rozpatrzenia prawnikom i ekonomistom. Pan Żmigrodzki kończy dzieło swoje uwagą, że wprowadzenie tych reform, nie jest sprawą lat dziesięciu ani dwudziestu, lecz co najmniéj kilku pokoleń, ale że w tym kierunku potrzeba iść koniecznie; że potrzeba albo przyjąć wszystkie postulaty, albo téż nie rozpoczynać reformy, bo wprowadzenie ich pojedyńcze z opuszczeniem innych, sprowadzi tylko większy zamęt i przyniesie jednę klęskę więcéj społeczeństwu.

Z EKONOMIKI.

X.

Hannibal ante portas! — P. Szarapow. — Fałszywe alarmy. — „Wielki“ przemysł polski w obec istotnéj potęgi rosyjskiego. — Stowarzyszenia akcyjno-przemysłowe polskie i rosyjskie. — Przemysł rosyjski w 1881 r. — Siła jego wytwórczości. — „Moskiewskie Wiedomosti“ i wewnętrzna granica celna.—Co jest najgłówniejszą przyczyną upadku naszego rolnictwa? — Taryfy dróg żelaznych i małoduszność polskich zarządów kolejowych. — Łódź i Sosnowice.—Szczucie niemców i brak taktu ze strony niektórych organów. Przyczyny zastoju „polskiego“ przemysłu. — Urzędomania i niewłaściwy wybór zawodów.—Istotne przyczyny konkurencyi Łodzi.—Samorodny rozwój przemysłu rosyjskiego. — Przewaga pod niektóremi względami wielkorosyanina nad naszym kmieciem.—Bank dworzański.—System kredytu ziemskiego w Cesarstwie.—Akcyjne banki ziemskie.—Kredyt ziemiański na Litwie i Rusi.—Stan obdłużenia ziemi tamże.—Działalność banków ziemskich: wileńskiego i kijowskiego.—Ustawa banku dworzańskiego i restrykcye. — Urzędowy szacunek ziemi w guberniach: wołyńskiéj, podolskiéj i kijowskiéj.

Hannibal ante portas! Oto ogólny okrzyk przerażonych, niesłychanym rozwojem przemysłu „w Kraju przywiślańskim.“ Hannibal ante portas! wygłasza z katedry w Moskwie i w rosyjskim Manchesterze p. Szarapow, sekretarz moskiewskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, wzywając do krucyaty przeciwko niemcom osiadłym w Królestwie, a głównie w Łodzi i Sosnowicach. Wtorują mu niektóre organa prasy warszawskiéj, lubo z innych nieco pobudek... Zastanówmy się więc bliżéj, czy te okrzyki mają racyą bytu, czy głosy niektórych naszych organów są słuszne, a lamenta-

cye na niesłychany rozwój przemysłu w Królestwie czy niesą tylko burzą w szklance wody, która najmniejszego wpływu na nasze stosunki ekonomiczne wywrzéć nie może.

Jeżeli w prasie zbyt często spotykamy się z głosami o naszym „wielkim przemyśle," o jego doniosłości i zawojowaniu rynków wschodnich, przedewszystkiém pytamy się, gdzież jest ten wielki przemysł polski (a raczéj niemiecki w granicach Królestwa), tak niby groźny dla centralnéj Rosyi? Mamy wprawdzie dwa stowarzyszenia przemysłowe z kapitałem zakładowym po 9 mil. rubli (Hielle i Dietrich, oraz K. Scheiblera), mamy charkowską fabrykę stali z kapitałem zakładowym 2½ mil. rubli, Starachowickie zakłady górnicze z kapitałem 1½ mil. r., Warszawskie Towarzystwo przemysłu górniczego i węglowego z kapitałem 1,350,000 r., Warszawskie Towarzystwo fabryk cukru z kap. 1,800,000 r., Towarzystwo przędzalni i blicharni w Zawierciu z kap. 2¼ mil. r., Tow. garbarni „Tenler i Szwede" z kap. 1 mil. r., oraz kilkanaście wybitniejszych Towarzystw przemysłowo-akcyjnych, lub własnością osobistą będących; lecz to i wszystko, co reprezentuje wielki przemysł Królestwa, mającego przecież około 8 milionów mieszkańców. Tymczasem podług „Jeżegodnika ministierstwa finansow" (t. XII) w dniu 1 stycznia 1882 r. istniało w Cesarstwie Towarzystw akcyjnych:

99	zajmujących się	przemysłem	włóknistym	z kapit.	124,541,000 rub.
16	„	„	papiernianym	„	8,050,000 „
7	„	„	skórzanym	„	6,141,000 „
16	„	„	chemicznym	„	7,288,000 „
6	„	„	mydlarskim	„	4,956,000 „
4	„	„	assenizacyjnym	„	1,250,000 „
18	„	„	gazowym i wodoc.	„	29,772,000 „
59	„	„	mineralnym	„	93,550,000 „
28	„	„	drzewnym	„	13,862,000 „
76	„	„	cukrowniczym	„	57,995,000 „
28	„	„	gorzelnianym z	„	22,965,000 „
48	„	„	innemi przemys.	„	48,359,000 „
335	towarzystw akcyjnych	przemysłowych		z kapit.	418,729,000 rub. razem]

a przecież to tylko towarzystwa, zatém mniejsza część przemysłu rosyjskiego, nie zapominajmy bowiem, że większa ilość fabryk, często istotnie olbrzymich, nie dających się porównać z odpowiedniemi w Królestwie, stanowi dotąd własność osób pojedyńczych. W ciągu jednego tylko 1881 r., utworzono 36 Towarzystw przemysło-akcyjnych z kapitałem 39,550,000 rubli, z których na Królestwo Polskie przypada tylko dwa z kapitałem 800,000 rubli (Wulkan i Częstocice).

Podług urzędowych danych, w dniu 1 stycznia 1880 r. było w Cesarstwie:

55	przędzalni bawełny z	87,977	robotn. i wytwórczością	96,468,000 r.
413	tkalni „	62,682	„	54,998,000 „
98	drukarni, blichar. itp.	21,698	„	49,479,000 „
89	fabryk płócien	30,211	„	21,578,000 „
323	„ przer. konopie	7,311	„	6,948,000 „
462	„ „ wełnę	71,110	„	58,650,000 „
67	„ przędzalni „	4,845	„	5,869,000 „
167	tkalni wełny	22,339	„	21,877,000 „
162	„ jedwabiu i wstąż.	11,250	„	8,471,000 „
537	farbierni	7,279	„	9,915,000 „
126	papierni	10,788	„	9,567,000 „
3	fabryki wyr. gumow.	2,337	„	5,860,000 „
159	„ chemicznych	4,254	„	6,037,000 „
229	„ zapałek	5,130	„	1,774,000 „
3,317	garbarni	20,132	„	41,996,000 „
8	fabryk stearyny	2,017	„	10,605,000 „
281	mydlarni	1,298	„	8,126,000 „
536	fab. świec łojowych	1,374	„	2,721,000 „
181	„ woskowych	930	„	2,827,000 „
173	hut szklanych	13,145	„	6,840,000 „
54	fajansu i porcelany	7,077	„	2,804,000 „
194	maszyn i relsów	56,579	„	74,998,000 „
173	wyr. miedz. i mosięż.	5,742	„	7,759,000 „
45	drutu i gwoździ	4,386	„	5,120,000 „
118	odlewni żelaza	7,537	„	4,719,000 „
7,980	fabryk	z 469,428	robot. i wytwórcz.	515,506,000 r.

zajmowało tylko 25 gałęzi przemysłu, niepodlegających opłacie akcyzy.

Wiedząc z praktyki, w jaki to sposób tworzy się statystyka urzędowa, oraz przyjmując pod uwagę powstanie nowych przedsiębiorstw w ciągu ostatniego pięciolecia, można przyjąć jako pewnik, że wytwórczość roczna w Cesarstwie wyżéj wymienionych 25 gałęzi wynosi miliard rubli. Podług zaś danych, zebranych przez inspektorów fabrycznych, w Cesarstwie znajduje się 56,905 fabryk i zakładów przemysłowych, zatrudniających 951,971 robotników z wytwórczością roczną 1,126,032,674 rubli. Jeżeli do tego dodamy olbrzymi rozwój drobnego przemysłu (kustarnyj promysieł) w guberniach północnych, a zwłaszcza w dolinie Wołgi, o którego wielkości nietylko nasi kmiotkowie, ale i oświeceńsze klasy nie mają nawet pojęcia, to przyjdziemy do przekonania, że przemysł w Cesarstwie wytwarza przynajmniéj za dwa miliardy rubli rocznie. Czémże więc w obec tych liczb jesteśmy — my belgowie północy? Czém zaopatrujemy rynki wschodnie i czém zagrażamy centralnéj Rosyi? Nasz wywóz w większych

rozmiarach ogranicza się do wyrobów bawełnianych, a po części lnianych i wełnianych, gdy inne gałęzie naszego przemysłu fabrycznego i rękodzielniczego, względnie do ogólnéj wytwórczości Cesarstwa, mają to same znaczenie co przywóz pszenicy amerykańskiéj do Królestwa.

Był czas, że moskiewscy fabrykanci w obec naszych perkalików, płócien, przędzy i sukien, domagali się przywrócenia granicy celnéj pomiędzy Cesarstwem i Królestwem. Lecz w takim razie należałoby osaczyć celnikami każdą okolicę z żywszym ruchem przemysłowym, każdą miejscowość, mającą przyrodzone warunki rozwoju danéj gałęzi, co przypominałoby austryackie rogatki, spotykane na każdéj niemal wiorście dróg bitych. Ustanowienie granicy celnéj z Cesarstwem, tak gorąco propagowane przez „Moskiewskie Wiedomosti," naturalnie ziścić się nie może, lubo z naszego punktu widzenia Królestwo Polskie z téj rogatki tylko znaczne korzyści osiągnęłoby. Bo np. czyś się zastanowił, szanowny czytelniku, co jest najgłówniejszym powodem upadku naszego rolnictwa? Myślisz zapewne, że to cła pruskie, konkurencya amerykańska, indyjska lub australska? Otóż, naszém zdaniem, mylą się ci, którzy dopatrują upadku rolnictwa w Królestwie w konkurencyi zamorskiéj. Najgłówniejszą przyczyną obniżki cen zboża u nas jest stosunkowo olbrzymi dowóz żyta, pszenicy, mąki i w ogóle wszelkich produktów spożywczych ze środkowych i wschodnich gubernii Cesarstwa. Nasze zboże nie ma zbytu, ale my za to pieczemy chléb i bułki z mąki nadwołżańskiéj. Chodowla bydła podnieść się nie może, bo tygodniowo tysiące wołów i świń sprowadzamy z Bessarabii i Ukrainy. Koleje żelazne dniem i nocą setki i tysiące wagonów zboża dostarczają na rynki nasze, z odległych okolic żyzniejszych i taniéj wytwarzających, a polskie zarządy kolejowe w poczuciu filantropijném i uniesieniu obywatelskiém tak ułożyły taryfy, że tańszym jest przywóz worka mąki z pod Jelca lub Orła, niż korca sandomierki na rynek warszawski. Jeszcze raz, powtarzamy, nasza wytwórczość rolna nie wiele przenosi potrzeby miejscowe, cła pruskie i konkurencya zamorska małego są dla Królestwa znaczenia, a jeżeli pomimo to rolnictwo w upadku i ziemiopłody zbytu nie mają, to rezultat ten winniśmy rzuceniu na nasze targi zboża z okolic dalekich wschodnich, żyznych i tanio produkujących, a przedewszystkiém upadek rolnictwa przypisać winniśmy polskim zarządom kolejowym, które tak ułożyły taryfy, że nasze zboże ma zbyt utrudniony na własnych rynkach. Prasa moskiewska domaga się restrykcyi i granicy celnéj od strony Królestwa, mybyśmy nic przeciwko temu nie mieli, gdyby w poszanowaniu praw wzajemności, pozostawiono nam możność oclenia wytwórczości wschodniéj i zmiany taryf kolejowych, bo jeżeliby zmniejszył się wywóz perkalików łódzkich, płócien żyrardowskich, sukna tomaszowskiego, oraz nielicznych przedmiotów rękodzielniczych, to ubytek ten chojnie po-

wetowalibyśmy podniesieniem z upadku rolnictwa i związanych z niém gałęzi przemysłu.

P. Szarapow powstaje przeciwko rozwojowi fabrycznemu Łodzi, a szczególniéj Sosnowic i okolicy, mających jakoby powodować upadek industryi wielkorosyjskiéj. Wyżéj już wskazaliśmy, jak stosunkowo drobnym i małoznacznym jest rozwój fabryczny w Królestwie, a i sama olbrzymia mapa powiatu będzińskiego, którą tak demonstracyjnie p. Szarapow na swych odczytach produkuje, najlepiéj illustruje jego szowinistyczne popędy. P. Szarapow wprawdzie dosyć życzliwie odzywa się o „polskiém plemieniu“ i żąda restrykcyi dla niemców tylko, lecz i te zachcianki nie mają, podług nas, najmniejszéj racyi bytu, naturalnie urzeczywistnić się téż nie mogą. Niemcy fabrykanci osiedlili się w Królestwie Polskiém na mocy dawniejszych ulg i przywilejów, oraz obowiązujących dotąd praw cywilnych. Rozwinęli szereg gałęzi przemysłu dawniéj tu nieznanych lub nieuprawianych, wielu z nich spolszczyło się zupełnie, utraciło nawet tradycyą pochodzenia, tak że dziś jedno tylko nazwisko przypomina, że to są potomkowie przybyszów z nad Łaby, Renu lub Odry. Dosyć spojrzeć około siebie, aby na każdym kroku spotkać się z nazwiskiem, zdradzającém pochodzenie,—ale tylko pochodzenie giermańskie. Wnuki i prawnuki sasów, bawarów, hessów i t. d. stali się gorliwymi synami nowéj ojczyzny. Wprawdzie Łódź trzyma się silniéj tradycyi giermańskich, tworząc niejako status in statu, ale i tu, gdy będziemy na przyszłość więcéj oględni i przedsiębiorczy, czas zrobi swoje... Zresztą czyżto niemcy winni, że my dotąd nie bierzemy szerszego udziału w przemyśle? Czasby już było zaprzestać winić wszystkich dla usprawiedliwienia własnéj nieopatrzności i niedołęstwa.

Dla czego u nas nie zakwitł „polski przemysł“ w szerszych zakresach? Czy dla braku kapitałów i niedostatku ludzi fachowo wykształconych? Bynajmniéj. Kapitałów mamy stosunkowo dosyć na nasze potrzeby, ale jak już niejednokrotnie zaznaczyliśmy, chowamy je nieprodukcyjnie w skrzynkach, węzełkach, w garnkach, a nawet zakopujemy pod drzewem, bo oszczędność u nas niezorganizowana i nieskanalizowana w instytucyach kredytowych, które z kolei za pośrednictwém drugiéj sieci kanałów rozprowadzałyby te oszczędności narodowe w najodleglejsze zakątki kraju, wspierając rolnictwo, przemysł i handel. Od dwóch lat poryodycznie i wytrwale nawołujemy do podjęcia organizacyi oszczędności narodowych, ale niestety głos nasz pozostaje głosem wołającego na puszczy, bo odpowiednie ciała zbiorowe nie przyszły jeszcze do przekonania, że bliższa koszula ciała niż suknia. Nie mamy téż wprawdzie szkół specyalnych technicznych i przemysłowych, lecz w analogicznych zakładach naukowych cesarstwa kształcą się setki naszéj młodzieży, która niestety w pogoni za dobrobytem przenosi obczyznę nad progi rodzinne. Nasza ziemia, nasze drobne fabryki mogą im dać tylko setki, gdy oni łakną tysiąców i znajdują je dosyć zresztą łatwo, ale... na dalekim wschodzie. Na-

szém zdaniem, są to synowie marnotrawni i straceni dla kraju. Nie wielu z nich może się oprzeć prądom miejscowym i choćby kiedyś— powrócić do kraju z zasobem wiedzy i oszczędności. Zarzutu tego nie można stosować do ogółu młodzieży naszéj w Cesarstwie, ale wiemy z praktyki życia, że większość téj młodzieży jest bezpowrotnie dla kraju straconą. Przyczyną tego rezultatu jest ogólny prąd do szybkiego i łatwego zbogacenia się, a głównie nie odpowiedni wybór zawodu. Tak np. syn rolnika kształci się przeważnie na prawnika, którym najczęściéj nie zostaje, a syn biednego urzędnika na technologa. Gdyby tymczasem ziemianin lub kapitalista, mając kilku synów, jednego wykształcił na rolnika, drugiego na technologa, rękodzielnika i t. p., to i rolnictwo stałoby u nas na wyższym stopniu i powstawałyby „polskie fabryki," gdyż ci, którzyby otrzymali fachowe wyształcenie technologiczne, mając środki do otwarcia fabryki, nie potrzebowaliby dla chleba porzucać swojéj ojczyzny. Dodajmy jeszcze do tego wszystkiego dziedziczną u nas niejako urzędomanią, która nie daje odpowiedniego kawałka chleba, ale pozostawia wiele wolnego czasu do zajmowania się polityką w cukierniach, spacerami w ogrodach i rautami w salonach, a będziemy mieli wiązankę przyczyn, dla czego w Polsce nie zakwitł dotąd „polski" przemysł, a ipso facto rozwinął się niemiecki.

Że przemysł fabryczny rozwija się w Łodzi, Sosnowicach i okolicach, to jest zupełnie naturalném, — nie można bowiem budować cukrowni w Archangielsku, lub przędzalni w stepach kirgizkich. Łódź, a zwłaszcza Sosnowice mają naturalne warunki rozwoju. Wiadomo jak ważną rolę w przemyśle odgrywa taniość opału i łatwość komunikacyi; gdyby nie węgiel, koleje i sąsiedztwo mórz, to olbrzymi rozwój przemysłu tkackiego i metalurgicznego w Anglii byłby niemożliwym. Nic więc dziwnego, że Sosnowice, mające na miejscu niewyczerpane kopalnie dobrego węgla kamiennego i leżące u węzła kolei krajowych i zagranicznych, mają wszelkie naturalne warunki rozwoju fabrycznego i świetnéj przyszłości. Inna rzecz się ma z ogniskami przemysłowemi w Cesarstwie. Powstały one wtedy, gdy w Rosyi nietylko dróg żelaznych lub traktów bitych, a nawet lepszych dróg zwyczajnych nie było. Rozwinęły się samorodnie, bez inicyatywy rządu lub cudzoziemców, w pośród ludności miejscowéj jako wysepki na oceanie. Konkurencyi dalszéj nie obawiały się, bo olbrzymie i bezdrożne przestrzenie czyniły ją prawie niemożliwą. Dopiero gdy Cesarstwo porznięto kolejami żelaznemi, a przez to ułatwiono dostęp fabrykatom tańszym, a lepiéj i gustowniéj wykończonym, wtedy to upadł monopol fabryki w danéj okolicy i przekonano się, że przemysł miejscowy nie ma naturalnych warunków rozwoju.

Ogniska przemysłowe w Cesarstwie powstawały zwykle w ten sposób. Dymisyonowani żołnierze, służący w okolicach, a głównie w prowincyach nadbałtyckich, przypatrzywszy się tamtejszemu przemysłowi, lub też biorąc w nim udział, jako robotnicy, powracali w swe

rodzinne strony i zaczęli próby w danéj gałęzi, co było tém łatwiejsze, że działo się to w czasach, w których przemysł rosyjski nie posiłkował się jeszcze maszynami. Od tych pionierów uczyli się jego sąsiedzi, a znajdując łatwy zbyt, szybko też dana miejscowość rosła w znaczenie i bogactwo. Nie zapominajmy przytém, że włościanina, zwłaszcza nadwołżańskiego, nie można równać z naszym kmiotkiem nieruchliwym i przywiązanym do swéj miejscowości, z któréj najczęściéj od urodzenia do śmierci nie rusza się daléj. Wielkorosyanin, to przedewszystkiem zlepek różnych narodowości: słowian, finnów, tatarów, chazarów, pieczyngów i t. p., to amalgamat, mający wiele wad, ale też i nierównie więcéj przymiotów. Ruchliwy, przebiegły, przedsiębiorczy, z powodu warunków klimatycznych nie przywiązany ściśle i wyłącznie do roli, większą część roku przepędza poza domem, nieraz bardzo daleko pracuje po fabrykach, handluje lub trudni się przewozem towarów w nader odległe strony. Widział on wiele ludzi i ziem i łatwo też przyswaja sobie to, co może ulżyć jego niedoli. Bywają fakta istotnie zadziwiające. Podwalinę przemysłowi bawełnianemu w centralnéj Rosyi dali dwaj żołnierze Tulakow i Sokow powracający z Rewla. Inny świeży przykład daje nam wytwórczość fosforu dawniéj zupełnie w Rosyi nieznana. Niejaki Tupicyn, człowiek umiejący zaledwie pisać, handlował w Kazaniu materyałami aptecznemi i chemicznemi, mającemi zastosowanie w przemyśle. Był ciekawy, co z czego powstaje, a przy wrodzonym sprycie niejako samorodnie obznajmił się z chemią i sposobami otrzymywania fosforu. Nie widziawszy w życiu podobnéj fabryki, w 1871 r. zbudował w Permie fabrykę fosforu, która dziś produkuje około 5000 pudów i prawie zupełnie wypłoszyła fosfor angielski z rynków rosyjskich.

Zarzut p. Szarapowa, że kontrabanda towarów zagranicznych podrywa fabryki rosyjskie, nie ma znaczenia, boć ona stanowi zapewne mały odsetek w ogólnéj produkcyi państwa. Również nie wytrzymuje krytyki porównanie opłat państwowych i gminnych przez zakłady Scheiblera w Łodzi i Morozowa w Orjechowie. Wprawdzie fabrykant łódzki płaci stosunkowo kilkanaście tysięcy rubli mniéj niż Morozow, lecz fakt ten nie może mieć większego znaczenia dla fabryki, opartéj na 9 mil. rubli kapitału zakładowego i mającéj nie wiele mniéj obrotu rocznego. Bliskość granicy nie ma także znaczenia, gdyż dowóz bawełny do fabryk moskiewskich lub nadbałtyckich zapewne nie jest droższym od transportu do Łodzi, a nawet gdyby i tak było, toć przecież gotowy towar potrzeba z Łodzi przewieźć półtora tysiąca wiorst, aby się dostać na rynki wewnętrzne, mające swe własne fabryki na miejscu. Inne są przyczyny, że nawet z tak wielkiéj odległości Łódź może konkurować z Moskwą, ale o nich p. Szarapow albo nie wiedział, albo też umyślnie nie wspomniał. Leżą one w obyczajach narodu wielkorosyjskiego, w warunkach miejscowych, a po części, że tak rzekę, chałatności większości fabrykantów, stroniących dotąd od „niemieckich porządków.“ Nasze fabryki czynne są przez rok cały

z nielicznemi tylko przerwami podczas świąt i to uroczystych. My nawet nie mamy pojęcia o obfitości świąt rosyjskich, — nie licząc już Wielkiéjnocy i Bożego Narodzenia, które są prawdziwemi wakacyami fabrycznemi, oraz powszechnych a licznych świąt, ściśle przez lud obserwowanych, każde miasto ma swego specyalnego patrona, którego czci szczególniéj, a nawet główniejsze ulice mają swe oddzielne święta, solennie przez mieszkańców obchodzone, podczas których urządzają się kramy z owocami, orzechami i koniecznym słonecznikiem (spożywanym, a raczéj gryzionym nie już korcami, ale wagonami) i t. p., oddają wizyty i odbywają tak zwane „gulanja“ po świętującéj ulicy. Słowem, ściśle obliczywszy, dni roboczych w fabrykach trudno dorachować więcéj jak 220—250 rocznie, zatém przynajmniéj trzecią część roku kapitał nie produkuje.

W fabrykach rosyjskich liczba godzin pracy jest większą niż u nas (wynosi bardzo często 16—18 godzin dziennie); lecz cóż z tego, kiedy system zapłaty za dzień (po większéj części) a nie od sztuki powoduje powszechne lenistwo, tak że bez „prynuki“ i kar pieniężnych obejść się nie można. Przytém w ogóle biorąc, nie znajdujemy w Rosyi typu angielskich lub francuzkich robotników fabrycznych, z ojca na syna przenoszących wiadomości, uzdolnienie, a co najważniejsza stale zajętych pracą fabryczną. Robotnicy rosyjscy to po większéj części włościanie, szukający w zimie zarobku, a latem powracający tłumnie na rolę, w skutek tego wytwórczość fabryczna słabnie w lecie, a wzrasta zimą, to jest w czasie wymagającym sztucznego oświetlenia i bez porównania większéj ilości opału. Oto są główne powody, że Łódź, Tomaszów i Sosnowice mogą z korzyścią współzawodniczyć na targach wschodnich, ale o nich p. Szarapów nie wspomniał, bo w uniesieniu stroniczém zapomniał o statystyce i zasadach ekonomiki, oraz o sprawiedliwości i słuszności. Zapomniał, że w obecnym stadyum przemysłu w Królestwie Polskiém, rozwój ten jest jeszcze stosunkowo mikroskopijnym i że Królestwo więcéj daje pieniędzy wschodowi za jego produkta, aniżeli otrzymuje za nieliczne gałęzie swego przemysłu. Zapomniał p. Szarapow, że rolnictwo polskie upada pod ciężarem nie ceł zbożowych pruskich i konkurencyi zamorskiéj, ale w skutek istotnie groźnego współzawodnictwa wielkorosyjskiego na targach polskich.

Cóż mamy dodać do tego wszystkiego o restrykcyach przeciwko Niemcom, o zachciankach obłożenia wysokiém paszportowém i podatkiem profesyjnym cudzoziemców, żądanych przez p. Szarapowa, a tak entuzyastycznie podnoszonych przez niektóre organa prasy naszéj? Chyba tylko to, że podobne objawy niezgodne są z naszemi tradycyami i smutne wywołują wrażenia na czytelniku przy schyłku XIX wieku nawet przy antyekonomicznych konwulsyach brutalnego polityka sąsiada!

Sama nazwa „Dworjanskij bank“ wskazuje dla kogo ta instytucya utworzoną została. Spolszczenie téj nazwy słowami „Bank szlachecki“ nie zdaje nam się właściwém, ze względu na różnicę po-

chodzenia tych dwóch wyrazów. Inne było znaczenie i przywileje szlachcica w Polsce, a inne dworzanina w Cesarstwie. Zresztą i pojęcie własności ziemskiéj na innych formowało się principiach w Polsce niż w Imperyi. Sam język najlepszym tego dowodem. I dziś bowiem jeszcze powszechnie usłyszycie na wschodzie określenie własności słowami: „u mienia jest,“ oznaczającemi niejako chwilowe,—czasowe władanie daną rzeczą. Z téj zasady wychodząc, rzecz naturalna, że w wiekach średnich nie mogło być nawet mowy o zastawie ziemi, któréj najwyższym władcą zawsze uważany był kniaź, mogący ją w każdéj chwili odebrać. Z postępem czasu własność ziemska utraciła swój pierwotny charakter i samo posiadanie stawało się coraz więcéj dziedzicznem. Osłabł też wpływ Kościoła na własność ziemską, nie potrzebném już było zezwolenie metropolity na przedaż majątku ziemskiego. Cywilizacya przedzierała się w odległe zakątki, zakwitł zbytek i życie nad stan, a z niemi powstały i rosły długi, dawniéj nieznane.

Dla ulżenia klasie uprzywilejowanéj powstały w 1754 r. banki dworzańskie w Petersburgu i Moskwie, które wydawały pożyczki 6 % dworzanom na zastaw ziemi, na przeciąg roku jednego z możnością odroczenia na lat dwa. Dworzanie chętnie pożyczali, nie myśląc bynajmniéj o zwrocie, nie tylko kapitału, ale i odsetek od niego. Obdłużone majątki brała w administracyą kancelarya konfiskacyjna do czasu umorzenia długu. W 1786 r. na miejsce Petersburskiego banku dworzańskiego utworzono Bank pożyczkowy z kapitałem 33 mil. rubli, nie licząc funduszów zwiniętych banków. Bank ten wydawał ziemianom 20-letnie pożyczki za opłatą 8 % i 22-letnie miastom za opłatą 7 %. W 1797 r. założono Bank zapomóg dla dworzan, który w ciągu czterech lat rozpożyczył 50 mil. rubli 5 % biletami bankowemi, mającemi kurs przymusowy. Pożyczki były również 8 % na 25 lat. W 1772 r. powstały „Sochrannyja kazny,“ a w 1775 r. „Prikazy obszczestwiennago prizrenija,“ które wkrótce przybrały charakter instytucyj bankowych. W 1841 r. powstał w Niżnym Nowogrodzie Aleksandrowski bank dworzański.

W Królestwie Polskiém system kredytu ziemskiego inną poszedł drogą. Prawo cywilne i hypoteczne dokładnie określiło i zabezpieczyło własność ziemską. W 1825 r. powstało Towarzystwo kredytowe ziemskie na wzajemności oparte, dostarczające rolnikom taniego i długoterminowego kredytu. Nigdy też własność ziemska w Królestwie Polskiém nie korzystała z pożyczek skarbowych. Prowincye nadbałtyckie również poszły inną drogą. W 1802 r. pozwolono szlachcie gubernii estońskiéj i inflanckiéj założyć banki ziemskie szlacheckie na wzajemności oparte; w 1830 r. szlachta kurlandzka utworzyła Towarzystwo kredytowe ziemskie.

Powyższy system kredytu ziemskiego w Cesarstwie trwał nieprzerwanie do 1857 r. Wspomnieć należy, że przemysł w pierwszéj

połowie bieżącego stulecia był w stanie pierwotnym, o stowarzyszeniach akcyjnych i udziałowych zaledwie głuche wieści rozchodziły się w narodzie. Kapitały nie znajdując pomieszczenia w przemyśle i handlu ściekały do banków i instytucyj państwowych. W 1817 r. ustanowiono Państwowy bank handlowy, który, nie mając odpowiedniéj lokacyi dla swych kapitałów, swobodne sumy przelewał do banku pożyczkowego. W ogóle napływ wkładów był nad istotną potrzebę, z czego skorzystał skarb i dworzanie, pełną garścią czerpiąc oszczędności prywatne na swe potrzeby. Dworzanie od stu lat przywykli już tylko brać, nie troszcząc się bynajmniéj nie tylko o zwrot pożyczek, ale i o spłatę odsetek, i doszło do tego, że w 1856 r. czwarta część długów dworzan przewyższała sumę kapitalną pożyczek. Rząd spostrzegł grozę niebezpieczeństwa, wstrzymał przypływ wkładów przez obniżenie w 1857 r. odsetek od wkładów prywatnych do 3 % i kapitałów instytucyj rządowych do 1½ % — lecz już było zapóźno. Zapotrzebowania zwrotu wkładów przewyższały o wiele środki kasowe, w skutek czego w końcu 1858 r. uznano koniecznem wstrzymać zatwierdzanie nowych towarzystw akcyjnych i udziałowych, których formowanie powodowało silny odpływ wkładów z banków państwowych, oraz utrudniono udzielanie długoterminowych pożyczek na zastaw nieruchomości. W kilkanaście dni potém ogłoszono emisyą 4 % renty wieczystéj na sumę 250 mil. rubli, lecz rezultat zawiódł oczekiwania. W obec takiego stanu rzeczy pozostawało tylko zlikwidować dawne państwowe instytucye kredytowe i obmyśléć system nowy.

Komitet finansowy ustanowiony dla zaradzenia złemu zaopiniował:

1) Zaniechać dalszego udzielania pożyczek właścicielom ziemskim i zlikwidować istniejące banki ziemskie,

2) zaprzestać doliczania odsetek składanych do wkładów,

3) wkłady bezterminowe przyjmować tylko do 13 stycznia 1860 r.

4) od nowych wkładów liczyć odsetki w stosunku 2 %,

5) emitować 5 % bilety bankowe, głównie na zaspokojenie właścicieli wkładów,

6) wzbronić przyjmowania wkładów „Sochrannym kaznom“ i „Prikazom obszczestwiennago prizrenja,“

7) utworzyć specyalną komisyą dla wypracowania projektu banków ziemskich na miejsce istniejących. Komisya ta po pięciu miesiącach ukończyła swoje prace, przyjąwszy za zasadę utworzenie prywatnych instytucyj kredytowych ziemskich. Zapatrując się na państwa zachodnie, komisya przyszła do przekonania, że najodpowiedniejszą formą kredytu ziemskiego, jest stowarzyszenie dłużników na wzajemności oparte, jako mogące dostarczyć najtańszego kredytu, którego działalność prawidłowo rozwijać się może względnie do istotnych potrzeb. Niemniéj jednak komisya nie odrzucała

i drugiéj formy t. j. stowarzyszeń kapitalistów, przyjmując jednak, że kredyt udzielany przez banki ziemskie musi być droższy i mniéj bezpieczny.

Prace powyższych Komisyi i Komitetu finansowego nie uzyskały sankcyi prawodawczéj, dały jednak zachętę inicyatywie prywatnéj.

W końcu 1860 r. utworzyła się kompania 96 osób w celu założenia rosyjskiego banku ziemskiego. Usiłowania téj kompanii po czterech latach spełzły na niczém. W 1862 r. powstały dwa projekta towarzystw kredytowych ziemskich: litewskiego i południowo-zachodniego, które miejscowi generał-gubernatorowie przedstawili ministeryum skarbu z przychylną opinią, lecz powstanie w 1863 r. przeszkodziło wejściu ich w życie. W 1864 r. zatwierdzono ustawę banku ziemskiego Chersońskiéj gubernii, a w d. 13 lipca 1866 r. Towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego.

Pierwszą koncesyą na założenie instytucyi kredytu ziemskiego, opartéj na zasadach stowarzyszenia kapitalistów, wydano w 1871 r. Była to ustawa akcyjnego Charkowskiego banku ziemskiego, za którą poszły i inne. W 1872 r. powstały banki akcyjne ziemskie: Wileński i Kijowski. Tym sposobem, wyłączając Królestwo Polskie i gubernie nadbałtyckie, w Rosyi europejskiéj istnieją dwa stowarzyszenia kredytowe ziemskie na wzajemności oparte mianowicie: Towarzystwo wzajemnego kredytu ziemskiego z działalnością na całe terytoryum i Chersoński bank ziemski, operujący w czterech guberniach. Prócz tego istnieje jedenaście banków akcyjnych ziemskich: Chersoński, Połtawski, Petersbursko-tulski, Moskiewski, Bessarabsko-taurycki, Niżegorodzko-samarski, Kijowski, Wileński, Jarosławsko-kostromski, Doński i Saratowsko-samarski (w likwidacyi).

Podług ogłoszonych bilansów, w d. 1 stycznia r. z. było w obiegu listów zastawnych, emitowanych na podstawie udzielonych pożyczek na ziemię:

			kurs 8 Stycz. r. b.
Moskiewskiego banku ziemskiego	6 % na rs.	65,472,700	100½
Kijowskiego	„ „	30,311,300	99¾
Wileńskiego	„ „	25,223,600	98⅝
Charkowskiego	„ „	37,951,325	99½
Petersbur.-tulskiego	„ „	13,802,600	99½
Niżegorod.-samarskiego	„ „	22,174,475	99½

			kurs 8 Stycz. b. r.
Bessarab.-tauryckiego ban. ziems.	6 % na rs.	17,097,500	97
Połtawskiego	„ „	19,247,900	99½
Dońskiego	„ „	4,393,800	97⅝
Jarosław.-kostromskiego	„ „	2,306,000	—
Saratow.-symbirskiego	„ „	7,064,000	92¼
razem listów zast. akcyj. bank. ziems. na rs.		254,154,300;	

doliczając listy zastawne, emitowane przez

Towarzystwo wzajem. kred. ziemsk.	5 %	187,697,000	90⅝ kr.
Chersoński bank ziemski . . .	5½ %	50,210,125	93⅜

ogółem emitowano listów zastawnych na ziemię . . . . na rs. 483,061,425

Ustawy banków ziemskich w Cesarstwie mało różnią się od siebie, ich ustawa normalna napisana została na wzór „Crédit colonial.“ Dzięki wysokim opłatom i stosunkowo niskiemu kursowi listów zastawnych, kredyt, udzielany przez banki ziemskie, jest bardzo drogim, lecz za to akcyonaryusze tych banków otrzymują wysokie dywidendy i tak w roku 1884:

	wydał dywidendy	kurs akcyj 8 Stycz. r. b.
Moskiewski bank ziemski	15,91 %	za 250 rs. 435 rs.
Kijowski „	15,86 „	„ 250 „ 372 „
Wileński „	15 „	„ 250 „ 400 „
Charkowski „	11 „	„ 200 „ 250 „
Petersb.-tulski „	12,11 „	„ 200 „ 258 „
Niżegorod.-samarski „	12,27 „	„ 250 „ 385 „
Bessarab.-taurycki „	14,6 „	„ 250 „ 390 „
Połtawski „	13 „	„ 200 „ 310 „
Doński „	10 „	„ 250 „ 245 „

Jednoczesne prawie utworzenie 11 banków ziemskich i wielka emisya listów zastawnych, w państwie nie mającém dotąd hypoteki i kadastru, naturalnie szkodliwie wpłynęły na kurs listów, nie mogących bynajmniéj liczyć na zbyt poza granicami państwa. Aby temu zaradzić w 1873 r. utworzono Bank centralny rosyjskiego kredytu ziemskiego, mający za cel nabywanie listów zastawnych banków ziemskich i towarzystw kredytowych miejskich na rachunek sum, otrzymanych z emisyi własnych listów zastawnych metalicznych. Tym sposobem Bank centralny był niejako pośrednikiem banków ziemskich z zagranicznemi targami pieniężnemi, a jego listy zastawne były niejako skonsolidowane listy zastawne banków ziemskich i towarzystw kredytowych miejskich. Pomysł rzeczywiście godny uznania, gdyby... nie kurs waluty rosyjskiéj. Już w 1878 r. Bank centralny zmuszony był zaprzestać emisyi własnych listów metalicznych, poniósłszy olbrzymie straty, tak, że obecny kurs akcyj tego banku wynosi zaledwie 51 rubli za 250 rs.

Również w nader przykrém znaleźli się położeniu dłużnicy Towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego w skutek obniżki wartości rubla. Instytucya ta, prócz zadań finansowych, miała także misyą polityczną, mianowicie miała ułatwić elementom wielkorosyjskim kupno ziemi na Litwie i Rusi, za co otrzymała zapomogę od rządu w ilości 5 mil. rubli. Towarzystwo emitowało obligacye w walucie metalicznéj, umarzane w ciągu 56 lat. Dłużnicy płacili 5 % odsetek, ⅝ % na umorzenie i 1 %, razem 6⅝ % w walucie metalicznéj.

W rzeczywistości ze względu na cenę emisyjną stowarzyszeni płacili początkowo około 8 %,— z rozwojem operacyj i zwiększeniem zysków, w których brali udział, stopa obniżyła się do 6,42 %. Wybuchła niebawem wojna wschodnia wykazała, na jak kruchych podstawach opierał się cały system finansowy Towarzystwa wzajemnego kredytu. Stowarzyszeni już płacili po 11 %, Bleichröder i Rotschild zrzekli się realizacyi dalszych seryi obligacyi (XIV i XV) i bankructwo „Tow. wzajem. kredytu“ stawało się nieuchronném, od którego uchroniła je tylko interwencya rządu. Rzecz dziwna, że tak przerażający przykład nie przekonał u nas pewnéj grupy ludzi dobréj woli, gdy mieli odwagę postawić wniosek w naszém Towarzystwie kredytowém ziemskiém emitowania listów zastawnych w walucie metalicznéj. Na szczęście dla stowarzyszonych i dla całego kraju, nieoględny ten, acz z dobréj woli pochodzący wniosek upadł... chyba na długie lata.

Oto krótki rys kredytu ziemskiego w Cesarstwie, ewentualnie w północno-zachodnich guberniach. Obdłużenie ziemi rosło z każdym rokiem, kultura zwłaszcza w północno-zachodnich guberniach raczéj obniżała się niż podnosiła, skutkiem czego i raty bankowe coraz trudniéj było płacić dłużnikom. Z ogólnéj przestrzeni ziemi, będącéj własnością prywatną, 28½ mil. dziesięcin, t. j. 31 % jest już zastawionych w instytucyach bankowych ziemskich, a z ilości téj przypada na:

w północno-zachodnie guberniach

	ogólna przestrzeń własności prywatnéj	zastawiono w instyt. kred. ziems.	czyli %
	dziesięcin		
w gub. grodzieńskiéj	1,206,957	558,730	46,29
„ witebskiéj . .	1,924,194	668,857	34,76
„ mińskiéj . .	4,280,227	1,345,685	31,44
„ mohylewskiéj .	2,204,932	624,434	28,32
„ wileńskiéj . .	1,531,373	381,206	24,89
„ kowieńskiéj .	1,593,601	332,963	20,90
„ podolskiéj . .	1,650,280	817,852	49,56
„ kijowskiéj . .	1,975,995	940,572	47,60
„ wołyńskiéj . .	2,722,679	1,048,990	38,53
razem	19,090,138	6,719,289	35,19

Liczby powyższe wskazują, że obszar ziemi zastawionéj w instytucyach kredytowych dosięga niemal połowy przestrzeni, będącéj własnością osobistą, prywatną—w guberniach podolskiéj, kijowskiéj i grodzieńskiéj, gdy tymczasem w kowieńskiéj tylko ⅕ część. Daléj w ogóle w północno-zachodnich guberniach ziemi zastawiono 35 %, t. j. o 4 % więcéj niż średnio w całém Cesarstwie. Co się tyczy obdłużenia zastawionéj ziemi,

to banki ziemskie w ogóle wydają 60 % taksy, a Towarzystwo wzajemnego kredytu ziemskiego tylko 50 %. Jeżeli jednak uważamy na wysoką stopę procentową i często nieoględną taksę, to uiszczanie się punktualne z rat bankowych dla dłużnika istotnie jest nader uciążliwe. I tak podług bilansów za ostatni peryod:

w północno-zachodnich guberniach.

	wysokość pożyczek nieumorzonych	średnio na dziesięcinę zastawionéj ziemi	
		taksa	pożyczka
	r u b l i		
w gub. grodzieńskiéj .	6,635,322	31,45	18,58
„ witebskiéj . .	4,960,501	19,68	10,55
„ mińskiéj . . .	6,471,493	13,06	6,81
„ mohylewskiéj .	4,280,033	14,98	7,78
„ wileńskiéj . .	4,434,876	29,96	16,34
„ kowieńskiéj . .	6,523,247	46,32	25,01
„ podolskiéj . .	25,038,973	63,66	36,39
„ kijowskiéj . .	26,543,197	60,29	37,44
„ wołyńskiéj . .	11,950,821	28,44	17,93
razem	96,838,463		

Ustawa Wileńskiego banku ziemskiego, zatwierdzona została w d. 21 sierpnia 1872 r. z rozciągnięciem działalności na gubernie: wileńską, grodzieńską, mińską, mohylewską, witebską oraz pskowską. Założycielami między innemi byli ks. Piotr Witgenstein, hr. Adam Plater, Jan Gonzaga-Pawliczyński i pułkownik Włodzimierz Giuliani. Pierwotny kapitał akcyjny banku wynosił 4,800 akcyi po 250 rubli czyli 1,200,000 rubli. Podług § 10 ustawy działalność Banku wileńskiego ogranicza się do udzielania pożyczek na zastaw ziemi, oraz nieruchomości miejskich, stanowiących własność dłużników. Pożyczki udziela bank długoterminowe na przeciąg czasu $54\frac{1}{2}$, $48\frac{2}{3}$ i $43\frac{1}{2}$ lat, oraz na zastaw nieruchomości miejskich na $27\frac{1}{2}$, $19\frac{11}{12}$ i $18\frac{1}{12}$ lat, listami zastawnemi po cenie imiennéj, lub w gotowiźnie, pochodzącéj ze zrealizowania listów. Dłużnicy od zaciągniętych pożyczek płacą rocznie (w ratach półrocznych):

	odsetek	na umorzenie	na administracyą kapit. zapasowy i dywid. akcyon.	razem
na lat $54\frac{1}{2}$	6 %	$\frac{1}{4}$ %	1 %	$7\frac{1}{4}$ %
„ $48\frac{2}{3}$	5 „	$\frac{1}{2}$ „	1 „	$6\frac{1}{2}$ „
„ $43\frac{1}{2}$	6 „	$\frac{1}{2}$ „	1 „	$7\frac{1}{2}$ „
„ $27\frac{1}{2}$	6 „	$1\frac{1}{2}$ „	1 „	$8\frac{1}{2}$ „
„ $19\frac{11}{12}$	5 „	3 „	1 „	9 „
„ $18\frac{1}{12}$	6 „	3 „	1 „	10 „

Odsetki na administracyą i t. d. z upłatą pewnéj części pożyczki peryodycznie zmniejszają się stopniowo i w końcu ustają. Prócz tego na koszta taksy i wygotowanie listów zastawnych Bank wileński ściąga jednorazowo 1% od udzielonéj pożyczki. Pożyczki krótko-terminowe Bank wileński udziela na przeciąg czasu od 1—3 lat, w wysokości najwyżéj 10% taksy i z zastrzeżeniem, aby ogólna suma pożyczek długo- i krótko-terminowych nie przekraczała 60% szacunku.

Podług zdania sprawy z czynności w 1884 r. dopełnionych, stan rachunków Wileńskiego banku ziemskiego w d. 1 stycznia 1885 r. tak się przedstawiał:

Stan czynny.

1.	Kasa, rachunki przekazowe i korespondenci rs.	2,130,256 k. 71
2.	Papiery procentowe	2,982,518 — 59
3.	Pożyczki długo-terminowe	31,394,327 — 84
4.	„ krótko-terminowe	502,975 —
5.	Różne sumy i kapitały	4,732,109 — 88
		41,741,187 k. 02

Stan bierny.

1.	Kapitał zakładowy	3,375,000 k.
2.	„ zapasowy	214,764 — 68
3.	Listy zastawne w obiegu będące	31,636,500 —
4.	Wkłady	2,099,450 —
5.	Różne sumy i kapitały	3,887,770 —
6.	Zyski Banku za 1884 rok	537,702 — 09
		41,741,187 k. 02

Statuty kijowskiego banku ziemskiego otrzymały sankcyą prawodawczą w d. 10 lipca 1872 r. z zakresem działalności na gub. wołyńską, podolską, kijowską i czernichowską. Założycielami byli: ks. Michał Koczubéj, Piotr Sielecki, Jakób Tarnowski, ks. Kudaszew i Michał Winogrodzkij. Pierwotny kapitał zakładowy składał się z 6000 akcyi 250 rublowych czyli z 1,500,000 r. Ustawa mało się różni od statutów banku wileńskiego. Podług § 96 z czystych zysków odlicza się: 5% na kapitał zapasowy, reszta zaś, jeżeli nie przewyższa 8%, stanowi dywidendę akcyi, w przeciwnym razie przewyżka nad 8% rozdziela się w sposób następujący: 75% na dodatkową dywidendę, 5% na kasę emerytalną pracujących w banku, 5% członkom komisyi szacunkowéj i 10% zarządowi. W § 105—109 wskazano zasady udzielania pożyczek na kupno majątków ziemskich w gub. wołyńskiéj, podolskiéj i kijowskiéj, wystawionych na sprzedaż przez kijowski zarząd gubernialny, lecz operacya ta skutkiem uchwały akcyonaryuszów banku w d. 10 marca 1878 r. została zawieszoną. Podług sprawozdania z czynności w 1884 r. dopełnionych, stan rachunków kijowskiego banku ziemskiego w d. 1 stycznia 1885 r. tak się przedstawia:

Stan czynny.

1. Kasa, rachunki bieżące i korespondenci	rs.	2,006,620 k. 61
2. Papiery procentowe		2,834,909 — 49
3. Pożyczki długo-terminowe		35,339,880 — 03
4. „ krótko-terminowe		1,334,900 —
5. Różne sumy i kapitały		2,770,833 — 57
		44,287,143 k. 70

Stan bierny

1. Kapitał zakładowy	3,250,000 k.
2. „ zapasowy	494,870 — 26
3. Listy zastawne w obiegu będące	35,350,200 —
4. Kasa emerytalna pracujących w Banku	49,829 — 18
5. Różne sumy i kapitały	4,513,264 — 53
6. Zyski Banku za 1884 rok	628,979 — 73
	44,287,143 k. 70

W ogóle działalność Wileńskiego i Kijowskiego banków ziemskich nader pomyślnie się rozwija, czego dowodem obecny kurs akcyi (8-go stycznia r. b.): wileńskiego 372 i kijowskiego 400 za 250 rubli. Lecz z drugiéj strony kredyt udzielany przez banki ziemskie jest nadzwyczaj drogi, a przy uwzględnieniu stanu rolnictwa, wysokości pożyczek i braku systemu hypotecznego, rujnujący dłużników. Przy obecnym kursie listów zastawnych 6% wileńskich 98⅛ i kijowskich 99¾ ziemianie płacą 8 — 9% od otrzymanéj gotowizny za listy zastawne, co w obec maksimum pożyczek 60% taksy jest dla nich nader uciążliwem. Położenie dłużników innych banków ziemskich jest jeszcze więcéj opłakaném, gdyż kurs listów zastawnych jest jeszcze niższym.

W obec tego stanu rzeczy i przy uwzględnieniu licznych petycyi ziemstw w Cesarstwie, polecono ministrowi skarbu obmyślenie środków ulżenia niedoli. Pan minister pierwotnie złożył statuty „państwowego banku ziemskiego," z którego kretytu miał korzystać ogół właścicieli ziemskich bez różnicy stanów i pochodzenia. W obec jednak zmieniających się prądów w polityce wewnętrznéj projekt ten nie został zatwierdzony, a natomiast uchwalono założenie „państwowego banku dworzańskiego," którego statuty w d. 15 czerwca r. z. otrzymały sankcyą prawodawczą. Ustawa téj instytucyi rozciąga się i na południowo zachodnie gubernie i nie obejmuje żadnych ograniczeń o udzielaniu pożyczek. Tymczasem w skutek presyi, wywieranéj przez organa samobytnicze, na przedstawienie ministra finansów i spraw wewnętrznych, postanowiono w dniu 10 października r. z. że z pożyczek banku dworzańskiego mogą korzystać tylko te osoby, które mają prawo nabywania tamże majątków ziemskich. Zatém szlachta pochodzenia polskiego usuniętą została z pod dobrodziejstwa taniego kredytu ziemskiego. Nie do nas należy sąd o ile re-

strykcya ta jest słuszną i sprawiedliwą, miejmy jednak nadzieję, że ograniczenie, nie będące zresztą w osnowie saméj ustawy Banku, z czasem usunięte zostanie.

Główniejsze przepisy Ustawy Banku dworzańskiego są następujące:

Art. 1. Państwowy dworzański bank ziemski ustanawia się celem udzielania pożyczek długoterminowych dworzanom—właścicielom ziemskim na zastaw ich własności ziemskiéj.

Art. 2. Operacye banku dworzańskiego obejmować będą Rosyą europejską za wyłączeniem Finlandyi, gubernii Królestwa Polskiego i nadbałtyckich.

Art. 3. Bank dworzański pozostawać będzie w bliższem zawiadywaniu ministra finansów i pod nadzorem rady państwowych instytucyi kredytowych.

Art. 4. Kierunek operacyami banku i nadzór nad czynnościami należy do prezesa (uprawlajuszczago) i rady banku.

Art. 8. Radę banku pod prezydancyą prezesa składać będą: członkowie (najwyżéj w liczbie 7) mianowani przez ministra skarbu, na przedstawienie prezesa, oraz członkowie (najwyżéj w liczbie 4) wezwani przez ministra skarbu z pośród członków oddziałów banku, wybranych przez zgromadzenia dworzańskie.

Art. 9. Rada banku spełnia następujące czynności:

a) sprawdza i zatwierdza taksę majątków, dopełnioną przez oddziały,

b) decyduje udzielanie pożyczek,

c) emituje listy zastawne,

d) wydaje decyzye o przedaży zastawionych majątków,

e) rozpatruje prośby dłużników o udzielenie ulg.

Art. 11. Spełnianie czynności Banku dworzańskiego na prowincyi porucza się oddziałom Banku, otwieranym na przedstawienie rady banku przez ministra skarbu, decydującego, które z gubernii wchodzą w obręb działalności oddziału.

Art. 12. Każdy z odziałów Banku składać się będzie: z prezydującego, członków taksatorów i członków z pomiędzy dworzan. Prezydującego i członków taksatorów mianuje minister finansów na przedstawienie prezesa Banku. Członkowie z pomiędzy dworzan wybierani będą na trzy lata, przez gubernialne zgromadzenia dworzańskie, po dwóch z każdéj gubernii, wchodzącéj w obręb oddziału. Członkowie ci uczestniczą w obradach, dotyczących téj gubernii, przez którą zostali wybrani.

UWAGA I. Tam, gdzie niema zgromadzeń dworzańskich, członków z pomiędzy dworzaństwa mianuje gubernator w porozumieniu z gubernialnym marszałkiem dworzan.

UWAGA II. Jednocześnie z wyborem członków z pomiędzy dworzaństwa wybierani będą w téjże liczbie ich zastępcy.

Art. 14. Do obowiązków oddziałów Banku należy:

1) przyjmowanie podań od osób pragnących otrzymać z Banku pożyczkę, sprawdzanie dokumentów, na mocy których zastaw nastąpił, prawidłowość taksy, jak również przedstawienie do ostatecznéj decyzyi Banku relacyi o mającéj się udzielić pożyczce.

2) nadzór nad wykonywaniem zobowiązań dłużników przyjętych przy zaciąganiu pożyczki.

3) rozpatrywanie próśb o ulgi dla dłużników w skutek klęsk losowych i przedstawienie ich do decyzyi rady Banku.

4) wykonywanie wszelkich w ogóle rozporządzeń i instrukcyi ministra skarbu.

Art. 20. Bank dworzański wydawać będzie pożyczki na zastaw własności ziemskiéj, wolnéj od długów, albo z warunkiem spłaty tychże zaciągniętą pożyczką, lub też za zezwoleniem wierzycieli wypłaty pożyczki dłużnikowi, z pozostawieniem Bankowi prawa pierwszeństwa w zaspokojeniu jego wierzytelności na zastawionym majątku.

Art. 21. Na wypadek przeniesienia zastawu z prywatnéj instytucyi kredytowéj do Banku dworzańskiego, Bank przyjmuje na siebie obowiązek spłaty długu prywatnéj instytucyi. Sposób przyjęcia przez Bank zastawu i umorzenia długu określi minister skarbu.

Art. 23. Sporządzenie powtórnego i następnych aktów zastawniczych na majątek obciążony pożyczką Banku może nastąpić tylko za wiadomością Banku.

Art. 25. W razie przejścia zastawionego w Banku majątku na osobę stanu niedworzańskiego, za wyłączeniem spadkobierców prawnych, nowonabywca obowiązany będzie uiścić całkowity dług Banku w ciągu najdaléj pięciu lat, w przeciwnym razie wierzytelność bankowa pokryta będzie sumą otrzymaną ze sprzedaży majątku na publicznéj licytacyi.

Art. 28. Życzący otrzymać pożyczkę na zastaw majątku obowiązany będzie dostarczyć:

a) przepisane przez prawo świadectwo zastawnicze,

b) szczegółowy opis szacunkowy majątku, podpisany przez właściciela lub pełnomocnika,

c) dokumenty, plany i objaśnienia, wykazane w wydać się mającéj instrukcyi.

Art. 29. Pod względem opłat stemplowych Bankowi dworzańskiemu służą te same przywileje co i Bankowi państwa.

Art. 30. Bank dworzański udzielać będzie pożyczki zgodnie z życzeniem dłużników na $48^2/_3$ i $36^1/_{12}$ lat.

Art. 31. Wysokość pożyczki nie powinna przenosić 60% taksy mającego się zastawić majątku. Pożyczka nie może być udzielana na dobra oszacowane niżéj 1,000 rubli.

UWAGA. Oznaczone w niniejszym artykule maksimum może być podniesione do 75% szacunku wskutek postanowienia $^2/_3$ głosów rady Banku,

zatwierdzonego przez ministra finansów, jeżeli żądana pożyczka ma służyć w całości na przeniesienie zastawu majątku z instytucyi prywatnéj, i jeżeli okaże się konieczną dla pokrycia długu, zaciągniętego przed opublikowaniem niniejszéj ustawy.

Art. 32. Wartość zastawić się mającego majątku ustanawia się taksą normalną lub specyalną.

Art. 33. Normalne ceny ziemi ustanowione będą za wspólném porozumieniem ministrów: skarbu, spraw wewnętrznych i dóbr państwa, na podstawie cen rzeczywistych. W miejscowościach, gdzie dla różnorodności gleby i innych warunków, ustanowienie cen normalnych okaże się niemożliwém, pożyczki udzielane będą tylko na zasadzie taksy specyalnéj.

Art. 36 Fabryki, zakłady i przemysł górniczy wyłączają się z taksy. Las tylko wtedy będzie włączony do szacunków majątku, jeżeli wyrąb jego wykonywa się na podstawie planu, od którego dłużnik zobowiąże się nie odstępować bez zezwolenia Banku.

Art. 38. Na zastawionym w Banku majątku zapisuje się zastrzeżenie o normalnéj wysokości udzielonéj pożyczki.

Art. 39. Celem udzielania pożyczek emitowane będą papiery procentowe pod nazwą biletów zastawnych państwowego dworzańskiego banku ziemskiego.

Art. 40. Listy zastawne realizowane będą przez Bank, mogą być jednak za zewoleniem ministra skarbu wprost wypłacane dłużnikom. W obu razach suma nominalna wartości listów, emitowanych na rachunek pożyczki, wyobrażać będzie wysokość długu zaciągniętego.

Art. 42. Listy zastawne Banku dworzańskiego przynosić będą dochodu 5% rocznie.

Art. 44. Listy zastawne Banku dworzańskiego będą emitowane na okaziciela, na żądanie posiadaczy mogą jednak być zamieniane na imienne.

Art. 45. Listy zastawne Banku dworzańskiego zabezpieczają się na majątkach zastawionych w Banku, jako też na wszelkich środkach w rozporządzeniu rządu będących.

Art. 47. Od pożyczek, otrzymanych w Banku, dłużnicy płacić będą za każde sześć miesięcy: 1) 2½% na opłatę odsetek, 2) na umorzenie pożyczki udzielonéj na 48 lat ¼%, a na 36 lat ½% i 3) na koszta administracyi, oraz na utworzenie funduszu rezerwowego ⅛%. Prócz tego dłużnik płaci jednorazowo przy zaciąganiu pożyczki ¼%. Wszystkie wyżéj wymienione opłaty obliczane będą od nominalnéj sumy pożyczki.

Art. 50. Jeżeli zastawiony majątek będzie zrujnowany z winy dłużnika, to dla zbadania rzeczywistego stanu majątku będzie wydelegowana specyalna komisya z przedstawicieli ministeryów: finansów, spraw wewnętrznych i dóbr państwowych. Rzeczona komisya wspólnie z dłużnikiem zbada stan majątku i opinią swoję prześle radzie Banku.

Art. 51. Jeżeli zrujnowany majątek przez decyzyą Banku, zatwierdzoną przez ministra skarbu, uznany będzie za niedostatecznie zabezpieczający dług Banku, to dłużnik zobowiązany będzie uiścić odpowiednią część pożyczki. Jeżeli żądanie powyższe w ciągu miesiąca wykonane nie będzie, to majątek przedanym będzie na publicznéj licytacyi; w razie niepokrycia w całości długu Banku reszta może być odzyskana środkami prawnemi.

Art. 52. Raty nie wniesione w terminie uważane będą za zaległe. Od takich rat liczona będzie kara za pierwsze dwa miesiące po ¼% a za następne po 1% za każdy miesiąc, przyczem niecałe miesiące uważane będą za całkowite.

Art. 53. Jeżeli zaległość w ciągu następnego półrocza uiszczona nie będzie, to Bank wystawia na sprzedaż majątek nieakuratnego dłużnika.

Art. 58. Kapitały, pozostałe po zaspokojeniu kosztów administracyi Banku, użyte będą na sformowanie funduszu rezerwowego Banku. Fundusz ten służyć będzie na pokrycie strat i zaległości od udzielonych pożyczek. Fundusz rezerwowy nie może być użyty na potrzeby państwa, ponieważ przeznaczeniem jego jest rozwój dworzańskiego kredytu rolniczego.

Art. 59. Sprawozdanie Banku sprawdzać będzie rada państwowych instytucyi kredytowych.

Oto są główne zasady nowéj instytucyi kredytu ziemskiego, która już rozpoczęła czynności. Zarząd centralny Banku dworzańskiego znajduje się w Petersburgu, a jeden z głównych oddziałów utworzono w Kijowie dla gub. wołyńskiéj, podolskiéj i kijowskiéj. W dn. 26 grudnia r. z. minister skarbu zatwierdził klasyfikacyą normalnych cen za dziesięcinę ziemi w tychże guberniach. Podług téj tabeli oceniono ziemię:

w gub. kijowskiéj:

w powiecie	radomyskim	po rs.	30 i 15	za dziesięcinę
„	kijowskim	„	90, 40 i 15	„
„	kaniowskim	„	100	„
„	czerkaskim	„	90, 60 i 20	„
„	czehryńskim	„	90, 60 i 20	„
„	zwinogródzkim	„	85 i 50	„
„	taraszczańskim	„	80	„
„	humańskim	„	80 i 50	„
„	llpowieckim	„	80	„
„	berdyczowskim	„	85 i 60	„
„	skwirskim	„	85, 60 i 40	„
„	wasilkowskim	„	85 i 40	„

w gub. podolskiéj.

„	jampolskim	„	90	„

w powiecie	mohylewskim	po rs.	85 i 60	za dziesięcinę
„	nowouszyckim	„	85	„
„	kamieniec-podol.	„	90	„
„	proskurowskim	„	85 i 65	„
„	latyczowskim	„	65 i 50	„
„	lityńskim	„	65 i 45	„
„	winnickim	„	80 i 50	„
„	bracławskim	„	80 i 50	„
„	hajsyńskim	„	80 i 50	„
„	olwiopolskim	„	75 i 50	„
„	bałckim	„	60 i 40	„

w gub. wołyńskiéj.

„	staro-konstantyn.	„	85	„
„	krzemienieckim	„	65 i 35	„
„	ostrogskim	„	65 i 35	„
„	zasławskim	„	70 i 35	„
„	nowogrodz.-wołyń.	„	70 i 35	„
„	żytomirskim	„	65 i 35	„
„	dubieńskim	„	45	„
„	włodzim.-wołyń.	„	45	„
„	rowieńskim	„	40	„
„	łuckim	„	40	„
„	kowelskim	„	10	„

„ owruckim i niektórych innych wyjątkowych miejscowościach, cena dziesięciny ziemi ustanowioną będzie podług specyalnéj taksy. Stosownie do ogłoszenia Banku dworzańskiego kurs listów zastawnych przy obrachunku ustanowiono w wysokości 98 za 100 rubli.

Pisałem 15 stycznia 1886 r.

F. Fendi.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Stefania Chłedowska — „Szkice literackie;“ (tomów dwa).— Lwów i Warszawa, 1885.

Moralny spadek po zbyt wcześnie zgasłéj autorce, ogłoszony pod ogólném mianem „Szkiców literackich,“ okazuje działalność jéj na polu krytyki literackiéj i artystycznéj. Samo uszykowanie przedmiotów dostatecznie przekonywa, że „szkice“ te nie są wynikiem stałego i z góry powziętego planu; pisała je autorka wyrywkami, w miarę nasuwających się okoliczności, pod wpływem zjawisk bezpośrednich, dzisiejszych. Po większéj części są to odbicia wrażeń teraźniejszości, felietony świeżéj daty, do których napisania umysł był jednak dawno przygotowany, wyrobieniem w sobie pewnych zasad na podstawie doświadczenia i wiedzy. Zasadom swym w pojmowaniu rzeczy literacko-artystycznych autorka wszędzie jest wierną i to téż stanowi jedyną jedność tych rozrzuconych kartek przedstawiających istną mozaikę przedmiotów. To szereg prac kilkoletnich do uporządkowania których trudno nawet było wynaleźć system, z powodu ich szczegółowości. Skończyło się na tém, że w jednym tomie zamknięto rozprawy większego rozmiaru, drugi głównie poświęcono jednodniowym, że tak powiem felietonom. Nie jest to system najszczęśliwszy, zwłaszcza gdy chodzi o poznanie autora, który już sam przez się dać się poznać nie może. Jeżeli nie nastręcza się sposobność łączenia artykułów przez pokrewieństwo przedmiotów, najlepiéj ułożyć je w porządku dat, gdyż data jest to etap rozwoju myśli i w żadnym razie przy przedrukach pominiętą być nie powinna. Na szczęście, daty tutaj mogą nie tak wiele od siebie odstawać.

Krytyka autorki przeważnie dotyczy literatury obcéj; wzgląd

na piśmiennictwo krajowe błąka się tam jakby przypadkowo. Teraźniejszość pochłania ją całkowicie; przeszłości dotyka w jednéj tylko rozprawie, rozpoczynającéj właśnie szereg zbioru, p. t. „Nowe i dawne kierunki romansu.“ Gdzie jest dla autorki właściwa linia demarkacyjna pomiędzy kierunkiem d a w n y m i n o w y m, odgadnąć trudno. Mówić zaczyna w Daudecie: ale potém nagle cofa się wstecz aż do Bocaccia i kończy zdaniem, że o takich powieściopisarzach jak Sand, Hugo, Feuillet, Cherbuliez, dziś jeszcze sądzić nie można, „bo jesteśmy jeszcze pod urokiem ich stylu, którego może jutrzejszy czytelnik nie zrozumie;“ i ten to czytelnik jutrzejszy, według autorki ma zawyrokować o wewnętrznéj wartości, czyli o trwałości ich dzieł. Oddaje się więc autorka pod tym względem krytyce czasu, bezimiennemu sądowi ogółu, który unieśmiertelnia, lub zapomina, stosownie do tego, rozumie się, czy dzieło ma samo w sobie żywotność jak Iliada, czy nosi w organizmie zarody śmierci. Jeżeli więc ani zalety zewnętrzne powieści, ani urok stylu „odpowiadający chwilowemu smakowi,“ ani umyślnie zawiązana intryga, nie decydują o przeszłości dzieła, to czegoż wymaga odeń autorka? Oto treści wewnętrznéj, prawdziwego obrazu życia i natury ludzkiéj, „nie w jéj zboczeniach, lecz w odwiecznym porządku.“

Jeżeli tak jest, to dlaczegóżbyśmy nie mieli dziś już tych warunków poszukiwać w najświeższych objawach powieściowych i wyrokować o nich, nie odwołując się do nieoznaczonego sądu ogółu, w czasie nieoznaczonym nastąpić mającego? Wszak wyższe wyrobienie praktyczne w porównaniu z wiekami dawnemi może nas do tego upoważniać. Prawda, ale tylko do pewnego stopnia. Autorka szłusznie domaga się zwłoki; sąd spółczesny choćby najobjektywniejszy zawsze jest mimowolnie stronnym; zależy on od spółcześnie panujących prądów przekonań i sympatyi. W poglądzie na dzieło zawsze różnić się będą umysły konserwatywne od postępowych i dla tego to przy każdym śmielszym mobjawie, jak romantyzm, lub naturalizm, natychmiast ukazuje się z jednéj strony potępienie, z drugiéj zapał: pośrodku staje niepewność i chwiejność. Dopiéro postęp czasu i chłodu wyrównywa zdanie.

Wyjaśniliśmy więc sobie dlaczego autorka uważa najbliższych za wyłączonych z pod stanowczego sądu, a mówiąc o kierunku n o w y m w powieści, przegląd swój kończy na Balzaku. Jest to przegląd, którego dla trafności w postrzeżeniach, nie możemy nazwać pobieżnym, lecz pomimo stosunkowo do innych, obszerniejszego i wszechstronniejszego opracowania, wygląda on bardzo szkicowo. Kto swe rozumowania poczyna od Bocaccia a kończy na Balzaku, zagarnia zatém przestrzeń czterowiekową, ten ma przed sobą wielką kartę z dziejów literatury powszechnéj, którą ażeby przedmiot wyczerpać, musi odpowiednio wypełnić. Autorka też, ażeby nie gmatwać rzeczy, pomija właściwy rozwój powieści, wszędzie gdzie i kiedy ona się pojawi, śledzi tylko coraz nowe zwroty i coraz nowe nabytki. W Bocacciu widzi twórcę anegdot pełnych satyry obyczajowéj; w Rabelem

filozofa i krytyka społecznego z wszechstronnym na świat poglądem; w Donkichocie Cerwantesa już jéj zarysowuje się człowiek o wyraźniejszych konturach: jest to wcielenie poglądu krytycznego, dotyczące wprawdzie jednéj tylko strony umysłu, ale wcielenie rzeczywiste. Gil-Blas, Lesage'a, zastanawia ją jako przedstawiciel człowieka średniéj miary w danéj epoce, pełniéj i wszechstronniéj od Donkichota ujęty, którego jednak strona psychiczna w wizerunku nie dorównywa stronie społecznéj. Heloiza Russa wyczerpuje warunki psychologiczne lecz tylko ze strony uczucia; Werter Getego przedstawia człowieka kompletnego, lecz w jednym tylko względzie: to zachwiana równowaga między potężnym umysłem a czynnością. Pomijając inne, mniéj świetne wyróżnienia i przykłady, spostrzegamy w tym przeglądzie nie wykład kierunków, jak chce mieć autorka, ale raczéj stopniowe wykształcanie się powieści z dążeniem jéj ku dzisiejszéj formie, ku jakiemuś ideałowi formy.

Tym ideałem powieściowym autorki zdaje się być dzieło Balzaka, które sam mistrz zatytułował „Comedie humaine.“ Twierdzi ona wprawdzie, że i o Balzaku „nie możemy jeszcze powiedzieć ostatniego słowa,“ bo nie wiadomo jaki na niego wydadzą wyrok ci „których już styl jego i nowość pomysłów zachwycać nie będzie,“ w każdym jednak razie, rodzaj Balzaka według autorki, „z tém co ma wzniosłego, artystycznego, na nim się kończy.“ Jego powieść jest pozytywistyczną. Balzak „nigdy nie wychodząc z pola ścisłéj prawdy moralnéj, przedstawił nam cały szereg obrazów z życia wyjętych, które się czyta z prawdziwą boleścią, bo są obrazem życia bez iskry idealizmu, bez najmniejszéj niekonsekwencyi, bez tych cudów moralnych, na które czasem Bóg zezwala, a których człowiek, logiczniejszy od samego Boga, nie może przypuszczać... Tragiczność tych powieści w tem leży, że autor maluje raczéj błędy i słabostki niż zbrodnie; nie śmierć nagłą, lecz powolne konanie: przedstawia odcienie złego nie w jednéj danéj chwili, ale we wszystkich epokach kwitnięcia, rozwoju i schyłku.“

Cóż chce przez to powiedzieć autorka? Oto, że Balzak krótko mówiąc, doprowadził powieść na ten stopień, na którym ona stała się najpełniejszym obrazem człowieka i życia, że jest to mistrz celujący w anatonomii i psychologii charakterów ludzkich, praktyczny filozof i znawca stosunków świata, bodźców podżegających do czynów, ewolucyonista w malarstwie powieściowém.

Zanadto upowszechnioném jest w krytyce literackiéj zdanie o Balzaku, ażebyśmy mieli przeczyć podobnéj charakterystyce. Ale czyż w tém znaczeniu nikt już obok niego stanąć nie może? Czy prawdą jest co powiada autorka, że „Balzak jest jednym z tych wielkich mistrzów, których naśladować niepodobna; a wielki sam w sobie, jak niektórzy sławni malarze, stworzył lichą szkołę?“ O naśladownictwie biernem i ślepem niema co mówić, ale czyż obok niego nie może śmiele stanąć Dickens? czyż wziąwszy produkcye pojedyncze, niejeden utwór mniéj głośném podpisany nazwiskiem, choćby i w literaturze

naszéj nie może równać się z podobnymże Balzakowskim Lecz atorce niechodzi o porównania w szczegółach. Ona idąc wielkiemi cyklami i streszczając się napotyka Balzaka, jako twórcę kierunku i dla tego téż jemu oddaje pierwszeństwo, jako twórcy kierunku, który nazwała pozytywistycznym, oddzielając się w tém od nazwy doktryny filozoficznéj. Czemuż nie powiedziała poprostu, że jest to kierunek realny, a więc różny od wszystkich poprzednich: anegdotycznych, krytycznych, sielankowych, sentymentalnych, filozoficznych, w ogóle tendencyjnych, różny zwłaszcza od ostatniego kierunku romantycznego.

Z dzisiejszéj pobalzakowskiéj powieści, autorka nie jest zadowoloną. Zbyt szczupłe, jak na taki przedmiot ramy, nie pozwoliły się jéj wypowiedzieć tak, ażebyśmy mogli podzielać wszystkie jéj zarzuty. Mówi ona o powieściopisarzach w ogóle, jako o naśladowcach Balzaka; ale naśladownictwa tego dobrze, nawet wcale, nie określa, a przecież proste naśladownictwo odróżnić trzeba od metody. Daléj, autorka patrzy tylko na powieść francuzką, a przecież jest jeszcze powieść inna, do któréj z trudnością dałyby się zastosować jéj bardzo ogólnie wyrzeczone uwagi.

Nie chodzi jéj o zarzucaną powieści ostatniéj niemoralność, którą wreszcie odróżnia od nieprzyzwoitości, ale o wytknięcie błędu artystycznego w jéj kierunku, który przypisuje brakowi krytyki powieściowéj. A co właściwie jest tym błędem? Nie koniecznie brak całości, wykończenia, usterki kompozycyi, widoczny pośpiech; ale mianowicie „malowanie charakterów ściśle indywidualnych, przedstawienie wyjątków, anomalii, a spuszczanie z oka ogólnéj natury ludzkiéj, gonitwa za oryginałami, a nie za typami.“

Lecz ażeby błędu tego dowieść i spostrzeżenie swe uogólnić autorka zamało sobie zadaje fatygi. Wytyka go ona bowiem w jednéj tylko powieści Daudeta, tak iż cały ten wywód jéj od Bocaccia aż do Balzaka, zkąd inąd niezaprzeczenie pożyteczny jako informacya dla czytelnika, wygląda w rezultacie na wielki nagłówek do bardzo ścieśnionéj krytyki „Nababa.“ Jednakże ani Nabab nie wyczerpuje powieści Daudeta, ani Daudet nie wyczerpuje powieści francuzkiéj, ani powieść francuzka nie wyczerpuje powieści w ogóle. Ażeby czegoś dowieść, potrzeba odpowiedni zebrać materyał dokumentowy i liczniejszych zgromadzić świadków. Tutaj autorka sama popełnia niejeden błąd zarzucany innym. Powiada, że zamiast zjawisk ogólnéj natury ludzkiéj opisują wyjątki, a sama zamiast poddać pod ocenę ogół, poprzestaje na wyjątku, który choć jeden z najświetniejszych, zawsze jest tylko jeden, mogący zatém służyć tylko za przykład, a nie za dowód.

W prawdzie autorka zarzut swój popiera jeszcze drugim przykładem, którego dzięki niesystematyczności wydania szukać musimy daleko, bo aż w drugim tomie zbioru, gdzie mieści się obszerszerniejsza ocena innéj powieści Daudeta p. t. „Numa Rumestan.“ Powtarza po pewnym przeciągu czasu niemal to samo co powiedziała przedtém, mianowicie, że Daudet wielkim jest malarzem. ale kocha się w ory-

ginałach, anomaliach; nadto, jeszcze dodaje zarzut o brak ścisłości historycznéj: wypadałoby raczéj powiedzieć etnologicznéj. Wiadomo że powieść ta obraca się w kole samych południowców francuzkich prowansalów; powieściopisarz więc usiłował scharakteryzować całą niejako rasę. To uogólnienie, pomimo dziwaczności charakterów, autorka nasza poczytuje mu za zaletę, tylko niezupełnie zgadza się na samą charakterystykę. Jest to charakterystyka zgoła niepochlebna. Prowansale przedstawiają się tam jako ludzie hałaśliwi, zapalni, ale bez siły, nawet bez sumienia; g r a e c u l i, dobrzy do deklamacyi, śpiewu, więcéj do niczego; możesz ich zażyć do zabawy, ale na wytrwałość i charakter tych zdrobniałych potomków trubadurów nie licz. Autorka ujmuje się za niemi i strony dodatnie energii wyszukuje gdzieś aż w dalekiéj historyi. Nie wiem kto zna lepiéj ten odłam ludności Francyi, autorka polska, czy rodowity francuz. W każdym razie, świadectwo przytoczone przez autorkę, według nas, nie ma wartości. W podawaniu w wątpliwość prawdziwości obrazu Daudeta tém ostrożniejszą być winna, że sama od niego żąda d o k u m e n t u; jéj zaś dokument ogranicza się na tém iż kiedyś, przed czterma wiekami, prowansale wystąpili czynnie i zbrojnie w obronie wolności sumienia; ten jeden rys wystarcza jéj do założenia opozycyi przeciw ujemności obrazu społecznego. Nie chwaląc się byśmy znali dokładnie właściwości charakteru prowansalskiego, przechylamy się raczéj na stronę Daudeta. Jeżeli mamy się powoływać na historyą, to bierzmy rzecz ogólniéj. Któż to są prowansale? Są to zromanizowani Celtowie, rasa organizmu wielce słabego: dowodem iż się wszędzie ujarzmić dała, od Irlandyi aż do Pirenejów i morza Śródziemnego; Bóg wie ile prądów wybujało na celtyckiéj mierzwie. Na południu Francyi uległa ona ukrzyżowaniu; zromanizowanie jeszcze bardziéj ją tylko rozmiękczyło; skoro więc plemię to słabém było ustawicznie, nie widzimy żadnego powodu dlaczego słabém nie miałoby być i dzisiaj, skoro ani przypadek, ani umyślne usiłowania nic nie zdziałały w kierunku zmiany. Cóż ztąd, że raz, kiedyś chwilowo podniosło głowy i pięście? To jak owe konchy poety, które raz kiedyś wzleciały ku niebu i znów wróciły do swego pogrzebu. W krystalizowaniu się Francyi, nie południe ale północ, krwią zasilana germańską, wzięła kierunek i moc; w języku nawet przemaga nie l a n g u e d'o i l, ale l a n g u e d'o c. Wszystko co do tego punktu przemawia więc za Daudetem. Co zaś do etycznéj strony plemienia, w dzisiejszym stanie, kompetencya cudzoziemca nie może mieć dostatecznéj powagi w obec miejscowego.

Lubo autorka imiennie ogranicza się na jednym Daudecie, to wszelako zarzut jéj upędzania się za wyjątkością charakterów ludzkich, za oryginałami i anomaliami, z zaniedbaniem cech psychicznych ogólno-ludzkich, dotyczy pewnéj grupy, do któréj zapewne zalicza pisarzy mniéj więcéj podobnéj miary jak: Claretie, Cherbuliez, Flaubert, Dumas, w których podziwia wytworność kolorytu, świetność stylu, udatność dyalogu, dramatyczność, scenerya, dekoracyą i tym

podobne przymioty drugorzędne. Co do Dumasa (syna), autorka raz go tylko zaczepia i to nie z powieści, lecz z okazyi dramatu „Księżniczka Bagdadu," którego napisała ocenę trafną, mającą tylko tę wadę, że o ile wyczerpuje przedmiot szczegółowy, o tyle o samym autorze mówi albo zawiele, albo za mało; wypadek zdarzający się zwykle, gdy recenzent do jakiegoś jednego szczegółu przyczepić usiłuje ogólną charakterystykę umysłu twórcy. Autorka wytyka w Dumasie również ów błąd wyjątkowości, wspólny powieściopisarzom dzisiejszego kierunku, gani w nim zbytek maniery i efektownych sztuczek, które na scenie technikę stawiają nadewszystko; lecz nie zapomina i o przymiotach. Podnosząc w nim zdolność obserwacyi i żywość kolorytu, zapomniała zauważyć, że jest to dramaturg zgoła obchodzący się bez poezyi i innemi żywiołami wyręczający się z powodzeniem na scenie. Zaleca w nim głównie to, że maluje z natury i duszę ludzką przedstawia szczerze, i n c r u d o. W tém podobno spoczywa główna tajemnica jego potężniejszego działania na masy, niż innych. Jest to uwaga słuszna, i która powinna ostać się w literaturze krytycznéj. „Niemieccy ultramoralni dramaturgowie i komedyopisarze—powiada—przedstawiają duszę człowieka tak, jakby naturalista opisywał zwierzę już przyswojone do klatki, mądre, oswojone." Inaczéj mówiąc: bohaterowie czy bohaterki dramatów zwykle występują ze swémi charakterami jakby na popis, odświętnie, dla parady, w obec świadków; zaletą Dumasa jest, że przedstawia ich takiemi, jakiemi są w samotności, w ciszy, gdy nikt na nich nie patrzy. Dumas w służbie u swych bohaterów jest owym kamerdynerem, w obliczu którego niéma wielkiego człowieka. „W tém leży cała wielkość Dumasa, twierdzi autorka, że nam nie przedstawia człowieka towarzyskiego, ale poprostu —człowieka." Trąci to nieco przesadą, bo ani Dumas nie jest tak wielkim, ani nie jest w tym rodzaju jedynym. Szczerość tę dawniéj i w stopniu nierównie wyższym posiadał Szekspir.

Skoro raz mówiła autora o kierunkach, z okiem przeważnie zwróconém na Francyą, nie mogła nie zawadzić o ten ważny objaw, jakim jest dzisiejszy naturalizm, który tyle powoduje wrzawy. I znowu, tak jak kiedy mówi o szkole balzakowéj, nie ogarnia całości, nie pogłębia materyału, ale z powodu dwóch najświeższych ówcześnie powieści naturalistycznych („La Faustin" Goncourta i „Pot-bouille" Zoli) wygłasza zdanie o ogóle. Jeżeli nie podobało się jéj wyjątkowanie u takich realistów jak wszyscy powyżsi; jeżeli Nabab i Rumestan, bądź co bądź, postacie bardzo zbliżone do ogólnéj natury ludzkiéj, nie zadowolniły autorki, cóż tedy będzie, gdy się przyjrzy potworom?

O! jakże niewłaściwie szkoła ta przybrała miano naturalizmu, ze względu na rezultaty jakichby miała prawo oczekiwać sztuka. Niech sobie kompozycyom tym towarzyszy metoda przyrodnicza, niech się posługuje skalpelem i odczynnikami: my nie patrzymy na środki; co nas one obchodzą? Czy dzieło powstało z natchnienia, czy z namysłu to nam wszystko jedno, byle odpowiadało warunkom prawdy

i piękna. Wszak szkoła zowiąca się naturalistyczną, powinnaby przedstawiać naturę: a jakaż to jest natura w rezultatach? Czy z fizycznego punktu, tylko garbaci, ślepi, kulawi i dychawiczni, przedstawiają naturę? Czy z moralnego punktu, tylko pijaki, gbury, głupcy, wszetecznice są jéj reprezentacyą? Wszak sztuka uganiając się za reprodukowaniem natury poszukuje tylko jéj piękności i grozy; słabe, chorobliwe i brzydkie jéj strony omija; bo to jéj powołanie, jéj cel, jéj natura i ideał, bez którego ona nie ma racyi bytu. Gdzież ten ideał szkoły naturalistycznéj? Byłaby ona taką w zastosowaniu do materyału najbliżéj stykającego się z naturą, oddalonego od wpływów kultury sztucznéj. Tam gdzieś na oddalonych wyspach, na górach niebotycznych, słowem wśród ludności pierwotnych, znalazłby się materyał taki, a wzięty na warsztat sztuki, mógłby przedstawiać naturę nie pozbawioną cech piękna. Ale zastosowanie do zjawisk wyrastających jak wrzody na ciele cywilizacyi, może wyrodzić tylko objawy chorobliwe, bo nie jest to już ani czysta natura pierwotna, ani natura cywilizacyą podniesiona: wyrodek, potwór. Kto uważa za potrzebny opis takiego zjawiska, w jakim bądź celu, i owszem; tylko niech się nie chwali że składa dzieło sztuki. Wprawdzie i romantyzm nie gardził potworami, ale były to szczere fantazye, i nawet taki ekscentryk jak W. Hugo nieśmiałby podawać swego Hana z Islandyi, Quasimoda lub Bug Jargala, za coś naturalnego; i w ogóle téż romantyzm z tego tytułu został potępiony. Porzucone przezeń ostrogi, których używał pędząc na swym hipogryfie, porwał naturalizm, zamienił na haczyk do zbierania gałganów, i obchodzi z nim śmietniki.

Nasza autorka nie występuje z bezwarunkowém potępieniem tego kierunku. Zdawało się nam owszém przez chwilę, że aprobuje jego postulaty. Właśnie przy rozbiorze Daudetowego Roumestana, powiada ona okolicznie: „Nie dziwnego że dziś z powieściopisarzem liczymy się tak ściśle; szkoła t. z. naturalistów wychowała już sobie trzeźwo pokolenie czytelników. Jeżeli powieściopisarze dodają dziś do swych romansów dokumenta, jak to czynią historycy, jeśli powieść już nie jest jak dawniéj dziełem fantazyi, ale rządzi się prawami ścisłemi i chce być niejako historyą ludzkości,—mamy tedy wszelkie prawo wprowadzić do powieści krytykę historyczną.“ (Zdanie o tyle fałszywe że nie dodaje, iż krytyka historyczna stosować się ma tylko do powieści historycznéj, przy powieści czysto społecznéj i psychologicznéj nie widzę jéj roli). Pomimo tego odwołania się o sukurs na rzecz argumentów własnych, autorka gdy przychodzi rozprawić się osobno z samą szkołą naturalistyczną, zapatruje się na nią nieco odmiennie. Poprostu nie uważa jéj za sztukę, za artyzm, ale raczéj za negacyą sztuki, za nihilizm artystyczny. Dzieła wychodzące z téj szkoły porównywa ona nader szczęśliwie do znanych w Warszawie odcisków gipsowych zmarłego doktora Levittoux, dokonywanych na żywem ciele, gdzie każdy szczegół, aż do gęsiéj skórki wychodził

takim jakim był w naturze. Co prawda, pomimo całéj téj naturalności, nic brzydszego w życiu nie widziałem. Z pozoru i materyału, był to niby posąg, tylko w ohydnéj karykaturze: nie dzieło, ale parodya sztuki. Wdzięczni jesteśmy autorce za to porównanie, bo wyświeciło nam ono plastycznie stosunek naturalizmu do artyzmu. Zapytywaliśmy siebie w swoim czasie, na co mogą się przydać wyroby d-ra Levittoux? Do sztuki nie należą, bo w sztuce przedmiot nigdy nie wychodzi taki jakim jest in crudo, ale jakim się przedstawia w wyobraźni i uczuciu artysty, a więc w oświetleniu idealném i indywidualném; nauka zaś czy może mieć z nich jaki pożytek? Toż anatom na seryo traktujący naukę, nie na nich studyowałby swój przedmiot. Zupełnie tak samo rzecz się ma z dziełami powieściopisarzy naturalistycznych. Sztuka je odpycha; i nie one to będą służyły za podstawę socyologowi badającemu wadliwość stanu społecznego. Jest to kierunek zgoła sam dla siebie, apostolstwo chybione; i szkoda tylko marnowania się w tym kierunku tak olbrzymiego talentu, jak Zola. Krótko ale dobitnie ten brak żywotności, a co większa ten fałszywy zamiar obalenia nieodbitych warunków artystycznych w sztuce, pod pozorem że one są konwencyolizmem, w artykule swym wykazała autorka.

Pomiędzy powieścią a poezyą właściwą stoi dzisiaj nowella, która z jednéj strony, torem narracyjnym grupowania faktów, sceneryą, wchodzi w zakres powieści; z drugiéj sposobem obrazowania uczuć brata się z poezyą. Wprawdzie niema reguły bez wyjątku, i są nowelle których pod powyższe określenie nie można w zupełności podciągnąć; to wszakże co w wielkiéj masie produkcyi wydało się nam najlepszém, nosi na sobie charakter o jakim mówimy. Kuse powiastki nie stanowią nowelli, która dziś już doszła rodzajowo do pewnéj fizyonomii. Gatunek jéj najcenniejszy nie różni się od powieści przedmiotem, tylko sposobem wykonania. Powieść zagarnia tyle punktów na planie życia ile jéj się podoba; nowella wybiera punkt jeden, ale decydujący o przyszłości, na którym często rozgrywa się walka o życie lub śmierć. Tam styl szeroki i rozmaity; tu zaletą jest koncentracya i cyzelura, jak w poezyi,

Nie wiele różnimy się w zdaniu co do tego z autorką, która też jakby za wzór rodzaju, w rozprawie „Noweliści“ wystawia Ouidę, podając ją nawet za twórczynią rodzaju. Zapomniała o Heysem, który rodzaj ten nierównie dawniéj uprawiał, w nim zyskał tytuł do największéj chwały, wprzód nim świat cośkolwiek o Ouidzie usłyszał, Dziwném jest nawet, że autorka w swéj rozprawie grupującéj kilku nowelistów, zupełnie go pominęła; co się tłómaczy tém chyba, że jak już raz powiedzieliśmy, chwyta ona pod rozbiór objawy najświeższe, jako sprawozdawczyni ruchu ściśle bieżącego.

Wiemy, jak trudno jest charakteryzować rzeczy subtelne, których niema za co materyalnie ująć, a do takich to rzeczy należy między innemi i nowella w któréj nieraz sama forma, nadana treści zbyt

prostéj lub powszechnie znanéj, starczy za wszystko. Jednakże autorka radzi sobie z tém jakoś. W rozbieranych czterech nowelistach (Ouida, Sienkiewicz, Bret-Harte, Caballero) potrafiła dostrzedz i wykazać cechy ich talentom właściwe, wyróżniające. Ouida, to talent nawskroś kobiecy, „stworzony z promieni słońca, z uniesień miłości, z łez i natchnień artystycznych; choć ta kobiecość nie wyklucza szerokości poglądów i siły natchnienia.“ W tém krótkiem, a nieco metaforycznem określeniu, czujemy już ten wykwint, ten zapach ideału i ciepło serdeczne jakiém tchnie każdy nowelistyczny utwór angielskiéj autorki, czy wówczas gdy ta natchniona sprowadza nas w najdystyngowańszy świat myśli lub odkrywa tajemnice piękna dla którego ma cześć i miłość, że tak powiem pogańską, czy też kiedy zniża się do nędznych włóczęgów ziemskich, dla których znowu serce jéj miłości chrześcijańskiéj jest pełne. Najbardziéj surowy kruszec w jéj ręku przybiera złociste połyski; artystka do szpiku kości, na każdego ze swych bohaterów narzuca uroczą szatę poezyi; nawet ten pies, którego uczyniła bohaterem jednéj ze swych nowelli, nie nie tracąc ze swéj natury istotnéj, wydaje się zwierzęciem olimpijskiém. W Ouidzie przeziera coś z organizacyi twórców starożytnéj Hellady, dla których sztuka była nie tylko powołaniem, ale religią. Nad tą stroną usposobienia autorki angielskiéj nasza nie dosyć się zastanawia; ale szczegółowe znamiona jéj sposobu twórczości gorącej, subtelnéj i delikatnéj, należycie uwydatnia.

I jakby dla kontrastu, stawia obok niéj Bret-Harta, o którym znowu z góry powiada: „Jest to człowiek nieznajomy, rubaszny, nawet niegrzeczny: wszedł do salonu z kapeluszem na głowie, nie raczył nam się przedstawić, mówi o nowych ludziach i w nowy sposób, plecie niezrozumiałe dziwy, a w sposób tak jakoś poruszający, wzniosły, serdeczny, że nim się jeszcze zastanowimy, czy go za drzwi wyprosić, już go musimy pokochać.“ W następstwie rozjaśnia się to figuryczne określenie. Nieznajomy: bo przybywa z ziemi gdzie w jednym lesie starczyłoby miejsca na cztery państwa niemieckie, gdzie kwiat jest drzewem, a rzeka morzem; gdzie wielkie przestrzenie i wielkie trudy wyradzają wielkie namiętności, a odmienność obyczajów odmienną etykę. Rażą nas jego maniery; bo wyrósł na silnym gruncie demokratycznym, gdzie powierzchowna ogłada nie służy za miarę do oceniania wartości. Plecie niezrozumiałe dziwy: bo społeczność z któréj powstał i którą maluje, sama jeszcze nie wyszła z chaosu; przed stu laty była zaledwie mgławicą, dziś zaledwie zaczyna się krystalizować, wchłonęła mnóstwo pojęć i narodowości, mnóstwo tradycyi i temperamentów, daje obraz wielkiéj walki ludzkiéj o byt nie na noże jak było w europejskich wiekach średnich, ale na inteligencye. Wszystkie te wpływy odbijają się i na artyzmie pisarza. Moralność jego nie wskazuje tak ścisłéj jak u nas różnicy między dobrem a złem; jego figury są to „postacie mieszane bez oznaczonéj granicy między podłością a świętością, personel jego mieści mnóstwo wystę-

pku rozmaitego, ale Bret-Hart nie idealizuje, przeciwnie, „przedstawia grzech nagi i tylko w grzechu tym jakiś zarodek cnoty, który nagle rozkwita w kwiat wspaniały.“ Styl też jego nie pochodzi z Attyki; szorstki jest jak życie yankesów, urywkowy, ale malowniczy; treść w nim wszędzie prawie bogatsza od formy; nie zaokrągla on całostek w końcówki moralne, tak iż „po odczytaniu całéj książki, myśl czytelnika jeszcze pracuje.“ Jest to artysta może nie mniejszy od innych, tylko zgoła odmiennego stempla. Mnie przynajmniéj Bret-Hart więcéj zastanawia niż porywa. Trzeba się istotnie więcéj zżyć ze społecznością aby w takich formach smakować.

Między takiemi postaciami słuszne miejsce należy się naszemu Sienkiewiczowi, którego nawet osobę, z całém usposobieniem, zręcznie naszkicowała autorka. Gdyby jego sylwetkę kreśliła późniéj, powiedziałaby zapewne, że jest to talent wszechstronniejszy od Ouidy: ta bowiem w powieściach szerokiego rozmiaru słabnie, gdy przeciwnie, Sienkiewicz z łatwością włada wielkiemi masami, a nadto odkrywa tam obcą talentowi Ouidy stronę—humor. Styl jego nie jest tak słoneczny, ale oryginalny zarówno jak cała forma. Czy jednak język Sienkiewicza stoi na tak niedościgłéj wysokości, jak chce mieć autorka (I, 131), czy tak daleko i wysoko odbiegł od innych powieściopirzy,—o tém się nie przekonałem, wątpię nawet, ażeby i sam autor tego się domyślał. Sienkiewicz, ile wiem, zna doskonale zasoby swego języka i to z różnych epok, co właśnie udowodnił w okresie o którym autorka jeszcze nie pisała, umie go zażyć w celu artystycznym, zwłaszcza, jako realista, zastosować do indywidualności; ale trudno byłoby dowieść, że już jako nowelista najwięcéj przyczynił się do jego „wzbogacenia i udoskonalenia.“ Jeżeli chodzi o porównanie, to zgadzając się z autorką, że Sienkiewicz nie należy do żadnéj szkoły, że jego kosmopolityzm jest tylko pozornym, że uniknął klęski naśladownictwa, i sam przez się u nas stanowi szkołę; duchowe wszakże jego pokrewieństwo, tak co do odnośnych pomysłów, jak i co do formy, zdaniém naszém, zaznaczyć można ze współką Erckmann-Chatrian, tak samo jak w wielkiéj powieści z Dumasem ojcem.

Obok téj potężnéj trójcy, jak Ouida, Bret-Hart, Sienkiewicz, dziwnie odbija wątła postać hiszpańskiego Caballero. Gdyby to był Heyse, Erckmann-Chatrian, lub nareszcie Daudet (jako nowelista), różnice modyfikowałyby się harmonijniéj; ale hiszpanka pisząca pod pseudonymem Fernan Caballero należy zgoła do innéj grupy. Ś. p. Chłędowska, jako sama też twórczyni noweli, oceniła ją nader łaskawie. Dla nas wszakże jest to talencik bez żadnéj energii, bierny i gadatliwy. Jéj utwory przypominają nam nasze „Powieści wiejskie,“ dodane do Pielgrzyma w Dobromilu. Jak Marya Wirtemberska, tak i Caballero może mieć w narodzie własnym wielką zasługę, że kreśli ze szczerością obyczaje ludowe, dąży do umoralnienia, do zamiłowania swojskości i cnoty; ale o artyzmie tu prawie i mowy być nie mo-

że. Jest tam tylko łatwość wypisania się, bez téj oryginalnéj obrazowości która znamionuje usposobienie twórcze.

Zaznaczyliśmy, że dzisiejsza nowela czerpie ze wspólnego źródła poezyi, czerpie więcéj niż wszystkie inne twory fantazyi, nie krępujące się konwencyonalizmem form poetyckich. Ale nie jest to jéj prawem. Może ona poprzestać na prostym żywiole malowniczym, który niezbędnie zasilać musi dzieła fantazyi, ażeby nie były prozą. Poezyi winniśmy szukać u poetów właściwych, i dlatego autorka zwraca się w tę stronę, poświęcając jéj najobszerniejszą z rozpraw: „Poezya współczesna," uzupełniona późniejszym dodatkiem: „Jeszcze poeci angielscy." Jedno z drugiém nie są to studya ani ścisłe, ani wyczerpujące, ale proste przeglądy, w których autorka usiłuje wykazać główne znamiona ruchu poetycznego w ostatniéj chwili, a zarazem główne cechy poetycznych działaczów. We Włoszech widzi polemikę konserwatystów i liberałów, pamflet strojny w pióra poezyi; rymowane, a częstokroć nawet natchnione wstępne artykuły dzienników. Jest to poezya w usłudze stronnictw, po wyjściu z pod jarzma wyprawiających orgią swobody. Stara gwardya manzonistów, pod przewodnictwem Zanelli'ego, broni się zacięcie na ostatnim wyłomie przeciw coraz liczniejszym i zuchwalszym zastępom ateuszów, republikanów i wszelkiéj barwy nowatorów, którzy, jakby zagrzani polityczno-wojennym animuszem bohatera z pod Mentany, a pod chorągwią Carducci'ego, zda się biorą odwet za wszystkie czasy ucisku wolnéj myśli, jakiemu ulegała Italia. Bluźnią też i wymyślają co się zmieści na wszystkie instytucye Boskie i ludzkie, z urąganiem wysłuchując równie namiętnych i obelżywych replik przeciwników. Jest to poezya przejściowa, może poezya przyszłości, dla któréj atoli teraźniejszość z trudnością wynalazłaby miejsce. Zaskarbi ona tu i owdzie obrazek zdjęty w całości z pola tych walk czysto tendencyjnych, wyróżniający się ogólniejszém w oczach sztuki znaczeniem, gdy większość gatunku rozleci się, roztrzaska, jako broń chwilowo użyta.

I dziwna rzecz: ta rewolucyjność, tłómacząca się świeżym fermentem politycznym, a po części i wrzącą krwią południowéj strefy, znajduje oddźwięk i poparcie w społeczności najbardziéj regularnéj, w krainie chłodu i mgły. Obok arystokratycznego Tennysona, który nie rozumie poezyi inaczéj, jak w stroju attyckim według kroju spółczesnego zreformowanym; obok mglistego a głębokiego Browninga, który znowu aż do niedbalstwa lekceważy formę, osłaniającą treści jędrne i zasilające ducha, jeśli się ktoś do rdzenia ich dobić potrafi; obok fantastycznego Lyttona, który, niby nowoczesny Ezop, zwierzętom rozegrywać każe swoje pełne znaczenia społecznego apologi,— słowem, obok całéj plejady poetów, dbałych o postęp, ale nie zrywających z tradycyami poezyi, wśród których demokratyczny a dobroduszny satyryk Hood niemałą odgrywa rolę; istnieje w Anglii rewolucya radykalna, właściwa tylko stałemu lądowi, która ma swego najdonioślejszego koryfeusza w Świnburnie. A gdybyśmy za miarę zainteresowania się

i wartości rzeczy, brali jéj popyt, to Swinburn stałby dziś na czele wszystkich poetów Anglii, bo ceny każdego z ukazujących się jego tomików droższe są kilkakroć od innych. Ale miara ta, jako jedyna wskazówka, byłaby fałszywą: dużo w tém znaczy nowość i skandal, a nowością i niemal skandalem w Anglii są ideje radykalne i ateistyczne. Wprawdzie Swinburn ma poprzednika w Shelleyu, który dziś, po połowie stulecia, więcéj interesuje spółziomków niż kiedykolwiek, więcéj zaczyna być cenionym od wszystkich poetów swego okresu, nawet od Byrona; ale w każdym razie jest to poprzednik nie w prostéj linii. Shelley dawał głuche hasła buntu przeciw odwiecznym ideom i prawom, był to pesymista czarny, jęczący nad uciskiem ludzkości, rwący się do wyzwolenia z oków rodu ludzkiego; jego poezya wskazywała złe w abstrakcyi. Swinburn, równie jak radykaliści włoscy, popada w dziennikarstwo, nie poprzestaje na ideach, ale wymierza ciosy w złe, według niego, konkretne; celem jego pocisków papież, katolicyzm, duchowieństwo, drugie cesarstwo z Napoleonem III-im, sobór rzymski z dogmatem nieomylności i t. p. Są to wszystko przedmioty jego nienawiści, miłością jest ludzkość cała. Dla jéj dobra kreśli on całe programy polityczne i religijne, właściwie antireligijne; i oto jest poeta, który zdaleka, przez lądy i morza, podaje rękę swym włoskim pobratymcom myśli; w kraju własnym najwięcéj opłacany, i zwolna tam tworzący szkołę, w kraju, który najściśléj obserwuje niedzielę, czyta biblią z zamiłowania i obowiązku sumienia, a rozsyła misyonarzy na wszystkie części świata.

Ta propaganda niewiary i wszelkiego radykalizmu za pośrednictwem poezyi, odbywająca się dziś wszędzie, nie wyłączając Warszawy i Krakowa, jest znakiem czasu, z którym liczyć się trzeba. Wszak ten zwrot nie jest ani sztucznie wywołanym, ani interesownym. Płynie on z głębi sumień i przekonań. Nie dziwiłby nas w prozie; ale kiedy poezya, która ma przedmiotów tysiące i zgoła inne tradycye, woła wielkim krzykiem do ludzkości: Chcesz być szczęśliwą, to zburz cały dotychczasowy porządek rzeczy, zwal z piedestału dawne swe bogi i podepcz,—to okrzyk taki niełatwo przemija, bo wychodzi z miejsc niespodziewanych, a po elektrycznéj iskrze natchnienia przenika do serc tłumów prędko i daleko. Wreszcie i sama poezya razem z tym zwrotem wstępuje na odmienną drogę. Dotychczas rozbija się, bez należytego rozstrzygnienia, kwestya tendencyjności w sztuce, respective w poezyi. Wielka poezya przeszłości nigdy nie była tendencyjną z planu: co najwięcéj, tendencya ukazywała się przypadkiem, jako odczucie podmiotowe twórcy. Szukano obrazów i uczuć, upajano się niemi. Komuż to dzisiaj wystarcza? I cóż może być bardziéj tendencyjnego od dzisiejszych już nie realistów, ale radykalistów w poezyi? Według tego jak się ona w téj szkole zaznacza, kołem coraz szerszém, liniami coraz wyraźniejszemi, nie długo czekać, a zobaczymy ją przeistoczoną w nowy czynnik polityczno-społeczny. Tylko cóż wtedy będzie z artyzmem, o który dziś mniéj dbają niż o treść

wewnętrzną, o tendencyą, o myśl będącą na porządku dziennym w danéj chwili, a zwłaszcza drażniącą. Jakże daleko jesteśmy od Homera, Danta i Szekspira.

Zobaczmy, naprzykład, co się dzieje z poezyą w ojczyźnie Gotego. Odkąd fanfarze z czasów wypraw Napoleońskich udało się rozgrzać umysły w kierunku patryotycznym, poezya nie porzuciła tego sojuszu z rządem i nie przestawała przygrywać na politycznéj fujarce usiłowaniom, dążącym do zjednoczenia i potęgi zjednoczonych Niemiec,—niezależnie jednak od poezyi niepodległéj objawiającéj się już to w lirykach, już w dramatach. Zdawało się téj tendencyi politycznéj, zachęcanéj przez Prusy, że już dostatecznie przygotowała swojemi środkami umysły do tego zjednoczenia na drodze wolności wewnętrznéj, tak, jak za czasów Körnera, zbudziła zapał ku wspólnéj obronie narodowéj przeciw zewnętrznemu nieprzyjacielowi. Tymczasem rok 1848 przekonał ją, że zrobiła zupełne fiasko. Zniechęciła się więc, i po roku 1850 zaczęła zawracać do charakteru sentymentalnego i domowego. Pomimo takich nazwisk, jak Bodenstaedt, Geibel, Ritterhaus, Lingg, Herwegh i Freiligrath, cała ta epoka aż do naszych czasów nosi cechę upadku; od czasu zaś zwycięztw pruskich, zwłaszcza od wojny francuzko-niemieckiéj, znowu popada w gwałtowny kult państwowy (Rednitz, Scherenberg). Jéj strofy, to poetyczny komentarz do not i przemów politycznych ks. Bismarcka; cesarz Wilhelm, Moltke, to jéj bohaterowie; pangiermanizm, to idea: obłudny pietyzm to przyprawa. „Tém sobie tłomaczę — mówi autorka — dlaczego współczesna historya państwa Pruskiego, pomimo, że dokonała tak wielkiego dzieła jak zjednoczenie Niemiec, tak jest wyzuta ze wszelkiéj wielkości, i czemu poezya niemiecka napiętnowana jest cechą upadku: nieszczerość wyklucza wszelką prawdziwą wzniosłość tak w polityce, jak w sztuce.“ Rzeczywiście, cóż to za wartość poezyi i poety, który bezwzględnie apoteozuje świadomy gwałt, siłę przed prawem, tyranią, podwójną logikę, który jeden i ten sam fakt wielbi albo potępia, nie według jego etycznéj wartości, lecz stosownie do tego czy się obraca na korzyść, albo na szkodę idei giermańskiéj. Jeżeli tak daléj pójdzie, będziemy tam mieli poetów sławiących kulturkampf, ausrotten, banicye pruskie i tym podobne arcydzieła idei germańskiéj, zastępującéj ideę wszechludzką. Wprawdzie rząd umie doskonale wyzyskiwać tego rodzaju poezyę; wiersze Scherenberga agenci pruscy rozwozili po wszystkich szkołach ludowych, nawet bez wiedzy i przyczynienia się autora, na mocy reskryptu ministeryalnego; poeci doznają łask i zaszczytów; ale poezya taka nie może być słońcem ludzkości: to tylko piec, przy którym wygrzewa się szpik idei germańskiéj.

Pomimo upadku politycznego i naukowego, z poezyą jednak inaczéj rzecz się ma we Francyi. Bądź co bądź, ideje świetlane, bodźce sympatyczne, przykłady dla ludzkości pożyteczne, tam zwykle brały początek. Kiedy objawy najbardziéj nawet postępowe w Niemczech dusiły się w granicach jednego państwa lub plemienia, Francya czy

to rycerska, czy demokratyczna, czy napoleońska, zawsze świeciła aureolą dla oczu nawet najdalszych, a jéj myśl czy to z gabinetu polityka, czy z pracowni uczonego, czy z teki poety, lotem błyskawicy rozstrzeliwała się po wszechświecie: do nauki, do belletrystyki giermańskiéj zapędzać trzeba; francuzka sama się przyjmuje, z zaletami, i niestety! z wadami. Najwyższym wyobrazicielem tego sympatycznego wpływu, téj rozprężliwości, jest i na długo pozostanie Wiktor Hugo. Kto posiada takiego poetę, który wreszcie pod względem rozmaitości i mnogości utworów, mógłby obdzielić dziesięciu poetów, może na długo być pewnym, że świat mówić o nim będzie. Znaczyż to, że Hugo jest najpierwszym poetą świata, choćby spółczesnego? Bynajmniéj. Jeżeli chodzi o tę doskonałość, którą pozwolę sobie nazwać fachową; toż jeszcze nie Szekspir, ani Gete, — ale tém od nich donioślejszy, że przemawia do wszystkich, że go miéć można na codzień, ze brata się z każdym umysłem i kocha, okrutnie kocha każdego, zwłaszcza kto boleje i cierpi. Naturę téj duszy wyjątkowéj i téj twórczości sympatycznéj, starannie i z pewną miłością określiła autorka, w tém co w niéj jest najszczytniejszego, jakotéż i w tém, gdzie się błąka i schodzi na bezdroża; a określenie to nie łatwe: stoi przed nami ogrom i rozmaitość.

Tylko w téj paraleli „poezyi współczesnéj,“ Wiktor Hugo jest nie zupełnie na miejscu. On wprawdzie bardzo długo jeszcze będzie współczesnym, ale w inném znaczeniu. W rzucie oka autorki na poezyę inną, figurują poeci ostatniéj chwili, niejako rozpoczynający zawód, kiedy go W. Hugo kończył. Wielu z nich są to jego uczniowie lub adepci, jego ducha synowie, we Włoszech zwłaszcza, którzy nieraz wprost tylko po swojemu odźwierciedlają jego myśli, albo je wykrzywiają; tak, że ani co do czasu, ani co do siły organizacyi, porównanie jest niemożliwe, chybaby tylko z cząstką Wiktora Hugo, mianowicie z jego doby ostatniéj, najsłabszéj. Jakoż, takie jego utwory, jak „L'Année terrible,“ „Le Pape,“ „L'Ane,“ noszą na sobie właśnie cechy téj jednostronnéj tendencyi, którą autorka i w innych uważała za szkodliwą w poezyi. Wprowadzenie Wiktora Hugo do obrazu porównawczego, z całością tegoczesnéj poezyi musiałoby cofnąć przedmiot do epoki nierównie dalszéj, przez co zmieniłby się znacznie i charakter obrazu, z pewną nawet cząstkową korzyścią dla poezyi poza francuzkiéj.

Jeżeli zaś temu wielkiemu mistrzowi nadamy we „współczesności“ miejsce właściwe, to idąc za wskazówkami autorki, napotkamy tylko kilka nazwisk wystających nad poziom: to Laprade, Sully-Prudhomme i Fr. Coppée, poeci nie najpierwszego polotu, ale stojący poza wpływem Wiktora Hugo, jakoteż poza wpływami szkoły. Indywidualizm tych poetów, według autorki, nie jest jeszcze oryginalnością, ale dopiero jéj poszukiwaniem; nie oglądają się oni tyle za nowemi ideami i za nowemi drogami, jak włoscy i angielscy, ile za oryginalnością formy. Sully-Prudhomme, to poeta przeważnie egotyczny, ale nie

egoistyczny; maluje przedewszystkiém uczucia i wrażenia własne, walki z samym sobą, i ciężarem życia (mamy kilka jego próbek w udatnem tłómaczeniu Hajoty). Bez żadnéj nowości, jest tam jednak prawda uczucia, tylko wyrażana w formie osobliwéj, która, jako niezwykła, zrazu odstręcza i wymaga przyzwyczajenia się. Sully-Prudhomme, to poeta-gramatyk.—Laprade, przeciwnie, to klassyk zabłąkany w świecie zgoła nieklassycznym. Daremnie nad jego głową przeszła cała zawierucha romantyzmu i realizmu; on z olimpijskim spokojem maluje obrazy sielskie, a jeżeli nawet potrąci go współczesność, wrażenie układa w długie alexandryny, przez które ono prędko i skutecznie przedrzeć się nie może. Laprade, to poeta do czytania w gronie akademików; nigdy popularnym nie był i stać się nie może. Przeciwnie, czuły, subtelny Coppée, ze swą delikatną prostotą, zaglądający do serc ludzkich jak przyjaciel i lekarz, ujmuje nie siłą ale wdziękiem niewymownym. Interesujący, gdy chwyta drobne a znaczące moralnie zdarzenia życia, upada pod ciężarem większych komplikacyi. Epik uliczny, nie przydałby się do obozów.

A teraz, „z pałaców sterczących dumnie, zejdź luba do nizkiéj chatki". Chcemy zobaczyć jak poezya współczesna wygląda w Polsce, i napotykamy jednego Asnyka. Dlaczegoż takie ubóstwo? Ha! poezya, jak kwiat, potrzebuje warunków, słońca, przestrzeni, przewiewu. Kwitnie ona tam gdzie żyją, walczą, pracują; nie tam gdzie gniją, a na swem gnojowisku, nędzarze, zagryzają się... o co? Nie o przedmiot wartościowy, ale o lichą kość, o odpadek, po który zgłodzony nędzarz wyciąga rękę tylko dla siebie. Daremnie twierdzić, że czasy dzisiejsze wogóle nie sprzyjają poezyi; żaden huk młotów i świst lokomotyw nie zagłuszy głosu gieniuszu. Poezya istnieje wszędzie gdzie istnieją wielkie interesa do głębi poruszające wielkie dusze. Wszędzie, gdzie ludzie mogą iść naprzód, w kierunkach najrozmaitszych, poezya towarzyszy im jak orkiestra pułkowa bojownikom: nie zasiada do uczty z paralitykami. U nas był jeden przynajmniéj kierunek, który oświetliła poezya: dzisiaj i ten ustał wśród popłochu, a poezya czcić nie będzie dezerterów i apostatów.

Autorka, któréj obce są nasze co do tego zdania, chwilę dzisiejszą nazywa u nas przejściową. Nie wiem, co chce przez to rozumieć: przejście odbywamy dość dawno, i ono w poezyi zaznaczyło się świetnie, bo widzieliśmy dobrze do czego przechodzimy, a przynajmniéj przechodzić chcemy. Mieliśmy ideał. Gdzie i jaki jest on dzisiaj? Może i jest, ale tak mały, tak nędzny, tak do najbliższych potrzeb przykrojony, że go poezya nie spostrzega. Odstąpiwszy, przez rozsądek, od własnego ideału, który był zarazem ideałem wszechludzkim, cóżeśmy postawili w sercach naszych na jego miejsce? Cośmy wyrobili, co wyrabiamy z siebie? Smutny egzamin. W aspiracyach, w robotach naszych, niéma nic własnego. Zagrzewamy się do idei naleciałych, na śmiech ludzki żołądkujemy się o dobra nie swoje, o jakieś odpadki cudze; poniewieramy to co było niegdyś własnością naszą,

i chcemy być doskonali, zaparłszy siebie. Siadaj, poetol i natchnij się żywiołem takim, w czasach gdy znalazł się głos, który „Anhelego“ odsyła do baletu.

Asnyk też nie wyraża nic takiego coby rzucało nowe światło do duszy współziomków lub wstrząsało nią silniéj. Wziął on ciężki spadek po trzech wielkich poprzednikach, ale go się zrzekł. Nawet ta jego symboliczna wizya, któréj przedmiotem ostatnie dzieje, jest tylko wielkim okrzykiem bolu i zwątpienia. Poeta wrócił na dawne, odwieczne i nigdy niezaparte pole poezyi: do uczuć osobistych, do natury. To skowronek, który na niedogasłéj ruinie siada i nuci pieśń wczorajszą, znaną, ale wiecznie piękną. To nuta wczasu, nie walki o byt czy ideał. Słuchamy go z rozkoszą, bo to nuta swojska, serdeczna a pełna wdzięku i prawdy: słuchaliby go tak samo inni, bo odzywa się głosem melodyjnym i zrozumiałym wszędzie. Nam, osobliwie, nie odkrywa on dróg nowych, ani nowych ideałów. I nic dziwnego. Poeta nie bywa nigdy i nigdzie wynalazcą ideałów: kto się pokusi tworzyć ideał na własną rękę, jest tylko marzycielem. Poeta wyobraża jedynie ideał społeczeństwa zbiorowy, odgaduje i ucieleśnia to co rozstrzelone spoczywa w głębiach ducha narodu. Asnyk kocha i wierzy, ale ostatnim wyrazem jego pieśni zda się być rezygnacya. Jestże to odblask ideału zbiorowego? Być może.

Jakkolwiek dobrą jest charakterystyka autorki co do talentu Asnyka, ale pomieszczona w ogólnéj rozprawie zatytułowanéj: „poezya współczesna,“ nie daje przecież obrazu współczesnéj poezyi polskiéj w porównaniu z innemi. Nie wiem, dzięki niedokładności wydania, kiedy autorka pisała tę rozprawę, ale obraz w niéj jest niekompletny: jeden Asnyk nie wyczerpuje całéj współczesnéj poezyi polskiéj. Obok niego nagle wystąpiła Konopnicka z niepospolitym zasobem talentu, a zarazem z gotowym aparatem sceptycyzmu i buntu; Wysocki z krytyką przeszłości; literatura liczyć się zaczyna z Czesławem, i kilku innymi. Gdyby wszystkie te zjawiska były nawet późniejszemi od Asnyka, autorka przed nim i obok niego byłaby powinna widzieć Leonarda Sowińskiego, którego niespokojna dusza nieraz tak rozdzierającym odzywa się głosem, że przed nim inne cichną na chwilę. Nie pojmuję jakim sposobem autorka zkądinąd baczna, mogła w paraleli, tak ograniczyć charakterystykę poezyi polskiéj, wydobywając gdzieindziéj niektóre nazwiska nie wytrzymujące porównania z naszemi, a tu poprzestając na jednym Asnyku. Zgrupowanie żywiołów wniesionych do tylu objawów, znacznieby zmodyfikowało ogólne o niéj wyobrażenie. Studyum autorki o Asnyku nie przestaje być informującém, jako studyum odrębne: wplecione do ogólnego obrazu współczesnéj poezyi europejskiéj, chybia celu ukrytego w tytule. Wreszcie, wogóle mówiąc, ten wyraz „poezya“, autorka ograniczyła tylko do jednych liryków, przez co obraz musiał się uszczuplić, bo przecież liryka nie wyczerpuje całéj myśli poetycznéj narodu, która wielkiemi strumieniami wpływa i do innych form, zwłaszcza do dramatu.

Pewnego rodzaju dopełnienie pojęć autorki w poezyi stanowi artykuł zatytułowany: „Romantyczka". Jest u nas, jak i wszędzie, kilka postaci mało przez się znaczących, które, jak muchy w bursztynie, zakonserwowały się w indywidualności poetów: do takich należy Henryka Ankwiczówna, z męża hr. Kuczkowska. Autorka rozpatruje jéj sztambuch, pełen pamiątek literackich po wielu znakomitościach, oraz pamiętnik spisywany od młodości prawie do końca życia. Z tego wszystkiego widzi autorka w niéj typ wychowanki romantyzmu. To miłość dla kraju i dla katolicyzmu równoważąca się prawie, uczucia najszlachetniejsze, tylko bez podstawy realnéj i krytycznego zmysłu; zapał w równéj mierze zastosowany do rzeczy wielkich i do drobiazgów. Dziwnie trafną ustanawia też z téj okazyi autorka analogią pomiędzy romantyzmem w poezyi i w życiu naszém wewnętrznem. Jak poeci w swych utworach, zamiast ludzi ze krwi i kości, przedstawiali różane albo ogniste widma, tak my w życiu takieśmy sobie widma tworzyli, przestając z niemi aż do ostatniéj katastrofy. Romantyzm wiecznie był młody, nie posiadał żywiołów dojrzałości, więc i zestarzeć się nie mógł; zupełnie tak samo jak w kierunkach życiowych. Sprawdzenie tego pojedyncze widzi autorka w opisywanéj osobie, która żyjąc w ciągłych uniesieniach, a spuszczając się na „jakoś to będzie," pod koniec życia doszła do ostatniéj nędzy. Kreśląc charakter poetycznego i życiowego romantyzmu, autorka wyraża w końcu zdanie zasługujące na powtórzenie: — „Czynem téj epoki był rok 1848 (co do nas należałoby dodać jeszcze 1863), rewolucya retorów, pełna muzyki słów, która ostatecznie przyniosła z sobą wielkie zawody: romantyzm został bez jutra, skończył prawie na bankructwie moralném. Dzisiejsze pokolenie, wykarmione na ideałach bez treści, mogłoby powtórzyć tragiczne słowo biednéj romantyczki: „nie mam chleba, mięsa, ognia, nawet nadziei." Przerzuciliśmy się przeto w najbardziéj krańcową reakcyą: a choć kierunków dzisiejszéj sztuki nie rozumiem i nie lubię, przyznać trzeba, że ma jednak nad dawniejszą sztuką wielką przewagę siły w szczerości."

To ostatnie zdanie połowiczne autorka na innem miejscu (I, 384), wzmacnia na korzyść dzisiejszéj sztuki, (któréj nie rozumie i nie lubi), następującemi słowy:—„I dlatego, że trzymając się ściśléj metody obserwacyjnéj, naturalizm może wyrażać idee wielkie, godzimy się z nim, wierzymy w dalszy jego rozwój i postęp, i nie boimy się zgubności jego kierunków dla przyszłości sztuki."

Słowa te wypowiada autorka w artykule: „Naturalizm w sztuce," napisanym z powodu wystawy obrazów Wereszczagina, przedstawiających ustępy wojenne, w których plastyka, wykonana z godném podziwu mistrzowstwém, jest w swoim ostatnim wyrazie przerażającą, ze względu na grozę przedmiotu. Bo gdy dawni, tak zwani bataliści, przedstawiali stronę poetyczną wojny, Wereszczagin, przeciwnik jéj z punktu etycznego, maluje stronę jéj opłakaną, czerpiąc materyał odpowiedni z natury i oddając go z całą wiernością kolorytu. Autorka

obiera sobie tego malarza za typ rodzajowy naturalizmu w sztuce, i wysnuwa nad tém uwagi, których rezultatem są ostatnie zacytowane słowa.—Czy nie przedstawiają one pewnych w jéj umyśle sprzeczności, a przynajmniéj chwiejności? Niedawno, jak widzieliśmy nie aprobowała naturalizmu w belletrystyce; tylko co oświadczyła, że kierunku dzisiejszéj sztuki (rozumiejąc pod nim skrajny realizm) nie lubi; obecnie godzi się z naturalizmem, nie obawia się go dla sztuki, wierzy w jego rozwój i postęp. Teraz my znowu tego wszystkiego nie rozumiemy, i widzimy tylko jedno: mianowicie, że autorka wobec tego nowego objawu rady sobie z nim dać nie może. I nic dziwnego; nie ona jedna zostaje w tém położeniu. Wszelka nowość śmiała, pojawiająca się w sferze idei wyższych, wytrąca umysły z równowagi, i nawet najbezstronniejszych pozostawia w niepewności. Tu, w sferze estetyki, wobec mianowicie naturalizmu, to wszakże zauważyć należy, iż jedną z przyczyn niepewności jest brak odróżnienia pomiędzy talentem osobistym mistrza a metodą. Cokolwiek stworzy Zola lub Wereszczagin, ludzie podziwiać muszą, jako rzecz odbijającą wysoką indywidualność, oświetloną promieniem gieniuszu. Ale co warta metoda, o tém wyrokować mogą tylko społeczne upodobania okresu artystycznego. Sztuka nie ulega prawidłom; ten lub ów jéj charakter, zakres, forma, to tylko wcielenie pierwiastków ducha społecznego. Jeżeli kto nawet, po pewnym okresie skupia te objawy i według nich wykrywa prawa organizmu sztuki, to kodeks ten ma tylko wartość krytyki jednego okresu: dlatego to kodeks naprzykład Taine'a różni się od kodeksu Arystotelesa, któremu przecież względnéj doskonałości odmówić nie można. Naturalizm przeto, pomimo hukliwie głoszonych pretensyi do monopolu w dziedzinie sztuki, może być tylko wytłómaczonym przez element społeczny dziejów jéj epizodem krótszéj lub dłuższéj trwałości, nawet objawem chorobliwym, jak wyrzut chwilowy zmęczonego organizmu. Autorka zkądinąd, mówiąc o nowych kierunkach sztuki, mięsza ustawicznie naturalizm z realizmem, nie oznacza między niemi ścisłéj granicy, a przez to i samo o nich pojęcie stawia niezbyt jasno. Te wszakże modyfikacye jakie kładzie naturalizmowi za warunek postępu i przyszłości, są niczem inném tylko właśnie warunkami czystego realizmu, w sztuce i poezyi praktykowanego oddawna i nie ulegającego przedawnieniu; a brak tych warunków wskazywałby tylko, że naturalizm stanowi ten odcień realizmu, który sztukę zacieśnia aż do granic negacyi i spycha ją na poziom prozy.

Zajmując się prawie wyłącznie ruchem spółczesnym w granicach literatury nadobnéj i sztuki, autorka podjęła trud niepospolity, charakteryzując Ryszarda Wagnera, w rozprawie „Rewolucyonista w sztuce:“ niepospolity, powiadamy, bo ażeby można coś treściwszego o tym człowieku powiedzieć, a słowo nie było prostém echem ogólnikowego nasłychu, lub poufném zwierzeniem dyletanckiém, potrzeba Wagnera szukać w jego nietylko utworach muzycznych, ale i w dziełach piśmienniczych, w wielkich dziewięciu tomach zamkniętych, oraz wiadomo-

ści o nim uzupełnić sobie towarzyszącą mu krytyką przeciwników równie jak apologią zapalonych wielbicieli, odgłosami wrzawy jaką koło siebie wywołał muzyk „przyszłości.“ Trudu tego dokonała jednak autorka, i jak się zdaje, wkrótce po śmierci mistrza napisała coś w rodzaju sylwetki, streszczającéj główne jego rysy, a mającéj zaletę pierwszeństwa, jeśli nie jedynactwa w naszém piśmiennictwie.

Jeśli tę pracę nazywamy sylwetką, nie mamy na myśli płytkości i powierzchowności, dyskretującéj tego rodzaju szkice w bieżącém naszem dziennikarstwie; ale raczéj rozmiar (względnie do obszerności przedmiotu) i sposób pisania. Nie można bylejakiemi słowami zbyć człowieka, który na łożu śmierci, niby testamentowo powiedział (cytata autorki):—„Wierzę w Boga, w Mozarta i Bethowena, jako też w ich wyznawców i apostołów. Wierzę w Ducha świętego i w prawdę jednéj nierozdzielnéj sztuki; i wierzę, że przez nią będą ludzie zbawieni.“.

Dla prostego umysłu byłoby to bluźnierstwem, w ustach Wagnera przybiera wyraz jakiegoś sekciarskiego fanatyzmu, a co nadewszystko, że streszcza symbolicznie całą niemal jego działalność. Kto widzi w Wagnerze prostego tylko reformatora opery, zmieniającego metodę na metodę, autora Tannhaüsera lub Niebelungów, ten jest o sto mil od wyczerpania jego indywidualności. Wszędzie się on przedstawia o kilku obliczach: muzyk i poeta, mistrz i reformator, praktyk i teoretyk, giermanin i wszechczłowiek, siła twórczości i siła refleksyi równoważące się z sobą, wzajem sobie przeszkadzające. Ale nie koniec na tym dualizmie: to kompletna rewolucya, destrukcya i rekonstrukcya. Teatr, ta dotychczasowa buda, urządzona dla rozrywania przeżytych członków ludzkości, musi runąć by na jéj miejscu powstała instytucya, któraby niemal zastąpiła świątynię, kościół. Będzie to przybytek stanowiący krzepką a idealną szkołę moralności za pośrednictwem czystych upojeń sztuki. To nie żadna cząstkowa reforma, ale zmiana radykalna w samym jéj rdzeniu. Sztuki pojedyncze już się zużyły, są to egoistki, które dziś na nikim nie sprawiają dodatniego wrażenia, przestały nietylko wstrząsać organizmem ludzkim i wywoływać w nim zmiany, ale przestały wprost interesować; pojedynczo wzięte są one zasłabe do wyrażenia myśli całkowitéj. Muzyka, naprzykład, mówi za ogólnikowo; poezya za zimno, bez téj ekspresyi właściwéj muzyce; i tak co do każdéj sztuki. Odtąd nie będzie sztuk niezależnych i samopas chodzących, ale sztuka jedna, nakształt jednego państwa Niemieckiego, o które daremnie kusił się rok 1848, świadek upadku ducha w narodzie. Wszystkie one ze swojemi odrębnemi znamionami, zjednoczą się w teatrze, pod komendą dramatu muzycznego, i nie wolno będzie ani poecie, ani muzykowi, ani budowniczemu, ani rzeźbiarzowi, występować na własną rękę pod karą obojętności i zagłady. W dramacie tym muzyka ze słowem zleje się w jedność nierozdzielną, inne sztuki w związku najlogiczniejszym dopomagać będą do téj jedności, i dopiero przedstawi się całość życia

idealnego. A jaki to ma być ten dramat muzyczny! Filozofia, polityka, religia, wszystkie idee świata zniosą tam swe najwonniejsze kwiaty by stworzyć girlandę scen najwznioślejszych, gdzieby Bóg i ludzie odbijali się jak w zwierciedle, a obrazy myśli i uczuć uzmysłowionych przez zjednoczenie poetycznego słowa z muzyką, pozostawały niezapomniane i zobowiązujące. Nad takiém zadaniem całe życie pracował Wagner, z namaszczeniem proroka, z zagorzalstwem utopisty, tę mięszaninę mistycyzmu, metafizyki, narodowości i zmysłowości wcielał do swych utworów muzycznych, dopóki śmierć nie przerwała misyi. I tę to stronę jego aspiracyi, działań, zachodów, wspierając się na jego rozprawach, przeglądając jego utwory muzyczne, rozbiera autorka więcéj niż metodę operową, która, jak wiemy nawet już z pewnego doświadczenia, oprócz nadania słowu właściwéj przez muzykę ekspresyi, polega na „melodyi ciągłéj“ w orkiestrze, przy usunięciu aryi nieumotywowanych wynikłością, partyi zbiorowych i chórów, a zastąpienie różnego charakteru śpiewów deklamacyą rytmiczną na scenie przy owéj ciągłéj melodyi orkiestrowéj; przez co opera zmienia się w pewien rodzaj wielkiéj symfonii, któréj motywa przewodnie, nieliczne a ciągle tylko symfonicznie rozrabiane, służą do określenia charakteru bohaterów.

O Wagnerze możnaby się odezwać przysłowiem francuzkiem: — „qui trop embrasse, mal étreint.“ Jego zlanie wszystkich sztuk w jedną sztukę, tak podniosłą i potężną, żeby natchnieniami swemi zastąpiła religią i stała się nowym kościołem,—jest to marzenie wielkiego zapewne, ale niezdrowego umysłu; to hypertrofia instynktu reformatorskiego. Powstała ona zapewne z sympatycznego poglądu Wagnera na teatr ateński z czasów Peryklesa, kiedy właśnie sztuka helleńska doszła do ostatecznego rozkwitu. Rzeczywiście, wtedy to teatr ten jednoczył w sobie wszystko co stanowiło duszę, istotę i zajęcie ludu, a nadto skupiał w odpowiedniéj mierze wszystkie sztuki piękne. Sam przez się był celującym okazem architektury; umieszczony pod gołem niebem, wśród malowniczéj miejscowości, wyglądał jak nowy cud natury, wyrosły z ziemi, oblany słońcem, w otoczeniu gór, drzew i zieloności; zdobiły go pyszne posągi i dekoracye malowane przez mistrzów pierwszorzędnych: to jego strona zewnętrzna. Tragedya grecka przedstawiała przedmioty najwyższego interesu narodowego, w których udział mieli bogowie i półbogi narówni z ludźmi; na scenie ważyły się nietylko sprawy doczesne, ale przyszłość ludzka zaziemska, tajemnicza. Tragedya ta, tworzona przez gieniusze, jakim nikt dotąd nie zrównał, co do formy skrystalizowała się ostatecznie tak, że oprócz dyalogu zwyczajnego w jambach, ma ona w pewnych odstępach ustępy odznaczające się rytmem odmiennym, zwykle przyspieszonym, a ustępy te deklamują się już z towarzyszeniem muzyki, nakształt naszego recitativa. Nadto, w podobnychże odstępach, występuje chór zupełnie lirycznie, z towarzyszeniem już nietylko muzyki, ale i tańca; czasami nawet i sam aktor, pod wpływem większego podbudzenia, rzuca się do

tańca, przy odgłosie muzyki dokończając zaczętych słów. Czegoż tam więc, na rzecz sztuki i zadań moralno-politycznych brakuje w teatrze ateńskim?

Autorka zamało zwróciła uwagi na tę analogią pomiędzy jego tradycyą a aspiracyami Wagnera. Tłómacząc prościéj i chłodniéj zawiłą malignę z jaką reformator ten wyłuszcza swoje postulaty, żądał on ażeby teatr dzisiejszy powrócił do owéj tradycyi swego prapraojca, tylko z siłą i okazałością wzmocnioną całym postępem pojęć. Jest to zrozumiałe. Ale Wagner, nie zatrzymując się na téj analogii i na téj granicy, już nie od teatru, ale wogóle od sztuki wymaga, posuwając się coraz daléj, czegoś takiego, czego i sam wzrokiem swym dobrze nie widzi, co zbyt ciemno określa i czego my też zrozumieć nie możemy. Przekroczył on granicę, na której spotkać się mógł z ogółem tych, którzy, zarówno z nim smucąc się upadkiem, mniéj gorąco pragną podniesienia sztuki i mniéj gorączkowo agitują. Lubo zatem, po długiéj obojętności, Wagner, dzięki nieustającym zabiegom, znalazł garstkę zwolenników, prozelityzm jego ogranicza się do saméj tylko reformy w operze, czego mamy nawet świetne dowody w Aidzie Verdi'ego i w Mefiście Boita: rzadki przykład hołdu złożonego w państwie muzyki pomysłowi niemieckiemu przez Włochów. Lecz pomysł odebrania autonomii sztukom szczegółowym na rzecz jakiegoś zjednoczenia, tamujący swobodny rozwój sił i natchnień indywidualnych, należy do utopii, mogących powstać tylko w umyśle niemca, który do sztuki wnosi postulaty, zapewne narodowe, ale ze sfery estetyce obcéj.

Z rozprawą o Wagnerze kończą się gruntowniejsze i obszerniejsze studya autorki; pozostaje kilka artykułów drobniejszych treści najrozmaitszéj: recenzye książek, sprawozdania z widowisk i wystaw, pogadanki. Zawiele byłoby o tém wszystkiem szczegółowo mówić. Z tego jednak cośmy dotąd przedstawili, widać, że autorka zajmowała się nietylko literaturą, ale wszystkiém co wkracza w zakres piękna. Nowelistka z powołania, tu wchodzi w charakter wyłącznie obserwacyjny i sprawozdawczy. Sprawozdania jéj wykazują obeznanie się niezwykłe z powszechną literaturą bieżącą oraz z ważniejszemi kwestyami będącemi na dobie w granicach piśmiennictwa i sztuki. Znać kobietę, któréj umysł lubi szukać, porównywać, wrażenia tłómaczyć prawami, w organizmie dzieła postrzeganego punkta główne odróżniać od podrzędnych. Rozumowania jéj unikają czczéj dyalektyki i zwykle snują się na podstawie faktów, które bezpośrednio stara się dobrze poznać; czuje się w nich jednak pewien brak ogólnych podstaw filozoficznych, dozwalających głębiéj wnikać w istotę objawów i panować nad niemi. Autorka patrzy na każdy objaw bezstronnie i bez uprzedzenia, szczególniéj na każdy objaw nowy; określa go ze wszystkich stron; ale gdy przychodzi wydać sąd, coraz bardziéj usuwa się przed ostatecznem słowem i popada w eklektyzm. Ztąd też jéj opis przedmiotu bywa zwykle zadawalający, krytyka nieśmiała i chwiejna; uwagi nieraz bardzo trafne i dla czytelnika pouczające, konkluzya tych

uwag czasami niedość jasna. O charakterze i sile przekonań autorki także trudno coś stanowczego powiedzieć. Widocznem jest tylko to, iż obstaje za postępem; lecz nigdy nie wypowiedziała się stanowczo z tém, jakie idee i jakie środki uważa za konieczne do postępu, jakie jemu przeciwne. Raz tylko, i to z okazyi dwóch książek, Dumasa i Steina, zabrała głos w kwestyi kobiecéj; i jak zwykle, doskonale streściła poglądy pisarzy: kiedy zaś przyszło do wyrażenia, co sama myśli o nadaniu wyższego przeznaczenia kobietom, poprzestała na wskazaniu trudności lub przytoczeniu rzeczy znanych; jednakże sama kobietą będąc, miała najbliższy przykład, eksperyment gotowy.

Życie przepędziła pożytecznie. W granicach maksymy Kazimierza z Królówki, czyniąc w swém kółku, co kazał Duch Boży, przyłożyła cegiełkę do konserwacyi rujnującego się gmachu. Pozostawiła imię uczciwéj pracownicy, które z wdzięcznością przechowane być winno.

Kazimierz Kaszewski.

Les grandes épouses études morales et portraits d'histoire intime par M. de Lescure, ouvrage orné de douze portraits gravés sur bois d'apres les originaux authentiques, str. 528—8-majori, Paris 1884. Firmin Didot et C-ie.

„Poprzednie dzieło nasze p. t. „Matki sławne," mówi p. Lescure, domagało się naturalnego p e n d a n t w nowéj księdze „Słynnych małżonek." Należało przejść od jednego filaru ogniska do drugiego, od jednéj do drugiéj podstawy rodzin, na których spoczywa społeczeństwo. Wysławiwszy wpływ zbawienny matek na dzieci, chcieliśmy wystawić oddziaływanie żony na męża, dla uczczenia podwójnego kobiet posłannictwa, podwójnego ich wpływu rodzinnego i społecznego. W epoce doktryn przewrotnych, wstrząsających podstawami rodziny i społeczeństwa, pragnęlibyśmy choć w taki sposób przeciwdziałać prądom szkodliwym."

Takiemi wiedziony pobudkami, autor przedstawił cały szereg niewiast, które zasłynęły w dziejach francuzkich, jako pod każdym względem wzorowe żony. Na czele téj świetnéj galeryi spotykamy „Małgorzatę Prowancką," małżonkę Ludwika Ś-go (1221 — 1295), córkę starszą Rajmunda Berengera IV, hrabiego Prowancyi i Beatrycy Sabaudzkiéj, matkę jedenaściorga dzieci. Wielki duch téj niewiasty przejawił się szczególniéj podczas nieszczęsnéj wyprawy krzyżowéj Ludwika, z którym w ciągu lat czterech, wszystkie trudy i niebezpieczeństwa bohatersko znosić umiała. Po strasznéj klęsce pod Mansurach, gdy król z czołem rycerztwa wpadł w niewolę (1250), Małgorzata, zawiadomiona o katastrofie, na parę dni przed rozwiązaniem,

przywoławszy do łoża rycerza 80-letniego, rzekła doń: „Zaklinam cię na wierność, którą mi zaprzysiągłeś, że jeżeli saraceni wezmą to miasto, natychmiast odetniesz mi głowę, żebym się w ich ręce nie dostała.“ „Możesz królowo być spokojna — spełnię twój rozkaz jaknajchętniej, bo już sam o tem pomyślałem.“ W 20 lat później, po śmierci męża, zajęła się jego kanonizacyą, która nastąpiła w r. 1287, w 8 lat później, powszechnie czczona, zmarła w klasztorze św. Klary. Rozdział II, zajmuje „Anna Bretońska“ (1476—1514) pierwotnie żona Karola VIII, a następnie Ludwika XII, królów Francyi. Jakkolwiek niezaprzeczenie małżonka dobra — była jednakże Anna przeciwstawieniem Małgorzaty i nie wszystkie rysy jéj charakteru licują z tym ideałem, jaki przewodniczył autorowi, przy wyborze niewiast pod każdym względem wyjątkowych. Anna — to rzeczywiście kobiéta piękna, żona kochająca i królowa dzielna; ze stanowiska jednak etycznego, wieleby jéj zarzucić można. Gwałtowna, mściwa, rozrzutna, chciwa władzy, rozmiłowana w przepychu, dworności i zabawach, Anna jest więcéj królową i panią niż małżonką. Oto córka jéj „Claude de France,“ (1499—1524), zajmująca trzeci rozdział książki, posiada o wiele więcéj stron charakteru podnioślejszych, gdyż obok potęgi uczucia, ma słodycz, pokorę i abnegacyą: trzy cnoty, bez których ideałem żony być nie można. Pieszczona w domu rodziców aż do zbytku, umiała jednak z godnością i zaparciem siebie dźwigać nie nazbyt lekkie jarzmo małżeńskie, w związku z Franciszkiem I, który uczucia gorętszego dać jéj nie mógł. Lekceważona przez małżonka, prawdopodobnie dla brzydoty, a jednak toujours enceinte, zmarła w 25 roku życia, powszechnie za świętą uważana. Nierównie sympatyczniéj przedstawia się księżniczka Ludwika de Lorraine „Vaudemont,“ (1553—1601), małżonka naszego smutnéj pamięci, króla Henryka Walezyusza, późniejszego Henryka III, króla Francyi. Zrazu ubóstwiana przez swego męża, później, za sprawą Katarzyny Medicis, na czas długi przez niego odepchnięta, a wreszcie, do dawnéj pozycyi przywrócona, królowa Ludwika, bez względu na te niesprawiedliwości, a co ważniejsza, nie pomna zbrodni Henryka, zachowała dlań zawsze tę samę miłość, a gdy zmarł, była do śmierci niepocieszoną. Źródłem tego uczucia była zapewne wdzięczność, że monarcha Francyi, pogardziwszy córami królów potężnych, wybrał ją biedną i nieznaną, na towarzyszkę życia, jedynie dla jéj cnót, rozumu, no i urody.

W dalszym ciągu, autor podał wdzięczną sylwetkę Karoliny Arbaleste de la Borde, żony Filipa „Du Plessis - Mornay“ (1550 — 1606), opartą jedynie na „Pamiętnikach“ jéj, z czasów rzezi św. Bartłomieja. Koleje życia téj niewiasty, pełne przygód przed wyjściem za mąż, a później spokojne i monotonne, nie dały wcale możności wykazania cnót nadzwyczajnych, wyjątkowéj ducha potęgi. Kochała męża, zresztą ze wszech miar godnego miłości, wydała na świat 5 córek i 4 synów; a wreszcie zmarła ze zgryzoty po śmierci najstarszego

— oto i wszystko. Nie więcéj przedstawia interesu, osmioletnie pożycie małżeńskie Joanny Franciszki Fremyot, (1572 — 1641) małżonki barona „De Chantal.“ Objąwszy z jego polecenia zarząd bogatego zamka Bourbilly, złożyła dowody zdolności administracyjnych, gospodarności i ekonomii. Nie bacząc na dostatki jakie posiadała, nosiła suknie bardzo skromne, wstawała pierwsza, oddając się pracy, na równi ze służącemi, a biednym i nieszczęśliwym była matką. Gdy mąż w skutek wypadku utracił życie, zerwała zupełnie z wszelkiemi przyjemnościami świata i oddana zrazu wychowaniu czworga dzieci, skończyła późniéj resztę dni życia w ciszy klasztornéj, powszechnie za świętą uważana.

Bardzo wiele pierwiastku romantycznego przedstawia następne opowiadanie o kolejach losu uroczéj Maryi Felicyi Orsyni, (1600 — 1666) a właściwie dzielnego, lecz nazbyt burzliwego jéj małżonka, Henryka II, „Montmorency,“ para, admirała i marszałka Francyi. Wielka miłość księżnéj do męża wykazała się naprzód wówczas gdy w czasie rozłączenia, prawie rok cały trwającego, młoda i piękna niewiasta, otoczona tłumem wielbicielów i intrygantów, na dworze swego kuzyna Ludwika XIII, nie uległa żadnym pokusom zmysłów, próżności i ambicyi, lecz w wielkiém do męża przywiązaniu czerpiąc siłę odporną, wyszła zwycięzko z nader trudnego położenia. Na większe jeszcze próby narażona była wierność małżeńska księżnéj, gdy mąż jéj, największy bałamut swego czasu — dawał żonie postępowaniem swojém przykład najgorszy. Słodyczą, taktem i wielką siłą uczucia udało się wreszcie Maryi Felicyi odzyskać serce małżonka, który jednak, nie słuchając poczciwych rad żony, wdał się w ryzykowną walkę ze swym monarchą i zginął na szafocie w 37 r. życia. Księżna do ostatnich chwil życia, spędzonego w celi klasztornéj, pielęgnowała w swém sercu rodzaj ekstazy najwyższéj dla męża ubóstwianego.

Słusznie bardzo do rzędu małżonek wielkich zaliczył autor Maryą Bonneau de Rubelle dame „De Miramion,“ pomimo, że z mężem swym żyła zaledwie sześć miesięcy. Zostawszy wdową w 19 roku życia, a w dodatku posiadając urodę wyjątkową i majątek olbrzymi, miała naturalnie tłumy konkurentów, z których jeden, słynny ze swych tryumfów sercowych, chciał nawet przemocą zdobyć jéj rękę. Wszystkie te pokusy światowe odepchnęła od siebie pełna rozpaczy wdowa i po sześciu latach życia, oddanego córeczce i biednym, zrobiła w klasztorze ślub czystości, w przeświadczeniu, że „żadne uczucie nie mogło powstać w jéj sercu i zatrzéć w niém obrazu małżonka ukochanego.“ Umarła otoczona czcią powszechną jako „mere de l'Eglise i la grande aumoniere du XVII siecle.“ Zaprawdę, wyrzec się świata w takich warunkach życia, jedynie tylko dla wspomnień szczęścia błyskawicznego — to wielkość całkiem wyjątkowa!...

Aż dotąd p. Lescure, podawał właściwie życiorysy wdów znakomitych, w dalszym ciągu nakreślił sylwetkę żony, która przy boku

swego towarzysza przeżyła lat 40 z górą, będąc dlań aniołem i pociechą we wszystkich kolejach życia. Była to Anna Lefevre d'Ormeson (1677—1735), zaślubiona Henrykowi „Aguesseau," kanclerzowi Francyi. Gdy pewnego razu mąż zagrożony z powodu intryg niełaską Ludwika XIV i Bastylią, ostrożnie przygotowywał żonę do tego ciosu, Anna rzekła doń z siłą dawnéj rzymianki: „Działaj jakbyś nie miał żony i dzieci. Nierównie więcéj wolę cię widzieć idącego z honorem do Bastylii, niż powracającego z piętnem hańby."

Wyjątkowy przykład miłości małżeńskiéj przedstawił autor w osobie Judyty de Biron (1601 — 1741), żony hr. Passy De Bonneval, któréj posępne życie, całkiem zkąd inąd nie znane, odtwarzają historycy z 12 listów téj niewiasty, pisanych do niewdzięcznego małżonka. Był on warchołem i awanturnikiem pierwszego rzędu, przekładającym nad wszystko w świecie wojnę, obóz, butelkę i najniebezpieczniejsze przygody rycerskiego rzemiosła. W dziesięć dni po ślubie z panną de Biron, osobą przymiotów niepospolitych, zatęsknił do życia obozowego i wyjechał do Węgier, na pole walki, żeby już pod dach małżeński nie powrócić. Opuszczona Judyta pisywała do męża listy tak serdeczne, rzewne i pełne miłości bezbrzeżnéj, że mógł się niemi nie wzruszyć tylko człowiek wszelkich uczuć szlachetnych pozbawiony. Tę korespondencyą, jakkolwiek mało przez męża podtrzymywaną, przerwała nieszczęśliwa hrabina wtedy dopiéro, gdy wieść ją doszła, że Bonneval został baszą tureckim i... muzułmanem. To już dobiło znękaną cierpieniami Judytę.

W roku 1876-ym wyszła w Paryżu książka bardzo ciekawa p. t. „Le comte de Plelo, un gentilhomme francais au XVIII siecle, guerrier, litterateur et diplomate par Rathery." Na książce téj oparł głównie p. Lescure następne opowiadanie bardzo zblizka nas obchodzące. Ów hrabia Plelo, człowiek wielkiego charakteru, ambasador francuzki w Kopenhadze za panowania Ludwika XV-go, odegrał rolę bohaterską w jednym z dramatów naszéj historyi, świadczącym o niedołęztwie polaków i egoizmie a przewrotności rządu francuzkiego, któremu przewodniczył wówczas kardynał de Fleury. Gdy Stanisław Leszczyński, po ogłoszeniu go królem Polski za sprawą Francyi, oblężony w Gdańsku wyczekiwał posiłków Ludwika, ten jak na drwiny przysłał 1,800 ludzi pod wodzą de la Motte'a, który zbadawszy sytuacyą, nie miał nic lepszego do zrobienia jak spiesznie wrócić do Kopenhagi, bez najmniejszéj dla oblężonych interwencyi. Oto co pod wpływem tego wypadku pisze z Gdańska de Monti do hrabiego Plelo: „Król polski bardzo zgnębiony, łatwo pojmiesz co się ze mną dzieje... całe miasto we łzach. Pomoc tak długo wyczekiwana, która przynosiła królowi tyle zaszczytu, wyjeżdża z Francyi po to tylko, by się stać Europy całéj pośmiewiskiem. Nigdy Wisła sztandarów francuzkich nie oglądała, trzebaż nieszczęścia, że przybyły po to aby uciec!"... Zgnębiony tym listem hr. Plelo robił ciężkie wyrzuty dowódzcy posiłków, który jednak odpowiedział na to, że łatwiéj pla-

ny w gabinecie tworzyć niż je wykonywać. „A więc przekonam Cię, zawołał Plelo, o możliwości tego planu. W imieniu króla, naszego Pana, rozkazuję ci iść za mną. Poczém napisawszy listy do króla i do żony, która z nim w Kopenhadze przebywała, popłynął na odsiecz Gdańskowi i 27 maja r. 1734 na czele swego oddziału ze szpadą w dłoni rzucił się w szeregi nieprzyjaciół. Niestety atak nie powiódł się i „wszystko było stracone... prócz honoru.“ Nazajutrz, poza drugiém oszańcowaniem, które sam jeden przeszedł, znaleziono trupa hr. Plelo z szesnastu ranami w brzuchu od bagnetów, z nogą lewą zgruchotaną od kuli i z twarzą pooraną cięciami szabli. Widocznie pastwiono się jeszcze nad martwym... Otóż pomiędzy wielkiemi małżonkami umieścił autor hrabinę Plelo, Ludwikę Franciszkę Phely, peaux de la Vrilliere, któréj przymioty niezwykłe widnieją z listów hrabiego do przyjaciół w Paryżu i z listu hrabiny do męża nazajutrz po tajemniczym jego wyjeździe do Gdańska. „Bez względu na straszne cierpienia, jakich doświadczam, kochanku mój drogi—pisze ona—nie ganię tego co uczyniłeś; dość, żeś to uznał za niezbędne, lecz błagam cię na miłość naszę nie narażaj się bez konieczności... pomyśl jak tu jesteś potrzebny... do usług króla.“ Cały list, którego dla braku miejsca przytoczyć nie możemy, tchnie uczuciem wielkiém i niezwykłą podniosłością ducha. Niepocieszona po stracie męża, hrabina w trzy lata późniéj umarła w 29-ym roku życia, nie wypuszczając z rąk ani na chwilę portretu swego małżonka.

Od małżonki bohatarskiego obrońcy „króla-filozofa,“ przeszedł autor do córki tego ostatniego Maryi Leszczyńskiéj (1703—1768), szlachetnéj a nieszczęśliwéj małżonki Ludwika XV-go. Niesłychane zmiany w losie ojca—pisze autor—przejścia od tryumfu do nędzy, nauczyły młodą Maryą niczemu się niedziwić i niczego nie lękać, prócz obawy zmartwienia najbliższych lub niepodobania się Bogu. Wychowanie skromne, domowe, zrobiło z niéj dziewczynę pobożną, słodką, wesołą, z odcieniem melancholii, pełną małych talentów przyjemnych i użytecznych, bardziéj skłonną do cnót drobnych niż wielkich, zahartowaną w przeciwnościach. Gdy się zjawiła poraz pierwszy na dworze swego małżonka, owa „księżniczka, używająca wody i śniegu zamiast kosmetyków,“ książę d'Antin mówił o niéj: „Zgadzam się na to, że jest brzydka, lecz podoba mi się więcéj aniżeli wyrazić jestem w możności.“ „Królowa ani brzydka ani ładna—mówił kawaler de Conflans — jest bardzo miła. Królowi podobała się również dla wdzięku“. Pomimo tego jednak—pisze autor, ta córka króla zdetronizowanego, księżniczka bez posagu, żona bez piękności, kobieta, która dostąpiła tronu nie z wyboru monarchy i pragnień jego serca, lecz dla cnoty a może raczéj wprost z wypadku, bardzo prędko musiała, tonąc we łzach, przyjść do przekonania, że powinna wyrzec się wszelkich ambicyi tak dla ojca jak dla siebie i zadawalać się tylko bytem spokojnym, opartym z jednéj strony na szacunku, z drugiéj na rezygnacyi. Zamiast walczyć, nie bez skandalu i z małą

zwycięztwa nadzieją, wolała milczéć i przebaczać. Łaskawość królowéj wzniosła ją ponad przykrości i niebezpieczeństwa, któreby ją poniżyć mogły. Walka zeszpeciłaby tylko tę postać słodką i spokojną, którą rezyguacya upoetyzowała i upiększyła. Nie posiadając majestatu, zachowała skarb o wiele trwalszy, bo godność, którą nawet rywalki jéj brudne uszanowały. Oddana obowiązkom, oraz uciechom macierzyńskim i miłosierdziu chrześciańskiemu, które stanowiło treść jéj życia, Marya przepędzała chwile wolne przy hafcie, czytaniu lub muzyce w towarzystwie książąt de Luynes i państwa de Villars, biskupa de Bayeux, a niekiedy prezydenta Henault, jéj dworzanina ulubionego. Po śmierci ojca, a nadewszystko dwojga dzieci, królowa niepocieszona spieszyła szybko do grobu, mówiąc lekarzom z tym uśmiechem bladym, który klęczącego przy łożu króla zmusił do płaczu: „Oddajcie mi dzieci a powrócicie mi zdrowie.“

Wyborny kontrast z Maryą Leszczyńską stanowi Ludwika Honorina Crozat du Chatel, żona księcia de Choisel, ministra Ludwika XV-go. I ona doświadcza niewierności męża, upojonego powodzeniem i zepsutego pochlebstwami—wszakże nie daje za wygraną. Cierpliwie znosi upokorzenia, nie przestając ani na chwilę bronić swojego skarbu i walczyć oń wszelkiemi sposobami uczciwemi. Bierność była daleką od charakteru téj niewiasty ogromnych zalet serca i umysłu. Gdy popadłszy w niełaskę minister poszedł na wygnanie do Chanteloup, wówczas księżna z niesłychanym sprytem i odwagą zaczęła odzyskiwać prawa stracone, aż wreszcie odniosła tryumf zupełny, bo téż miłość jéj dla męża graniczyła prawie z bałwochwalstwem. Umierając książę zostawił 6 milionów długu, o którego spłacenie błaga swą żonę w testamencie. Zacna małżonka, pragnąc spełnić ostatnią wolę męża, natychmiast po jego śmierci przenosi się do klasztoru na mieszkanie, a wszystkie dochody z dóbr swoich przeznacza na spłatę długów (1737—1801). Zacną żoną i niepocieszoną do śmierci wdową była Marya de Rohan Chabot, księżniczka de Beauvau, jak o tém świadczą jéj „Souvenirs“ na wskroś bólem i łzami przesiąkłe (1729—1807).

Nie ulega wątpliwości, że największym hołdem, jaki żona pamięci zmarłego oddać może, jest wyrzeczenie się powtórnych związków, zwłaszcza jeśli do nich nie brak zachęty i możności. Z tego względu nie dziwimy się, że w gronie wielkich małżonek znalazła miejsce Anna de Ligniville, żona Helvetiusa, słynna z inteligencyi, piękności i salonów, do których uczęszczały najpierwsze znakomitości swego czasu. Po śmierci męża (głośnego autora księgi de l'Esprit), którego namiętnie kochała p. Helvetius, wydawszy dwie córki za mąż, osiadła w Auteuil i tam w skromném mieszkaniu, otoczona mnóstwem psów, kotów i ptaków, przepędzała żywot w towarzystwie takich ludzi jak Turgot, Franklin, Cabanis, a okolica błogosławiła ją jako swą matkę i dobrodziejkę (1719—1800).

Nadzwyczajny przykład miłości czynnéj, walczącéj i bohater-

skiéj przedstawia życie Maryi Noailles, żony słynnego generała Lafayette'a (1759—1807). Życie téj wielkiéj duchem niewiasty było jedném pasmem zgryzot i udręczeń, przecierpianych z odwagą i godnością nadzwyczajną w imię potężnéj miłości dla małżonka. Naprzód długie zaraz po ślubie rozłączenie z mężem, który niósł sztandar wolności Amerykanom, późniéj prześladowania rozbestwionych terorystów rewolucyi, następnie śmierć osób ukochanych na szafocie, uwięzienie Lafayetta w Austryi, rozstanie z dziećmi, które dla bezpieczeństwa oddalić trzeba było, wreszcie 16-to miesięczne więzienie saméj margrabiny—wszystkie te ciosy, spadając jeden po drugim jak pioruny, nie złamały żelaznéj woli téj kobiety. Po wyjściu z więzienia i wyczerpaniu wszystkich możliwych środków dla oswobodzenia męża, margrabina, wziąwszy z sobą córki, wyjechała do Wiednia, ażeby wyprosić u cesarza łaskę... pozostania w więzieniu razem z mężem. Zgodzono się i bohaterska ta żona znosiła z mężem przez dwa lata ciężar niewoli w Ołomuńcu, niewoli, zatrutéj brutalstwem i cynizmem straży, nie mającéj najmniejszych względów ludzkości. Pokarmy cała rodzina jadła palcami, gdyż srebrne widelce zabrano a innych wydać nie chciano. Podwoje więzienia otwierały się tylko gdy jeść przynoszono—pisanie listów było wzbronione, a na prośbę pomocy lekarskiéj i religijnéj zawsze odmownie odpowiadano. W takiém więzieniu przeżył Lafayette przez lat 5, a rodzina jego przez dwa lata. Wątły organizm kobiety nie mógł przenieść tylu wysiłków. Przez ostatnie 7 lat życia pani Lafayette mogła już tylko „modlić się, kochać i cierpiéć“ — wreszcie wyczerpana zupełnie zgasła w 48 roku życia.

Jeszcze więcéj bohaterstwa w miłości miała sposobność okazać Ludwika Beauharnais, żona hr. Lavallete, ministra za Napoleona I-go. Uwięziony i skazany na śmierć za wierność temu cesarzowi, okazaną po powrocie z Elby, Lavallette byłby niewątpliwie położył głowę na szafocie, gdyby nie romantyczna zaiste pomoc małżonki. Nieszczęśliwa hrabina, rzuciwszy się do nóg Ludwikowi XVIII-mu z błagalną prośbą o darowanie życia mężowi, była brutalnie odepchnięta; wówczas w kochającém sercu żony i matki powstało niezłomne postanowienie ocalenia życia mężowi kosztem wolności własnéj. Jakoż w wilią dnia przeznaczonego na wykonanie wyroku, odwiedzając męża jak zwykle w ścisłém więzieniu, ubrała go w przyniesione suknie damskie i w ten sposób hr. Lavallette zdołał szczęśliwie uciec z więzienia, zostawiając w niém, niestety, swoję małżonkę, która za czyn ten bohaterski znosić musiała przez sześć tygodni wszelkie możliwe brutalstwa (1780—1855).

Ostatnie dwa żywoty nie budzą żywego interesu. Aleksandra Ferronnays (1808—1848) żyła wszystkiego dwa lata z mężem, suchotnikiem, a po śmierci jego, przyjąwszy katolicyzm (była kalwinką) oddała się całkiem ascetyzmowi. W trudniejszych warunkach była Celestyna Buisson de Lavigne (1775—1847), z którą słynny de Cha-

teaubriand ożenił się tylko dla pieniędzy. Musiała pani vicehrabina posiadać wiele rozumu, godności i uczucia, gdy udało jéj się wytrwać przy mężu, który bardzo często szukał rozkoszy życia poza domem.

Z powyższego widzimy, że książka p. Lescure'a posiada treść wcale bogatą i ciekawą. Poważne szczegóły historyczne z rozmaitych epok wewnętrznego życia Francyi, czytają się z wielkiém zajęciem. Rzecz prosta, że pomimo tytułu „Wielkie małżonki" trzy czwarte dzieła wypełniają opisy faktów historycznych ściśle związanych z działalnością publiczną ich mężów, ależ inaczéj być nie mogło. Im zacniejsze życie małżonki tém cichsze, skromniejsze i mniéj podatne dla historyka. Bądź co bądź, tym paniom naszym, dla których literatura francuzka jest koniecznością życia — polecamy książkę p. Lescure'a bardzo serdecznie.

J. A. Święcicki.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Charakterystyka chwili obecnéj: niepewność stósunków politycznych i społecznych.—Proskrypcye pruskie przed trybunałem niemieckiéj reprezentacyi narodowéj. — Sprawa szkół ruskich w Galicyi. — Prelekcye Wojciecha hr. Dzieduszyckiego we Lwowie: „O stosunku Rusi do Polski.“—Urodziny „młodego konserwatyzmu“ na łonie podstarzałego pozytywizmu warszawskiego.— Działalność naukowa Akademii umiejętności w Krakowie i Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu. — Fundacya króla belgijskiego dla poparcia przedsięwzięć naukowych.—Konkurs Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiém. — Konkurs imienia Wojciecha Bogusławskiego na rzecz dramatu lub komedyi.—Teatr i benefis Bolesława Leszczyńskiego („Bezczelni“).—Opera „Jadwiga“ świeży utwór p. Jareckiego. — Towarzystwo ogrodnicze w Warszawie.—„Ogrodnik.“—Towarzystwo opieki nad zwierzętami.— Zamknięcie „Banku Polskiego,“ oraz inauguracya „Warszawskiego Kantoru Banku Państwa.“ — Zjazd młynarzy. — Towarzystwo popierania przemysłu i handlu. — Stacye meteorologiczne przy cukrowniach ze stacyą centralną w Warszawie.

Fizyognomia chwili bieżącéj przedstawia pod wielu względami rysy nader niewyraźne. Na całym widnokręgu interesów państwowych, narodowych i społecznych nie widać żadnéj jaśniejszéj gwiazdy stałéj;—nie widać konstelacyi, któraby nie mówię świadczyła, ale któraby znamionowała drogę prostą a jasną dla polityki wewnętrznéj i zewnętrznéj państw europejskich. Przeciwnie: wszystko zdaje się wisieć na włosku jakiegoś wielkiego *X*, na nici groźnego przypadku. Pochmurno, mglisto na całym firmamencie życia publicznego, tak, jak gdyby zimowa pora roku, skąpa w jasne promienie słoneczne, okryła swoim zimnym a grubym płaszczem oblicze życia społecznego. W którąkolwiek stronę rzucimy okiem, wszędzie od wschodu do zachodu, od południa ku północy, spostrzegamy różne niespodzianki, różne zdarzenia przypadkowe, które niby błędne ogniki migocą po ciężkiéj, mglistéj, ołowianéj, chmurnéj atmosferze Europy. Przy tém wszystkiém nie można twierdzić, żeby jakie gwałtowne trudności wewnętrzne lub zatargi zewnętrzne, miały zagrażać pokojowi publicznemu; ale tylko sytuacya

ogólna jest téj natury, że podkopuje zaufanie w najbliższą przyszłość, że budzi i podtrzymuje nieufność publiczną. W społeczeństwach europejskich odzywają się symptomata różnych niedomagań i niemocy; symptomata pewnego osłabienia zasad prawa międzynarodowego,— pewnego zamącenia pojęć ekonomicznych, pewna niejasność w zapatrywaniu się na atrybucye państwa, na stosunek, jaki w każdém dobrze urządzoném państwie zachodzić powinien między władzą urzędów, powagą reprezentacyi narodowych, tudzież wolnością ludów. Europa po niedawnych wstrząśnieniach i gwałtach, jakie od wieku blizko przechodzi, nie może dotychczas odzyskać potrzebnéj równowagi sił narodowych, ani pod względem politycznym ani pod względem ekonomicznym. Przemożne potencye, depcząc jeszcze dzisiaj krzyżacką stopą zasady prawa międzynarodowego, oraz warunki normalnego rozwoju ekonomicznego ludów, nie pozwalają społeczeństwu europejskiemu swobodnie oddychać, utrudniają reszcie państw wyjście z tego bezdroża gwałtów na ślak drogi prostéj i jasnéj. Z tego wynika, że państwa europejskie, nie mogąc nabrać ufności do postanowień międzynarodowych, zdają się raczéj żyć środkami z dnia na dzień obliczonemi, że opierają politykę swoję nie na podstawach niewzruszonéj sprawiedliwości i dobrze pojętéj idei rozwoju postępowego; ale na mozolnie i sztucznie wytworzonych aliansach i tranzakcyach, które tylko tak długo trwałość wzajemnie sobie zapewniają, dopóki jeden ze sprzymierzeńców nie przysposobi tyle sił, aby te najsolenniejsze zobowiązania mógł potargać i zniweczyć. Narody wreszcie same nie mogą się porozumieć co do tego, w jakim kierunku mają rozwijać swoje sprawy wewnętrzne. Szamoczą się téż wśród niepewności co do żywotnych swoich interesów, czepiają się jak najrozmaitszych haseł, nieśmiało im z zewnątrz narzucanych, ulegają agitacyi fanatyków przeróżnych obozów i stronnictw, — i patrzą jakby strwożone na krytyczne położenie ekonomiczne, na walki parlamentarne, na trudności finansowe przemysłu i handlu, które się naokoło nich gromadzą. Mniejsze lub większe wrażenie, jakie tego rodzaju sytuacya wywiera na pojęcia i zapatrywania narodów na sprawy publiczne, zależy już od temperamentu każdego z nich. Gdyby nie twarda rzeczywistość, w któréj się znajdujemy, to prądy powyżéj scharakteryzowane wytworzyłyby w umysłach naszych historyozofów i polityków jak najbujniejsze illuzye; lecz dzisiaj umiemy być już tylko widzami, wprawdzie zdziwionymi—nawet w obec takiéj niespodzianki, jak ta, że sprawa wysp Karolińskich stała się powodem pewnego zbliżenia pomiędzy Kurya rzymską a Prusami, pomiędzy Kościołem a państwem. Ojciec S-ty zaszczycił ks. Bismarcka nie tylko orderem, — co w obec zwyczajów dyplomacyi nie zasługiwałoby na zaznaczenie; ale i obszernem pismem, w którém magnus cancellarius uzyskał od papieża pochlebne nader świadectwo za dotychczasową swoję działalność polityczną. O ile taki dokument przyczynić się może do sprostowania poglądu dostojnika państwa protestanckiego na stanowisko Stolicy

apostolskiéj, jako majestatu i potęgi międzynarodowéj, rozjemczéj, na co Ojciec Ś-ty głównie kładzie nacisk, przewidzieć trudno, zwłaszcza, gdy restrykcye wyrażone w odpowiedzi ks. Bismarcka, znaczenie téj tranzakcyi pod względem prawa międzynarodowego już bardzo ścieśniły i doniosłość jéj jawnie ograniczyły.

Mniéj szczęśliwym był ks. Bismarck, ów typowy polityk wieku XIX-go, w obec niemieckiego trybunału reprezentacyi narodowéj, która wskutek interpelacyi ks. Jażdżewskiego zdobyła się na tyle odwagi cywilnéj, że po dwudniowéj dyskusyi, jeśli nie potępiła jednomyślnie, to przynajmniéj wyraźnie zganiła zarządzone przez administracyą pruską gromadne proskrypcye ludności polskiéj i katolickiéj w Prusach zachodnich, w W. Ks. Poznańskiém i na Szlązku. Czy to votum nagany potrafi wpłynąć na decyzyą sejmu pruskiego, któremu przy otwarciu nowéj sesyi obiecał sędziwy cesarz Wilhelm przedstawić projekt do prawa, mającego zabezpieczyć obronę żywiołu niemieckiego przed rzekomym zalewem polonizmu w powołanych wyżéj prowincyach, bardzo wątpimy. Z dotychczasowéj nauki historyi, nie możemy się bowiem po większości reprezentacyi pruskiéj spodziewać sprawiedliwego postąpienia, bo królestwo Pruskie stwierdza na każdym kroku prawdę tych słów historyka rzymskiego, że „imperium facile his artibus retinetur, quibus initio partum est.“ (Sallustius Catil. 2).

Obrady sejmu lwowskiego o uporządkowaniu prawném sprawy szkół ruskich w Galicyi, wielokrotnie w ostatnich czasach podejmowanéj, doprowadziły do równouprawnienia w szkole obydwóch języków. Z natury obecnych stosunków galicyjskich wynikło, że rozprawy, dotyczące przedmiotu ściśle pedagogicznego, wychodziły często ze szkodą najistotniejszych względów wychowawczych, poza granice edukacyi publicznéj, wkraczając na pole historyi i polityki, tak, że się bez rekryminacyi przeszłości i teraźniejszości nie obeszło.

Okoliczność ta stała się zapewne przyczyną, dla któréj poseł hr. Dzieduszycki wystąpił poza izbą sejmową z 2-ma odczytami, gdzie dnia 15 i 18-go stycznia rozbierał szczegółowo stosunek historyczny Rusi do Rzeczypospolitéj polskiéj. Znany ze swoich studyów filozoficzno-historycznych, uczony poseł objawił w téj kwestyi pogląd, który nie powinien ujść uwagi badaczów historyi. P. Dzieduszycki upatruje już w początkowym rozwoju słowiańszczyzny pierwiastki trojakiéj organizacyi państwowéj. Z owego licznego rojowiska plemion słowiańskich wypływają według p. Dz. z samego zaraz źródła trzy strumienie, które zapowiadają wytworzenie się w przyszłości trzech państw potężnych a odrębnych, mianowicie: jednego południowego ze stolicą w Konstantynopolu, drugiego zachodniego czesko-polskiego ze stolicą w Pradze, trzeciego wschodniego litewsko-

ruskiego ze stolicą w Kijowie. Następnie starał się wytłómaczyć, dla czego rzeczy inny obrót wzięły. Na południu nie zdołali ani bułgarzy, ani następnie kroaci i serbowie zjednoczyć w jedno państwo wszystkich słowian półwyspu Bałkańskiego. Na zachodzie nie utrzymało się wielkomorawskie państwo Mojmirydów wobec rzymsko-niemieckiego cesarstwa, które umiało zniweczyć i wszystkie późniejsze usiłowania polskie i czeskie, zmierzające do zlania ludów lechickich, czeskich i polabskich w jeden organizm państwowy, zdolny stanąć niezwyciężoną zaporą przeciw zaborczéj polityce germańskiéj. Na wschodzie zbudowali Waregowie ze Skandynawii wielką obszarem monarchią, ale najazd hord azyatyckich potrafił rozchwiać Ruś w najgłębszych podstawach, rozerwać ją na trzy części, z których jedna, najbliższa cywilizacyi zachodniéj, kłoniła się ku Polsce, druga łączyła się z Litwą, a trzecia ulegała kniaziom Suzdalu a potém Moskwy. Litwa nie miała atoli warunków przyszłości; w nieuniknioném następstwie musiała więc szukać ocalenia w połączeniu się z Polską, która właśnie dopiéro po burzy tatarskiéj skonsolidowała się ostatecznie pod ręką swego wielkiego króla ustawodawcy i gospodarza, a opierając się z trudnością naciskowi giermanizmu od zachodu, szukała wzmocnienia sił swoich w sojuszu z sąsiadami wschodnimi. Tak więc obopólny interes zjednoczył Litwę z Polską, a przez Litwę i Ruś; zjednoczyła je konieczność dziejowa i dla tego mimo dążeń separatystycznych tak Polski, jak Litwy i Rusi, zjednoczenie to nie tylko się nie rozchwiało, lecz owszem coraz bardziéj się utrwalało, w nieporozumieniach i starciach wzajemnych. W dalszym rozbiorze stosunku ziem ruskich i narodu ruskiego do Rzeczypospolitéj polskiéj, zwracał hr. Dzieduszycki uwagę swoję na objaśnienie téj kwestyi, co przyniosła Ruś Polsce za swoje ocalenie i wykazywał, że nie przyszła ona do nas z próżnemi rękami. Przyniosła nam bowiem sztukę bizantyńską, która wpłynęła na rozwój właściwy sztuki polskiéj, przyniosła język, który rozwinął się z pierwiastków czysto słowiańskich i przyczynił się wielce do stworzenia jędrnéj polszczyzny XVI-go wieku, przyniosła nakoniec nowy materyał etniczny, który, zlewając się z żywiołem polskim, wytworzył dopiero narodowość polską z temi wszystkiemi cechami charakterystycznemi, które znamionowały ją odtąd i znamionują do dzisiaj. Obie narodowości oddziaływały wzajemnie na siebie, i jak Ruś ulegała dobrowolnie przewadze cywilizacyjnéj Polski, tak również Polska przyjmowała żywioły ruskie w siebie i asymilowała je w jeden organizm narodowy, czyli, jak to tak trafnie a zwięźle wyraził Szajnocha: Ruś polszczała, a Polska ruszczała. Ale Litwa i Ruś litewska zachowywały odrębność w ustroju feodalnym państwa i w wyznaniu wschodniem. Jagiellonowie, opierając się na Litwie, jako na państwie swojém dziedzicznem, nietylko nie pragnęli wprowadzić do Wielkiego księztwa instytucyi polskich, lecz owszem dążyli do przeszczepienia jego ustroju monarchiczno-feodalnego na grunt korony, aby powoli całe państwo zamienić na dziedziczną swéj dynastyi monarchią. Do-

piero Zygmunt August, nie mając potomka, któremuby przekazał koronę przodków, odstąpił od tradycyi Jagielońskiéj, zniósł odrębność Litwy i całe państwo zjednoczył i zrównał instytucyami republikańsko-szlacheckiemi w unii lubelskiéj. Zygmunt August nie dokonał jednak w zupełności zamierzonego dzieła. Zadaniem jego następców było rozwijać je daléj w duchu republikańskiéj swobody, a że ci zamiast tego dążyli do monarchizmu, więc rzecz spaczyli i rozwój jéj zwichnęli. Zapatrywanie to—nie nowe zresztą, wymagałoby szczegółowego rozbioru, jak również i pogląd p. Dz. na politykę Stefana Batorego i panowanie Zygmunta III-go, które nazwał wielkiem bezkrólewiem, nie mniéj i na sprawę unii cerkwi ruskiéj. Hr. Dzieduszycki zapatruje się na całe dzieje nasze po unii lubelskiéj z nowego zupełnie punktu widzenia. Nie tu miejsce do szczegółowéj naukowéj dyskusyi o tym wykładzie, który dopiero w całości drukiem ogłoszony, dostarczyćby mógł potrzebnego materyału do wywodów ściśle naukowych. Nadmieniamy tymczasowo tylko tyle, że cała argumentacya mówcy zmierzała ostatecznie do tego celu, żeby przekonać wywodami historycznemi, iż nieporozumienia, jakie do dzisiaj dzielą w kraju naszym narodowości pokrewne, od wieków ze sobą zbratane, mogą być usunięte i wyrównane przy dobréj woli, wyrozumiałości i pobłażliwości obopólnéj.

Pogląd powyżéj jak najtreściwiéj naszkicowany nie jest bez znaczenia pod względem politycznym; ale ze stanowiska historyi, wiedzącéj o tém, że siłę dobréj woli łamią często namiętności chwili, sztucznie podżegane, będzie obowiązkiem krytyki metodologicznéj sprawdzić w szczegółach i zbadać dokładnie wywody historyozofa, ponieważ uogólnianie szczegółów prowadzi bardzo często do wniosków i denominacyi, które po bliższym rozbiorze okazują się błędnemi.

Znany literat i publicysta p. A. Jeske-Choiński napisał w „Kuryerze Warszawskim“ obszerną relacyą o nowém wydaniu książki p. Chmielowskiego p. t. „Zarys literatury polskiéj z ostatnich lat dwudziestu.“ (Warsz. 1886). Czyniąc zadość wezwaniu autora „Zarysu“ (str. 162), p. Choiński, w zapale swoich dzisiejszych poglądów, wykołysał na bibule prasy warszawskiéj młodziutkie w publicystyce polskiéj niemowlę, ochrzcone niedawno mianem *młodego konserwatyzmu* i podał mu do rąk chorągiew, przybraną we wszelkie możliwe godła, mające charakteryzować dokładnie to nowe hasło.

Nie możemy na tém skromném miejscu zapuszczczać się w szczegółowy rozbiór istoty i znaczenia nazwisk, przysługujących stronnictwom politycznym, ponieważ piszemy wśród warunków, które pozwalają wprawdzie na wytworzenie się fakcyi i koteryi osobistych; ale nie nastręczają dosyć pola dla stronnictw politycznych, naukowych i literackich pod hasłami takiemi, jak: liberalizm i konserwatyzm, postęp i reakcya i t. p. Nauki polityczne odróżniają bardzo wyraźnie fakcyą lub gromadę ludzi, zbierających się w charakterze współ-

pracowników lub reporterów około jakiegoś pisma, od poważnego zastępu obywateli, z którym rachować się zwykły wszystkie rządy jako ze stronnictwem politycznem. Stronnictwo polityczne, czy to narodowo-liberalne, albo postępowe czy konserwotywne, czy ultramontańskie albo klerykalne, czy wreszcie demokratyczne lub arystokratyczne, radykalistyczne — wyobraża zawsze zastęp ludzi poważnych, którzy mają swój osobny ideał państwa i całego ustroju organizmu społecznego, którzy przejęci głębokiém przekonaniem o największéj użyteczności i praktyczności swoich poglądów, starają się wszelkiemi siłami o to, aby nadać rządowi państwa—w ogóle wszystkim sprawom publicznym taki kierunek, pod względem politycznym, prawnym, etycznym, administracyjnym i społecznym, aby ten ich ideał na każdém polu mógł być urzeczywistnionym. Konsekwentnie zatém z założeniem powyższém stara się każde stronnictwo polityczne o to, aby wytworzyć takie instytucye i urządzenia publiczne, któreby jego ideałowi odpowiadały, — dąży wszelkiemi siłami do tego, aby mogło—jeśli nie zagarnąć rząd w swoje ręce, to przynajmniéj wywierać wpływ decydujący na postępowanie władzy rządowéj. Z takim odrębnym ideałem państwa w umyśle i sercu, stara się każde stronnictwo polityczne wszelkiemi środkami o osiągnięcie tego ideału i to nie tylko dla siebie w celu egoistycznym, ale i dla ogółu społeczeństwa, bo jest głęboko przekonane, że tylko jego drogi prowadzą do osiągnięcia szczęśliwości i zadowolenia powszechnego. Stronnictwa takiego namaszczenia, równie konserwatywne jak postępowe, arystokratyczne lub demokratyczne, są wielkiém dobrodziejstwem dla każdego społeczeństwa, a zarazem bardzo pożądaną dźwignią administracyjną dla każdéj machiny rządowéj; lecz pod jedynym koniecznym warunkiem, który polega na tém, aby stronnictwo takie powstało w sposób zupełnie naturalny i organiczny na gruncie rozwoju danych warunków historycznych, i aby reprezentowane było przez obywateli niewątpliwéj zacności i niekłamanéj miłości dobra publicznego, których niedoświadczeni kandydaci na ministrów lub samozwańczy patronowie interesów ogółu nie potrzebowaliby na każdym kroku pytać o mandat — cum plena czy limitata potestate. Wzorem takiego stronnictwa za naszéj już pamięci było stronnictwo Déaka w Węgrzech, Palackiego w Czechach, Cavoura we Włoszech. W przeciwnym bowiem razie—przy ciągłéj szermierce o hasła—tworzy się fakcya, tworzy się klika zauszników najgłośniejszych publicystów i oratorów, którzy podżegani arogancyą i zarozumiałością bez granic, umysły wichrzą, serca rozrywają, namiętności podniecają i niepokój sieją nawet w chwilach, gdzie nie dzielić na obozy, ale kupić się trzeba z zachowaniem indywidualności osobistéj każdego obywatela. Zasady te nie stracą znaczenia swego, jako potężne siły zbiorowe, nawet wtenczas, gdy je przeniesiemy na pole nauk, a mianowicie na pole socyologii, etyki, pedagogii, literatury i t. d.

Jeżeli z tego punktu widzenia ośmielilibyśmy się zapytać publicy-

stów naszych o koleje dziejów stronnictw, których liczbę prasa warszawska w ostatnich dwudziestu latach bez żadnych danych natworzyła i jeszcze tworzyć nie przestaje,—to, widząc, co się u nas w téj sprawie co tydzień pisze, nie spodziewamy się odpowiedzi zadowalniającéj na powyższe pytanie, dla tego ośmielamy się w celu wyjaśnienia kwestyi zwrócić uwagę publiczności polskiéj na fakta następujące.

Zapatrywanie się narodu polskiego na najwyższe i zasadnicze warunki życia umysłowego, politycznego i społecznego zostawało od końca wieku XVIII-go pod wpływem idei, wypielęgnowanych przez szkoły Konarskiego i Komisyi edukacyjnéj. Szkoły te były przesiąknięte racyonalizmem, oraz pojęciami encyklopedystów francuzkich, złagodzonemi nieco idealizmem filozofii niemieckiéj w uniwersytecie wileńskim, a realizmem w szkole krzemienieckiéj. Ze względu na potrzeby życia społecznego wzrastały pokolenia nasze w pierwszéj połowie wieku bieżącego pod wpływem kodeksu cywilnego francuzkiego, nie mniéj i pod wpływem wspomnień wybujałości wojen napoleońskich. Żadnéj z tych dźwigni duchowych nie zechce nikt, kto tylko badał dokładnie dzieje nasze w związku z dziejami ludzkości, zaliczyć do znamion a tém mniéj do haseł konserwatywnych. Oprócz tego, pamiętając o tém, że wszelkie późniejsze reformy szkół, o ile od nas zależały, opierały się na powyższym gruncie, że poezya romantyczna i filozofia idealistyczna Hegla zupełnie nas pochłaniały tak na polu literatury jako i polityki, żeśmy wedle możności oryentowali się na polu postępu nauk,— to pytam się zaciekawiony, w któréj to szkole polskiéj można było poznać zasady konserwatyzmu starego, w któréj gałęzi nauk i literatury odnaleźć jego tętno, tak, że odwracając się dziś z lekceważeniem od tego straszydła, możnaby sobie wymyślić młodego pachołka i ubrać go w te same suknie dawne i stare! Gdybyśmy chcieli koniecznie zaliczyć idee, pod których wpływem kształciły się wszystkie nasze pokolenia starsze, do idei konserwatywnych, to możemy zapewnić każdego, że takiego konserwatyzmu wyparliby się stanowczo torysi angielscy, legitymiści i konserwatyści francuzcy, marzący o wskrzeszeniu monarchii przedrewolucyjnéj, równie jak i junkrzy krzyżaccy w Prusach i magnaci feodalni w Niemczech. Obok tego możnaby u nas powałać zaledwo kilku „nieobecnych;“ ale ci nie wywierają wpływu na literaturę.

Zkąd się tedy wzięło to widmo, które p. Choiński chciał zażegnać niefortunném kropidłem „młodego konserwatyzmu?“

Nieporozumienie to—bo inaczéj tego wyskoku zapału polemicznego apostołów młodego konserwatyzmu uważać nie myślę — wynikło z tego fałszywego a pewną zarozumiałością tchnącego uroszczenia publicysty, jakoby każda karta bibuły, jaskrawiéj zapisana, stanowiła już sama przez się poważny sztandar stronnictwa, sztandar obozu—sztandar osobnéj falangi do walki — chyba z wiatrakami! Patrzymy już od lat kilku na wiele haseł, opuszczonych przez dawnych swoich obrońców, których jako zbiegów piętnować nie myślimy, ponieważ wierzymy w to, że wielu z nich, pod wpływem doświadczenia życiowego, nauczy-

ło się trzeźwiéj pojmować rzeczy, które poprzednio tylko jaskrawością swoją oczy ich nęciły, i że stało się z nimi to, czém strofował minister Rzeczpltéj francuzkiéj, Ferry, napastników swoich, gdy mu odstępstwo zarzucali: Jam nie odstąpił naszéj chorągwi, wołał, alem tylko nabrał więcéj doświadczenia i poznał daleko racyonalniejsze środki obrony sztandaru naszego! Z rozgłośnych haseł publicystyki materyalistycznéj, która się dziurawym płaszczem pozytywizmu zasłonić starała, pozostały jeszcze dotychczas butne hasła lekceważenia kościoła i szlachty, jako stanu uprzywilejowanego oraz pycha bezwyznaniowości. Jeżeli dawniejsi apostołowie tego „Credo" z jakichkolwiek pobudek, choćby ze względu na to, że przesądy wieku XVIII-go złamane przez szkołę i prawodawstwo znikły, lub też pod wpływem doświadczenia wieku chorągiew taką opuszczają, to nie zasługują na miano ani „wiłkołaków" ani „młodych konserwatystów," bo oni wracają tylko do tego królestwa myśli i pracy, w którém się cały naród polski od wieku wychowuje. Na tym gruncie jest dosyć miejsca dla wszystkich kierunków myśli, z wyjątkiem zaprzania się cynicznego tych idei i téj chorągwi, którą nasza cywilizacya — bez zaprzeczenia postępowa—do rąk nam podała, abyśmy pod jéj wezwaniem składali wszyscy pracę naszę, jakkolwiek z różnych zagonów zbieraną, na jednym ołtarzu dobra ogólnego i pomyślności publicznéj.

Na posiedzeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii umiejętności w Krakowie, które się odbyło dnia 21-go grudnia r. z. odczytał sekretarz dr. Kuczyński list, w którym radca koleg. prof. Jerzy Niewodziński opisuje świetne zjawisko gwiazd spadających, obserwowane dnia 27 listopada 1885 r. w Hołomyśli w powiecie dziśnieńskim, gubernii Wileńskiéj. Prof. dr. Karliński wyjaśnia, iż tego samego dnia to zjawisko widziane było w krajach zachodnich i północnych Europy, a o ile pogoda dozwalała także we Włoszech i w środkowéj Europie. Był to bowiem zapowiedziany powrót szczątków komety Biela, który się powtórzy znowu 27 listopada 1898 r. i był już obserwowany w r. 1872. W dalszym ciągu przedstawił sekretarz rozprawę p. A. J. Stodółkiewicza pod tytułem: „Przyczynek do nauki o całkowaniu równań różniczkowych liniowych rzędu drugiego," oraz odczytał ocenę téj pracy przez dr. Zajączkowskiego i prof. Frankego. Prof. dr. Kuczyński, zdał sprawę z pracy prof. dra Karola Olszewskiego pod tytułem: „Zestalenie fosforku wodu i kwasu fluorowodowego, jakotéż oznaczenie ich punktów marznięcia" i odczytał list dr. A. Jaworowskiego, przedstawiającego wyniki swoich dotychczasowych spostrzeżeń i badań nad Mesostomum personatum.

Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii umiejętności w Krakowie, które się odbyło w styczniu pod przewodnictwem dr. Estreichera, czytał profesor Ziemba kilka ustępów z obszerniejszéj swéj rozprawy: o Ronsardzie, jego znaczeniu w poezyi wieku XVI i stosunkach z naszym Janem Kochanowskim. Skreśliwszy w głównych zarysach

stan literatury francuzkiéj przed wystąpieniem Ronsarda, przedstawił prelegent dążności tego pisarza, który w epoce odrodzenia, objawiającego się na polu sztuki we Francyi, pragnął gorąco, aby i poezya ojczysta mogła się pod wpływem wzorów starożytnych odrodzić i nową rozpocząć epokę.

Na dwóch ostatnich posiedzeniach wydziału historyczno-literackiego Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu oprócz wykładu hr. Cieszkowskiego zdawał sekretarz Kozłowski sprawę z wydatków wydziału na abonowanie pism. Zauważono w przydłuższéj nad tym przedmiotem dyskusyi, że wydział historyczno-literacki powinien miéć pod ręką wszystkie pisma polskie naukowo-literackie, inaczéj nikt nie może miéć poglądu na to, co się u nas po różnych centrach nauki i literatury myśli, w jakim kierunku się pracuje, co się rozwija w nauce i literaturze a co zaniedbane i t. d. Uznano ogólnie słuszność takiego zapatrywania i upoważniono p. konserwatora, żeby bądź z funduszów wydziału, bądź z uzyskanych od zarządu, postarał się o te pisma, których wydział i biblioteka nie posiadają. Następnie wszczęła się dyskusya nad sposobami ożywienia ruchu literackiego w W. ks. Poznańskiém. Przewodniczący, p. Wł. Bentkowski, odczytał zredagowaną przez siebie odezwę, mającą się ogłosić w pismach publicznych. Odezwę tę odesłano zarządowi do zatwierdzenia. Dr. Cieszkowski czytał ciekawą rozprawę „O stosunkach Władysława Jagiełły z rzecząpospolitą wenecką podług archiwów weneckich.“ Na wstępie wykładu swego zaznaczył prelegent, że przedmiot, o którym mówić będzie, tyczy się téj epoki, którą obrabia p. poseł Zakrzewski, to jest zjazdu Władysława Jagiełły z cesarzem Zygmuntem w Budzie, i że sprawozdanie o najstarszych dokumdntach, pochodzących z XIV wieku, woli odłożyć na późniéj. Prelegent nie chce rozwodzić się obszerniéj nad naturą tych dokumentów, gdyż na zeszłorocznem posiedzeniu listopadowém wyłożył tak ważność depesz, jak i wykazał różnicę ich od relacyi. Następnie przedstawił prelegent kilka dokumentów, które jako autentyczne i urzędowe, nader ważne są dla historyi. Rzeczpospolita wenecka, obawiając się wkroczenia cesarza Zygmunta do Włoch, starała się zażegnać grożącą jéj burzę przez zawarcie przymierza z Władysławem Jagiełłą, będącym w ciągłych z Zygmuntem zatargach. Z pierwszego w polskiém tłómaczeniu odczytanego dokumentu okazuje się, że Władysław Jagiełło przysłał w roku 1411 dnia 15 stycznia do Wenecyi posła swego w celu zawarcia przymierza z rzecząpospolitą. Senat przyjął go uprzejmie, mile wysłuchał jego mowy i obiecał wysłać w téj sprawie posłów swoich do Polski, a tymczasem dał instrukcyą ambasadorowi swojemu na dworze Władysława Jagiełły, Piotrowi Biccarano, aby przekonał Jagiełłę, że cesarz Zygmunt jest ich wspólnym wrogiem i wymógł na nim, aby nie dozwolił wkroczyć Zygmuntowi do Włoch. Gdyby się zaś na krok taki Zygmunt zdobył, miał Jagiełło uderzyć z tyłu na wojska jego. Późniéj nieco—w czasie, gdy pomiędzy Jagiełłą a Zygmuntem był zawarty rozejm, gdy pierwszy oka-

zywał się skłonnym do wojny, wysłał senat wenecki Piotra Eremitę do Polski z tajną instrukcyą. Miał się on porozumieć z Piotrem Biccarano, zbadać ściśle stan rzeczy i postąpić stosownie do okoliczności t. j. zachęcić Władysława Jagiełłę do wojny z Zygmuntem, obiecując mu w takim razie przymierze a nawet koronę Zygmunta i wolność wkroczenia do Włoch wojskom polskim—lub w przeciwnym razie, przy pokojowem usposobieniu Jagiełły, uważać ligę z nim za szkodliwą dla rzeczypospolitéj. Instrukcya powyższa napisana z wielką oględnością i przebiegłością, daje wysokie wyobrażenie o dyplomacyi weneckiéj. Potwierdzają to słowa wypowiedziane przez Michała Steno, księcia weneckiego do Piotra Eremity przy udzielaniu mu instrukcyi: „Kto skorszy do przewidywania, ten za mędrszego jest uważany.“ Potém przedstawił hr. Cieszkowski jeszcze kilka dokumentów, potwierdzających powyższe układy, między innemi dokument zawierający uchwałę senatu, aby wysłać do Budy posłów z oświadczeniem, że rzeczpospolita pokojowo jest usposobiona. W dyskusyi, która się nad tym interesującym wykładem wywiązała, zabrał najpierw głos p. I. Zakrzewski. Mówca utrzymuje, że układy Jagiełły z rzecząpospolitą wenecką odbywały się przed pokojem toruńskim i że to dowodzi wielkiéj dobroduszności Jagiełły, że mając tak silnego sprzymierzeńca, mógł zawrzeć po tylu odniesionych korzyściach tak upokarzający pokój.

Na posiedzeniu sekcyi archeologicznéj Towarzystwa przyjaciół nauk, odczytał p. dr. Erzepki rozprawę ks. dziekana Dydyńskiego z Kłecka: „Uwagi o wklęsłościach kulistych na murze kościelnym.“ Na bardzo wielu kościołach, przeważnie z wieku XVI-go pochodzących, nietynkowanych, znajdują się wgłębienia miseczkowate, najliczniéj w spodnich warstwach muru aż do wysokości mężczyzny i to od strony południowéj. Takich dołków spotykamy na jednéj cegle, tak na krótkim jak na długim boku, po jednym aż do dziewięciu. Znajdują się jednakże i bardzo wysoko i też na stronie północno-zachodniéj, a wielkość ich rozmaita, są zaś i takie, które albo na siebie wchodzą, albo jedno w drugiém umieszczone. (Załączone gipsowe odlewy). Niektóre wgłębienia są na samym brzegu, a podług relacyi p. H. Hockenbeka mają być nietylko pionowo, ale i ukośnie wyżłobione. Prócz tych dołków mamy i podłużne wydrążenia. Nareszcie są także na niektórych kościołach wyciśnięte znaki na cegle w formie rozety. W Wielkiém Księztwie Poznańskiém znajdują się takie wyżłobienia w Kłecku, Żeknie, Wągrowcu, Rogoźnie, Gnieźnie, Poznaniu, Skokach, Wielkim Wysocku, a niezawodnie gdzieindziéj jeszcze. Z literatury już dość w téj mierze obszernéj, którą szanowny autor szczegółowo podaje, wykazało się, że takie dołki jeszcze i na Pomorzu, na Rugii, w Berlinie i jego okolicy, w Szczecinie, Brunświku, a i w Szwecyi w Upsali i Malmoe i t. d. się znajdują: Ks. D. rozbiera tedy kwestyą, na co one były robione i jakim celom służyły.

Postanowieniem z dnia 14 grudnia 1874 r., król Belgów ufundował premium w kwocie rocznéj 25,000 franków, dla poparcia przed-

sięwzięć naukowych. Kwota ta, stanowiąca przedmiot trzeciego międzynarodowego konkursu, ma być rozdaną w roku 1889, a mianowicie za najlepszą pracę o postępach elektryczności jako motoru i środka do oświetlenia, o zastosowaniu elektryczności w ogóle, tudzież o korzyściach w gospodarstwie, jakich po niéj spodziewać się można. Cudzoziemcy (nie belgowie), którzyby mieli chęć wzięcia udziału w tym konkursie, winni prace swoje drukowane lub w manuskrypcie, przesłać przed 1 stycznia r. 1889 na ręce ministra rolnictwa, przemysłu i robót publicznych w Brukseli. Nowe wydania dawniéj już drukowanych dzieł w takim tylko razie przypuszczone będą do konkursu, jeżeli te dzieła doznały znacznych zmian i rozszerzenia, i jeżeli się pojawiły w okresie lat 1885, 1886, 1887 i 1888, tak jak inne prace konkursowe. Dzieła konkursowe mogą być pisane w językach: niemieckim, francuzkim, flamandzkim, angielskim, włoskim lub hiszpańskim. Uwieńczona nagrodą praca, musi być wydrukowaną w ciągu roku po premiowaniu. Mianowane przez króla belgijskiego jury konkursowe, składać się będzie z 7 członków, mianowicie 3 belgów a 4 cudzoziemców.

W ubiegłym miesiącu przypadł termin dorocznego konkursu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, na który nadesłano: z działu malarstwa utworów 18, z rzeźby 7, z architektury 2.

Od czasu jak zmieniono zasadę tych konkursów, to jest odkąd zaprzestano narzucać z góry artystom tematа, zostawując im zupełną swobodę w tym względzie, konkursa Towarzystwa znacznie się ożywiły i stosunkowo lepsze wydają owoce; nie takie jednak, jakichby słusznie oczekiwać należało ze względu na nasze siły artystyczne. Prawda, że dziś daleko więcéj artystów staje do konkursów, ale i temu zaprzeczyć się nie da, że wydatniejsze talenta po dawnemu stronią od nich. Nad wyszukaniem powodów tego stanu rzeczy, nie potrzeba sobie nawet łamać głowy: tym powodem są zbyt małe premia, i brak wszelkich honorowych nagród, np. medali, któreby je zrównoważyć mogły. Prosta to rzecz, że jakieś tam 100 lub 150 rubli, nie może mieć dla artysty znaczenia zachęcającego bodźca.

Sąd konkursowy, którego członkowie powoływani są na ten urząd z wyboru samych artystów, odbył się 14 stycznia. Wyjątkowo w tym roku przyznane zostały dwie pierwsze nagrody z działu malarstwa, mianowicie p. Kotarbińskiemu Miłoszowi za duży obraz p. t. „Pod strażą aniołów," i p. Maszyńskiemu Julianowi za obraz rodzajowy „Ostatnie wieści." Utwór pierwszego z nich istotnie treścią poważną, nawet wzniosłą, nad innemi góruje. Wszakże wykonanie nie odpowiada przedmiotowi: postacie dwóch aniołów, modlących się nad zwłokami męczennika, dziwnie jakieś sztywne, że nie powiem niezdarne, nie owiane niebiańskim urokiem. Jeden z nich ma tak niezręcznie narysowane skrzydło, że zdaje się ono być złamaném. Przytém surowy, szorstki nawet realizm pędzla p. Kotarbińskiego, sam przez

się obniża znacznie nastrój obrazu. Artysta doskonale wyzyskał w widokach ekspresyi koloryt: panujące w nim wyłącznie szare, posępne tony, z powodu właściwych im symbolicznych własności, działają na usposobienie widza w duchu zupełnie odpowiednim do treści obrazu. O inwencyi i ogólnéj architektonice obrazu powiedzieć tego nie można: między temi elementami kompozycyi a jéj wewnętrzną treścią zachodzi uderzający rozbrat, głównie z powodu dominującego panowania linii poziomych, które budząc uczucia wręcz wzniosłéj treści przeciwne, osłabiają przez to wrażenie obrazu. Żałować też trzeba, że artysta nie uznał za właściwe zastosować się w kompozycyi do tych elementarnych zasad estetyki.

P. Maszyński w obrazie swoim (Ostatnie wieści) przedstawia bolesny widok ostatnich chwil gasnącego życia suchotnicy. Wyniesiono ją przed dom na otwarte powietrze, na otoczone świeżą zielonością podwórze willi, ułożono wygodnie na fotelu, okryto i rozpięto nad nią parasol dla zabezpieczenia od palących promieni słońca, któ-rz rzuca żywe, gorące blaski na roznosiciela przybyłego z listem, na młodą kobietę, służącą czy towarzyszkę choréj, która chusteczką ociera cichaczem łzy cisnące się jéj do oczu — i na całe otoczenie. Widok téj gasnącéj w kwiecie wieku kobiety, w zestawieniu z śmiejącym się wszystkiemi urokami wiosny dniem ciepłym, słonecznym, ma w sobie coś wstrząsającego. Przyznajemy się, że nie zaliczymy się do zwolenników w sztukach plastycznych tego rodzaju denerwujących przedmiotów; jeśli jednak podobało się panu M. uplastycznić pędzlem ten moment, wypadało mu być konsekwentniejszym w przeprowadzeniu idei estetycznéj; należało mianowicie większym urokiem piękna i młodości owiać postać téj biednéj suchotnicy, wygrzewającéj się na słońcu, którego już może jutrzejszego wschodu nie doczeka, podnieść przez to o wiele stopień zainteresowania się i sympatyi widza, a tem samém spotęgować efekt tragicznego kontrastu. Zresztą obraz p. M. nie odznacza się w ogólności większémi artystycznémi zaletami: wszystko tu dość powszednie, konwencyonalne; pamiętamy niejeden utwór artysty, daleko korzystniéj o jego talencie świadczący.

Drugą nagrodę otrzymał p. Ciągliński Jan za duży obraz, przedstawiający „Chrystusa przy sadzawce Siloe.“ Podobno drogę do nagrody utorowały artyście kolorytowe zalety jego pędzla, — nie przeczę, że je posiada, dodam nadto, że w obrazie niniejszym zwraca też na się uwagę jako kompozytor. Niektóre rzeczy są tu wcale pięknie pomyślane, jak np. owa kobieta stojąca w środku obrazu z dziecięciem na ręku. Koniec końców jednak, jest to obraz raczéj podmalowany niż namalowany, wszystko tu wydaje się jakby traktowane à la prima, barwy i tony niezdecydowane, często surowe, wykończenie zaniedbane, plastyka żadna, a i rysunek niedostatecznie wystudyowany. Mamy tu do czynienia z niewątpliwym talentem, ale talentem

nie dość jeszcze wspartym artystyczném czyli wprost techniczném wykształceniem.

Rozejrzyjmy się jeszcze w pracach nie nagrodzonych.

Wyróżniające między niemi stanowisko, a może nawet między wszystkiemi utworami konkursowemi, zajął portret pędzla p. Merwarta Pawła. Jest to wizerunek poważnéj matrony, któréj wiek przyprószył włosy siwizną. Uderza w nim przedewszystkiém koloryt, który, mimo że artysta zawarł się tu w gamie tonów ciemnych, głębokich, odznacza się przedziwną przejrzystością, siłą i harmonią. Wielką wartość utworowi temu nadaje też wyborna charakterystyka psychologiczna. Artysta, dobrze pojmujący zadanie portretu, nie ograniczył się do wiernego naśladowania zewnętrznych rysów natury, lecz szukał utajonych w głębi duszy rysów życia indywidualnego— i jego obraz odtworzył. Takiego przynajmniéj doznaje się wrażenia patrząc na ten tryskający życiem wizerunek, nakreślony z przekonywającą prawdą ekspresyi.

„Ś. Magdalena“ p. Styki Jana należy również do bardziéj odznaczających się utworów. Postać klęcząca świętéj pokutnicy jest skomponowana dobrze, co jednak najwięcéj się w niéj podoba, to piękna twarz, rozpromieniona wyrazem pogody ducha. Szkoda jednak, że tępy, nieprzejrzysty koloryt, i pewna, że się tak wyrażę, ciężkość pędzla, przeszkadzają artyście dźwignąć się na wyższy szczebel artystycznéj doskonałości w swych utworach, posiadających zkądinąd wiele niezaprzeczonych zalet. Subtelniejsze efekta światłocienia nie zdają się leżeć w naturze jego talentu. Trzebaby zaiste dużo dobréj woli ze strony widza, żeby owe ukośne smugi szaréj barwy, wziął za przejrzyste promienie dziennego światła, wdzierające się w głąb groty pokutnicy.

Czego braknie panu Styce, to posiada p. Szyndler Pantaleon: lekkość i prawdziwie artystyczną wytworność jego pędzla, w połączeniu zwłaszcza z pięknym kolorytem, olśniewa, czaruje. Ale, niestety, na tych zewnętrznych przymiotach trzeba poprzestać. Nie pamiętam ani jednego obrazu p. Szyndlera, któryby głębszą przemówił treścią, którego wrażenie skoncentrowałoby się w duszy widza w jakiémś silniejszém uczuciu. Wszystkie te uwagi dadzą się zastosować i do „Ofelii.“ Jéj powiewna, wysmukła, wdzięczna postać rysuje się powabnie na tle ciemnéj zieleni lasu; wykwitną elegancyą roboty, przypominającą pędzel francuzkich malarzy, można się lubować; ale, to nie biedna oblubienica królewicza duńskiego, zamyślająca samobójstwem skrócić swe męki serdeczne. Z tą twarzyczką, z temi usteczkami, zdaje się, żeśmy się już w innych utworach artysty spotykali.

Obraz p. Lepszego Edwarda przenosi nas w wiek XV-ty i przedstawia „Alarm,“ wywołany pożarem w mieście. Grupa osób z wysokości wieży, wpatruje się z ciekawością i zaniepokojeniem w unoszący się w głębi ponad dachami domów czarny słup dymu. Wszystkimi owładnął ruch gorączkowy: jeden z obecnych bada przez lunetę

postępy niszczącego żywiołu, inny bije w kocioł na alarm i t. d. Wykonanie w ogólności staranne, sumienne, ale pozbawione szczerości i swobody. Robota przypomina bardzo Matejkę, którego snać artysta obrał sobie za wzór do naśladowania. Tu wszakże pozwolimy sobie zrobić uwagę, że co u Matejki płynie z charakteru jego indywidualności, co jego oryginalny styl stanowi, to u p. Lepszego jest powierzchownem naśladowaniem, więc brakiem szczerości—jest jednem słowem manierą, tamującą swobodny rozwój talentu.

Tę samą uwagę wypadłoby zastosować i do p. Pawliszuka Adama, który znów usiłuje przyswoić sobie indywidualne cechy talentu Brandta. Zauważyliśmy to już w dawniejszych jego utworach, i to samo też stwierdza obecny jego obraz „Zdobycz.“ Prawdziwy talent idzie własną drogą, i p. Pawliszuk, któremu go odmówić nie można, powinien się przejąć tą prawdą. Od Brandta wiele się on niewątpliwie nauczyć może, ale to nie powinno go obowiązywać do deptania po jego śladach.

Wreszcie do konkursowych utworów należą jeszcze obrazy: Dziekońskiego Kazimierza „Zakonnik modlący się;“ Maleckiego Władysława wdzięczny i ożywiony widok „Z nad Horynia,“ i drugi utwór tegoż artysty „Cieplarnia braci Hoser,“ Styki Jana „Nowicyuszka,“ panny Dulembiauki Maryi „Sama jedna;“ Szernera Władysława „Lisowczyki na przeprawie,“ Szwojnickiego Romana „Dwie rozpacze;“ Maliuowskiego Adama „Okolica galicyjska,“ Lisiewicza Tomasza „Rycerz XVI-go wieku“ (głowa wykonana akwarelą), i gwaszowa robota Wolskiego Stanisława „Dla chleba,“ nad któremi jednak, z braku miejsca, nie będziemy się szczegółowo zastanawiali.

W konkursie z rzeźby wzięło udział sześciu artystów, z których pierwszą nagrodę otrzymał p. Zawiejski Mieczysław za „Popiersie charakterystyczne“ chłopa, wykonane z białego marmuru; drugą zaś p. Wojdyga Jan za „Rybaka.“

Pierwszy z tych utworów nacechowany jest artystyczną tendencyą, trudną, naszém zdaniem, do pogodzenia z istotném zadaniem rzeźby, której, jako sztuce idealnych pięknokształtów, nigdy granic piękna przekraczać nie wolno. Dla charakterystyki, tak zresztą cennéj w utworach pędzla, właściwie niema w niéj miejsca. Ta twarz pomarszczona, wykrzywiona głupowatym uśmiechem, z otwartemi a ogołoconemi z zębów ustami, byłaby przedmiotem stosowniejszym dla pędzla niż dla rzeźbiarskiego dłuta; więc choć wykonana dosyć starannie, sprawia wrażenie niemiłe, dalekie od tego estetycznego zadowolenia, jakiego się doznawać zwykło na widok piękna plastycznego, wcielonego dłutem w rytmiczne linie i szlachetne, harmonijne kształty.

Utwór p. Wojdygi wyobraża wyrostka z rybami w ręku, i jest trzymany w stylu rodzajowym. Jest to odlew z gipsu, roboty dosyć poprawnéj. Pan Pruszyński Andrzéj nadesłał dwa portrety, także w odlewie z gipsu, z których zwłaszcza portret kobiety celuje prawdą

natury i posiada właściwe temu artyście zalety dłuta. Według naszego zdania, najlepsze to dzieło rzeźbiarskie z tegorocznego konkursu. „Niewolnica“ p. Pyrowicza Ludwika, figura naturalnéj wielkości nagiéj kobiety, w odlewie z gipsu, ma wszystkie wady indywidualnych zboczeń natury, któréj wcale niepoprawny egzemplarz artysta za model sobie obrał, i jak się zdaje, we wszystkich nie koniecznie pięknych szczegółach wiernie naśladował. P. Wiśniowiecki Tadeusz wystawił grupę „Miłosierny samarytanin,“ a p. Kryński Jan dość wdzięczną statuetkę rodzajową (portret kobiety).

Do konkursu z architektury stanęło dwóch artystów: p. Hinz Jan z projektem kościoła w stylu ceglano-gotyckim na 2,000 osób, i p. Padlewski Roman z projektem willi. Sąd konkursowy żadnéj jednak w tym dziale nagrody nie przyznał.

Podobno niektórzy z artystów, biorących udział w konkursie, nie zadowoleni z wyroku, mają zamiar apelować do komitetu Towarzystwa. Byłby to krok o tyle nie właściwy, że sędziowie konkursowi mandaty swe zawdzięczają balotowaniu samychże artystów—więc ich zaufanie posiadać powinni.

Z dniem pierwszym nowego roku rozpoczęły się czynności komitetu powołanego do rozstrzygnięcia konkursu, jaki na rzecz dramatu lub komedyi ogłosiła w roku przeszłym redakcya „Gazety Polskiéj,“ ku uczczeniu pamięci i zasług znakomitego pracownika na polu sceny narodowéj, Wojciecha Bogusławskiego. Jest to konkurs najpokaźniejszy ze wszystkich jakie były dotąd; pierwsza bowiem jego nagroda wynosi rubli tysiąc, druga pięćset. Do składu sądu weszli pp. Bogusławski, Brzeziński, Chmielowski, Henkel, Kenig, Kotarbiński, Kretkowski, Królikowski (dotąd z powodu choroby nieczynny), Leo, Sienkiewicz, Szymanowski Wacław: słowem grupa, przedstawiająca krytyków i redaktorów; (powołany pierwotnie p. Kaz. Kaszewski usunął się z powodu licznych zajęć). Dobrze uczynili ofiarodawcy, nie powołując do komitetu autorów dramatycznych, jak to bywało dotąd, nie tamując im przez to drogi do przyjścia udziału w konkursie. Niebywały też ruch objawił się w dramatopisarstwie; złożono przeszło siedmdziesiąt sztuk wieloaktowych. Obfitość ta nie przesądza o wartości, przeciwnie, wątpić o niéj każe, do czego pobudzają już same tytuły niektórych rękopismów. Odłożywszy jednak znaczną nawet większość na miernoty i odpadki, jak to zwykle bywało dotąd, przypuścić jednak trzeba cząstkę choćby utworów prawdziwego talentu. Ile znowu z téj cząstki wypadnie zupełnie przydatnych na scenę, o tém zgóry przesądzać nie można, w każdym jednak razie konkurs ma tę zasługę, że pobudził do ruchu jakieś siły znane lub nieznane, do pracy w kierunku, który jeszcze długo wyrabiać się musi, ażeby scenie naszéj nadał fizyognomią rzetelnie swojską, jaką ona dziś zaledwie przybierać zaczyna od czasów starego Fredry. I dosyć to jest osobliwa fizyognomia, jak na atmosferę, w pośród któréj się wyrabia;

oblicze sztuki dramatycznéj polskiéj przybiera maskę komiczną, zachodzi kontrast pomiędzy stanem społecznym a jego twórczością, jakby dla sprawdzenia francuzkiego przysłowia: „Les extremités se touchent.“ Ha! co prawda, tańcowaliśmy i hulali najserdeczniéj w Krakowie i Warszawie przy zamknięciu rachunków z minionego stulecia: czemużbyśmy nie mieli pośmiać się dobijając stuletniego terminu? Wszak śmieją się gdzieindziéj, tam zkąd wychodzą rozkazy mód i wydalań, a śmiech jest zaraźliwy, dobroczynny; działa zbawczo na przeponę, jak utrzymuje ironiczny a uczciwy Prus w jednéj ze swych kronik; przez co ułatwia trawienie, a nam tyle strawić potrzeba.

Dramat poważny stał się, wśród tych okoliczności, postrachem dla publiki, żądającéj śmiechu z taką namiętnością, jak niegdyś lud rzymski chleba i igrzysk. Ma on zwykle przywiléj rozciągania jamy ustnéj u widzów, obojętnych na myśli obce humorystyce i wcale nie dwuznaczne. Unikają go téż zarządy teatralne, dyskredytuje pewna krytyka, rachująca się z gustem publicznym; tak, że aniśmy się spostrzegli jak dramat poważny stał się u nas czémś egzotycznem, niepotrzebném, czemś na co nikt nie zwraca uwagi.

Pod takiém ciężeniem, jaki będzie los jego na konkursie, jeżeli się zjawi? Trudne zadanie sędziów. Zadaniem ich bezpośredniém myśléć o teatrze, a ten w swym składzie pełniejszym, sceny i sali, pragnie tylko śmiać się. Mamy dowód. Na poprzednim konkursie z ramienia Dyrekcyi teatrów, (z którego dotąd nie podano ogółowi sprawozdania) nagrodzono dramat „Floryndę.“ A gdzież on się podziewa od lat dwóch? Któraż to scena dobijała się o jego posiadanie? Musiał być przecie coś wart, skoro go nagrodzono, i przepadł; gdy tymczasem tyle miernot komicznych przesunęło się po scenie z mniejszém lub większém powodzeniem; nie wspominając o utworach wartościowych, które się i utrwaliły.

Czy sąd konkursowy, znalazłszy rzecz godną sceny, godniejszą może jeszcze niż „Florynda“ (któréj nie znamy nawet), odpowiadającą wybranemu gustowi sędziów, ale nie mogącą w obecném usposobieniu liczyć na powodzenie sceniczne, lub zaledwie na succès d'estime, zakwalifiuje ją do nagrody, przy porównaniu z rzeczą wartościową, ale mniéj estetycznie doniosłą, a zato przez swą zgodność z gustem przeciętnym, powodzenia pewniejszą? Przyznam się, położenie bardzo trudne. Serce znawcy idzie za jedném, zmysł praktyczny za drugim.

Ale na to wszystko z wyżyn empirejskich spogląda duch ojca sceny polskiéj. Spodziewajmy się, że dopomoże pokierować wyborem, pojednać jedno z drugiém, o co wreszcie może i mniéj trudno będzie w gronie, gdzie przewodniczy znawstwo, sumienność i dobra wiara. A miło będzie wybranemu połączyć swe imię z imieniem Wojciecha Bogusławskiego, i na téj saméj scenie dla pożytku ogółu duchowo się z nim sprzymierzyć.

W teatrze odbył się dnia 17 stycznia benefis artysty, Bolesława Leszczyńskiego, który od dwudziestu pięciu lat pracuje na różnych scenach polskich. Jest to talent samemu sobie zawdzięczający ukształcenie sceniczne i postęp. Obdarzony powierzchownością odpowiednią zawodowi, posiadający głos niepospolicie dźwięczny i sympatyczny, ruchy zręczne i szlachetne, p. Leszczyński, jako aktor czerpie tylko z intuicyi, gra a prima vista, studyów wyrozumowanych znać na nim nie wiele, nic prawie, on przedmiotu nie stara się rozpoznawać, ale go odczuwa. Jeżeli uda mu się odczuć trafnie, wynika ztąd kreacya nieraz olśniewająca; jeżeli przeciwnie, nie nawrócisz go żadną informacyą. Chwyta zdobycz raz tylko, jak lew,—do niepochwyconéj nie wraca ażeby poprawić skok. Jego aktorskie emploi jest dość rozmaite. Kiedy był młodszym, grywał amantów poważnych, nieźle lecz bez odznaczenia. Nierównie wyżéj stanął w rolach szlachetnych, półdramatycznych mężów (Akrobata), i w tym rodzaju dotąd nie przestaje przedstawiać się korzystnie. Kochankowie bohaterscy wielkiego dramatu nie zawsze znajdują w nim wcielenie szczęśliwe, wychodzą przyzwoicie, ale dość banalnie; wyjątek czynimy dla Otella, gdzie osobliwość postaci pozwala jéj nadać ostrzejsze kontury. Im figura bardziéj odchodzi od normalnego tła ludzkiego, tém więcéj lubi ją ten artysta, najchętniéj i kto wie czy nie najlepiéj odwzorowujący ludzi wykolejonych, ułomnych psychicznie (Strasz w „Rozbitkach"), co nie przeszkadza być mu wybornym „Starym kawalerem," salonowcem, jak w „Półświatku," impetykiem jak „Rantzau;" byle mógł się zawadzić o jaki gzems wystający poza miarę zwyczajną, o jakiś znak szczególny, który go uderzy. Nazywa się to role charakterystyczne; tylko nie chodźmy z niemi aż do Szekspira, i w ogóle tam gdzie trzeba większego namysłu i głębszéj podstawy psychologicznéj: role tego rodzaju średniéj miary w grze p. Leszczyńskiego nabierają wartości pierwszorzędnéj, wysokie zeszłyby na drugorzęduą. Dziś najchętniéj przebywa on w rolach ludzi starszych, i od drugiego powrotu na scenę warszawską nigdy jeszcze nie zawiódł.

Na jego to benefis wybrano sztukę od pięciu lat przeznaczoną, przygotowaną i oczekiwaną: „Bezczelnych" Augiera. Pięcioaktowa ta komedya, poprzedzająca o lat dwa (r. 1861) „Syna Giboyera" tegoż autora, w treści swéj uderza na rządy mieszczańskie we Francyi z czasów Ludwika-Filipa, oraz na sprzedajność dziennikarską. Rządy mieszczańskie dały pochop rozwinięciu się giełdy i spekulacyi, pociągając za sobą odwrotne strony tego ruchu w gruncie pożytecznego: wyzysk i szalbierstwo. Możność zbogacenia się wyrodziła łatwość zbogacenia się, bez względu na środki, a przy pomocy bezczelności. Autor zrywa téż tu maskę z tych oblicz bezczelnych i upomina się o wymiar dla nich sprawiedliwości przez opinią publiczną, jeżeli prawo nie ma dość siły i powagi do obezwładnienia ich machinacyi i intryg. Opinia wprawdzie na razie chwilowo ukarze oszusta, którego ręka prawa dosięgnąć nie może; ale autorowi chodzi o to ażeby opinia nie zasypia-

ła, nie puszczała w zapomnienie podłości, która raz usypawszy grunt dla majątku, później korzysta z niego bezkarnie, tak że z czasem względna poprawność jéj postępowania, potrosze przyswaja i rozbraja opinią, uspokajając przez to niejako sumienie oszusta. Nie! Łotr, który powstał z ludzkiéj krzywdy, nie powinien mieć miru, ani uznania, dopóki nie naprawi złego jakie uczynił, dopóki się nie zrehabilituje. Takim się zdaje być morał komedyi, ale morał wysoce obrazowy i artystycznie uwydatniony.

Autor, szczęśliwym nader pomysłem, stawia tu wobec siebie i wobec widzów, dwóch tego rodzaju oszustów. Jednym jest taki, który już zamknął rachunek swój z opinią i używa miana poważnego finansisty, wychowuje syna i córkę (p. Prażmowski i p. Wisnowska), prowadzi dom świetny i patrzy na para Francyi: to bankier Charrier (p. Ostrowski). Drugim jest świeży szalbierz Vernouillet (p. Tatarkiewicz) który dokonawszy podstępnego bankructwa i okradłszy stowarzyszonych na blizko milion franków, niedotknięty przez prawo któremu się wymknął, przebywa właśnie groźne przesilenie z opinią publiczną i wygląda jak okradziony. Cny Charrier nie podaje ręki temu szubrawcowi. Ej! to tak tylko na dzisiaj, w pierwszym ogniu wobec opinii, która przecież cośkolwiek waży i na giełdzie. Ale potém, zobaczymy... Przyjdzie i na Vernouilleta kolej uspokojenia; a jak opinia wypali wszystkie ładunki swoich bateryi, to kruk krukowi oka nie wykole.

Takie przynajmniéj jest zdanie starego margrabiego d'Auberive (p. Leszczyński) który zżyma się na te rządy mieszczańskie, a do plutokracyi ma wstręt jak do nieczystéj gadziny; ale mściciel upadku szlachty, snuje się wśród tych nowych panów położenia politycznego, pozostaje z niemi w stosunkach towarzyskich, ażeby się niemi bawić, szkodzić im, uzbrajać jednych przeciw drugim, a wszystkich przeciw honorowi i cnocie, aby ich tém prędzéj w oczach narodu francuzkiego zochydzić, utorować drogę dawnym legionom i dawnym zasadom. Wielki to dziwak ten szlachetny i bogaty legitymista. Ożenił się na starość z młodą swą siostrzenicą, (p. Chraszczewską) a gdy ta wzięła sobie kochanka, ustąpił jéj z drogi legaluie, i sutemi alimentami opłaca jéj nowe, dyskretne pożycie: zachowuje dla niéj przyjaźń starego krewnego; i niechby się kto ważył zrobić przy nim jaką alluzyą!

I otóż ten to arystokrata, igrający z mieszczańskiemi szalbierzami, jak kot z myszą, prostuje drogę Vernouilletowi do rychlejszego awansu. Jest to z jego strony podstęp spiskowca, a margrabia spiskuje przeciw plutokracyi mieszczańskiéj na własną rękę. Będziesz potężnym — zda się radzić Vernouilletowi—tylko umiéj z odwagą zażywać swéj bezczelności; pozwól pluć sobie w oczy, jeżeli ślina zawierać będzie pewien procent złota, a w miarę siły, kłaniać ci się będą tobie podobni, których teraz najwięcéj. Ten na przykład Charrier, wyszedł z tego samego punktu na którym ty stoisz obecnie; a teraz on z góry na ciebie spogląda; i ty tak będziesz niebawem. Ośmielony, rozochocony

bezczelnik, zdobywa sobie też natychmiast oręż najskuteczniejszy. Kupuje dziennik i osadza w nim sprzedajnego najemnika, Giboyera (p. Rapacki), ażeby ztamtąd gromić przeciwników, nakręcać prawdę do swoich widoków, łgać z całą bezczelnością strojną we frazesy imponujące tłumom, a za kulisami tego wszystkiego sprzedawać sumienie więcéj dającemu. To łotrostwo szwindlerskie, ta profanacya świętości publicznego słowa, te bezprawia prawne, ohydne a tolerowane przez opinią pozwalającą się terroryzować, stanowią główny motyw utworu. Przeciwko nim tu występuje autor z całym arsenałem broni odpowiedniéj komedyi: demaskuje niemiłosiernie, chłoszcze dowcipem, rany zadane posypuje solą attycką, by je bardziéj rozjątrzać; słowem, stawia zwierciadło straszne przed oczyma indywiduów podobnych tym jakie bierze na cel swych satyrycznych pocisków, a jednocześnie otwiera ogółowi oczy na wartość rzeczy saméj.

Bajka romansowa, intryga, stanowi tu motyw drugorzędny; tyle jéj jest ile potrzeba dla związania interesu ogólnego z osobistym, bez czego dramat, w znaczeniu właściwém, istniećby nie mógł. Już tu ofiarą niegodziwości ojca ma paść i córka Charriera, niewinne dziecię zakochane w kochanku margrabiny, uczciwym dziennikarzu Serginie (p. Kotarbiński). Ojciec, gardzący takim proletaryuszem, a olśniony blaskiem nowego słońca na giełdzie wschodzącego w osobie Vernouilleta, jemu ją przeznacza za żonę. Ale tu stary grzech występuje przeciw niemu, jak owa mitologiczna Erinnys, z głową najeżoną wężami wspomnień. Syn jego, a przyjaciel Sergina, dowiaduje się z pewnéj sytuacyi o dawném szalbierstwie ojca. Młodzian szlachetny rozpada się w niemiéj boleści i okazuje ją ojcu wraz ze starą gazetą, która czyn jego napiętnowała. Wielka to scena, godna takiego pisarza, jak Augier. Po piętnastu latach tryumfów, ojciec staje przed własném dzieckiem jak zbrodniarz w obliczu sędziego, z całą sromotą czynu, i patrzeć musi w jego oczy zakrwawione ze wstydu za swego życiodawcę, widzieć go umierającego w kwiecie lat z przekonania że dotąd żył chlebem kradzionym, na który złożyły się krzywdy całych rodzin. Ojciec też ulega jego wyrokowi. Kradzież będzie zwróconą, siostra wyjdzie za mąż według serca, a syn plamę domu obmyje krwią w służbie wojskowéj kraju.

Ale poza tym zrehabilitowanym poniekąd Charrierem, pozostaje tryumfujący więcéj niż kiedykolwiek nowy szalbier Vernouiltet, który urąga całemu temu sentymentalizmowi. Pozostawiając tego bezczelnika niestrąconego z piedestału, autor zdaje się mówić ogółowi: Wyniesienie się jego, to wasza sprawa; naprzód daliście się mu odrwić swojem zaufaniem, teraz swą tolerancyą utrzymujecie go i dobrowolnie tuczycie hydrę, która krew waszą wytaczać będzie bezkarnie.

Utwór ten wysoce tendencyjny, czysto francuzki a w dodatku zastosowany do pewnéj epoki i pewnych obyczajów, ma wszelako w sobie tyle żywiołu ogólno-ludzkiego, że pominąwszy strony lokalne i przejściowe wszędzie i zawsze zdolny będzie budzić interes. Ale te właśnie

strony lokalne, ten zwłaszcza dowcip z jakim kreślone są wszystkie postacie męzkie, a prawie wszystkie od społeczeństwa naszego odmienne, utrudniły wystawienie téj sztuki na scenie naszéj tak jakby być powinna. Ta delikatna a w najlepszym gatunku woń dowcipu, jaką utwór przesiąkł od pierwszéj sceny do ostatniéj, w znacznéj części ulotniła się w drodze z Paryża do Warszawy; można się było jéj domyślać więcéj niż odczuwać, o ile nie przeszkadzał język przekładu. Bankier Charrier, figura wielce charakterystyczna na miejscu, znikł w ciężkiéj interpretacyi warszawskiéj firmy, a ostatnia scena z synem, ów sąd ostateczny w którém czuć szemranie Bozkiego wyroku, przeszedł bez żadnego wrażenia dramatycznego (coby to z tego zrobił Żółkowski). Vernouillet, ów przyszły demon społeczny, wydał się zaledwie komisantem drugorzędnéj firmy, tak że z gry nie powstała należyta harmonia między postacią a czynami. Nie dość udatne ujęcie naczelnych figur osłabiło téż wrażenie całości, ale ją podtrzymały postacie innego planu. Pierwsze miejsce należy p. Leszczyńskiemu, który odgadł wybornie figurę margrabiego d'Auberive, i po swojemu, ale w całości a bez zarzutu wyzyskał pierwowzór nieco dziwaczny, drwiący, lecz szlachetny. Równie wybornym młodzieńcem z lekką głową a zacném sercem był p. Prażmowski w roli Henryka Charrier; a epizod p. Rapackiego w roli sprzedajnego felietonisty Giboyera to istny koncert. P. Chraszczewska elegancko przesunęła się jako marbrabina, i słowem, jedno z drugiém, nasza scena pochlubić się może że tego pięknego, a wielce trudnego do przedstawienia dzieła muzy francuzkiéj nie sponiewierała.

Dnia 16-go stycznia odegrano pierwszy raz na scenie teatru lwowskiego nową operę Henryka Jareckiego „Jadwiga“ z wielkiém powodzeniem, które utwór ten podług wiadomości pism lwowskich zawdzięcza przedewszystkiém pięknéj muzyce, a następnie także nader szczęśliwemu ułożeniu libretta, w którém akcya dramatyczna rozwija się z niesłabnącym interesem od początku do końca. P. Jarecki zbogacił zatém polską literaturę muzyczną nowém dziełem: oby tylko siły wokalne odpowiedziały idei autora.

Ogrodnictwo naszego kraju chyliło się w ostatnich paru dziesiątkach lat szybkim krokiem do upadku, przechowując zaledwo szczątki z swojéj świetności z końca XVIII i początku XIX-go stulecia, kiedy wspaniałe ogrody i parki otaczały niemal każdy pałac i dworek szlachecki, i oddawały cześć zasłużoną pamięci takich ludzi, jak Łuba, Kluk i Stanisław hr. Wodzicki.

Starania i zabiegliwość pojedyńczych osób, pragnących podtrzymać i rozwinąć tę korzystną gałąź gospodarstwa krajowego, okazały się w tym celu zbyt słabemi; dla tego równocześnie prawie z towarzystwem popierania przemysłu i handlu zawiązało się w Warszawie Towarzystwo ogrodnicze warszawskie (1884-go r.).

Głównem zadaniem tego towarzystwa jest: przyczynianie się do rozwoju wszystkich gałęzi ogrodnictwa i obudzenie w społeczeństwie

naszém zamiłowania do zajmowania się tą gałęzią przemysłu. Krótka aczkolwiek dotychczas jego działalność, nie pozostała przecież bez śladu; jemu bowiem zawdzięczamy to, że w r. zeszłym mieliśmy wystawę ogrodniczą, która dostarczyła towarzystwu wskazówek, jakie gałęzie ogrodownictwa cieszą się już pewném poparciem, a które znowu są najwięcéj zaniedbane. Przedsięwzięte przez Towarzystwo ogrodnicze kroki celem rozbudzenia w wieśniakach zamiłowania do sadownictwa i zadrzewiania dróg, mogłyby przynieść nieobliczone dla kraju korzyści i to nie tylko pod względem materyalnym. W téj myśli postanowiło Towarzystwo ogrodnicze zaprowadzić na sposób, istniejący w Niemczech, nauczycieli wędrownych, którzyby chodząc po wsiach, wykładali wieśniakom główne zasady sadownictwa i zachęcali ich do jego pielęgnowania. Czy jednak projekt ten zostanie wykonany, na to dziś odpowiedzieć nie można—zależéć to bowiem będzie od władz, którym do zatwierdzenia przedstawiony został. Równocześnie zaprojektowało Tow. ogrodnicze zaprowadzenie wykładów sadownictwa w seminaryach duchownych i nauczycielskich.

Dla zachęcenia ogrodników do pozostawania przez czas jak najdłuższy w jednéj służbie, wyznaczyło Towarzystwo ogrodnicze z własnych funduszów dwie nagrody. Oprócz tego wyznaczyło Towarzystwo na rok 1885/6 stypendyum dla jednego z uczni szkoły ogrodniczéj warszawskiéj. Na wniosek zaś dr. Markiewicza poczyniło odpowiednie kroki, aby miasto utworzyło etatową posadę inspektora ogrodniczego, któryby rozciągnął opiekę nad plantacyami miejskiemi.

Dziś Towarzystwo ogrodnicze warszawskie liczy pięciuset kilkudziesięciu członków; co miesiąc odbywają się posiedzenia ogólne, a poza niemi pięć specyalnych sekcyi obraduje osobno na swoich zebraniach. Na grudniowém ogólném zebraniu p. Edmund Jankowski, członek zarządu Towarzystwa, przedstawił sprawozdanie, w którém wykazał, że sadownictwo może się u nas korzystnie rozwijać, bo może liczyć na zbyt produktów swoich w Rosyi. Ostry klimat Rosyi nie pozwala na należyty rozwój ogrodnictwa owocowego, brak więc czuć się niezmierny daje gruszek deserowych, które sprowadzają albo z zagranicy, albo téż dostarcza ich Krym, zaspakajając tylko w znacznie mniejszéj części potrzeby kraju. Gdyby więc w Królestwie, gdzie klimat jest wiele łagodniejszy, a tém samém umożebniający hodowlą drzew owocowych rozwinięto ją należycie, to rynki rosyjskie stałyby otworem dla téj produkcyi. Hodowla jabłek w Rosyi jeszcze gorzéj się przedstawia, a w szczególności jabłek doborowych, gdyż w Krymie i w guberniach południowych, mimo że sady jabłoni są znaczne, brak jednak poszanowania drzew owocowych; w ten sposób produkt w znacznéj części niszczeje, zaspakajając pozostałą resztą zaledwo potrzeby miejscowe.

Największą zaś korzyść dla naszych ogrodników przedstawia hodowla truskawek, których wielką ilość spotrzebowuje Petersburg, Moskwa i Kijów, obecnie sprowadzając je z zagranicy, co znacznie podnosi ich cenę, z powodu opłaty cła i kosztów transportu. Pan Edmund

Jankowski położył równie i na to nacisk, że ogrodnictwo dzisiejsze zaniedbuje u nas winnice, które bardzo dobrze prosperować mogą i gdyby się rozwinęły należycie, to produkcya krajowa wyparłaby kuracyjne i stołowe wingrona, dotąd sprowadzane z zagranicy.

Po odczytaniu tego sprawozdania, dr. Szokalski wypowiedział kilka słów objaśniających o działaniu roślinnego wyciągu, kokainy. Roztwór 2—4 procentowy kokainy po zastrzyknięciu pod skórę znieczula ciałka czucia na przestrzeni jednego talara. Roztwór zaś 4% zapuszczony w ilości kilku kropel w oko do tego stopnia czyni je nieczułém, że z całą swobodą można się powierzchni oka dotykać, nie sprawiając tém bynajmniéj cierpienia; co więcéj — w okulistyce chloroformowanie zostało usunięte przy dokonywaniu najcięższych operacyi ocznych przez znieczulenie za pomocą kokainy.

Pracę Towarzystwa ogrodniczego popiera bardzo skutecznie czasopismo „Ogrodnik," wychodzące już przez siedm lat pod umiejętną i bardzo zabiegliwą redakcyą p. Edmunda Jankowskiego, zasługujące na poparcie jak najszersze publiczności polskiéj.

Już przez lat siedmnaście wegetuje w Warszawie Towarzystwo opieki nad zwierzętami, które dotychczas nic dla ogółu nie zdziałało. Główną przyczyną tego był niepewny kierunek zarządu, oraz względy partykularne, nurtujące organizm Towarzystwa.

W dniu 10 stycznia r. b. odbyło się ogólne zebranie członków tego Towarzystwa, na którym p. Starzyński wykazał różne wady, graniczące prawie z nadużyciami, jakie się wkradły do Towarzystwa. Ustawa Towarzystwa, zatwierdzona w r. 1868 a dopełniona w r. 1877, okazała się w praktyce niedostateczną. Zaradzając temu, wypracował zarząd instrukcyą, któraby tym niedostatkom zapobiedz mogła, i tę przedstawił zebraniu ogólnemu do zatwierdzenia. Pan Starzyński, zabrawszy pierwszy głos w zagajonéj dyskusyi, wykazał słabą i nieudolną działalność Towarzystwa i przedstawił po szczególe „nadużycia," jakich dopuścił się zarząd Towarzystwa.

Najważniejszém nadużyciem było tolerowanie przez czas bardzo długi agenta Starkmana, który za zjednywanie członków pobierał pensyi rs. 1,000 rocznie, a nadto dopuszczał się uchybień krzyczących, bo mając bez żadnéj kontroli wydawane książeczki blankietowe, przyjmował wkładki od zapisujących się, nie wnosząc ich do kasy Towarzystwa. Ten tak ciężki zarzut p. Starzyński poparł świadectwem p. Góreckiego, który wniósł na ręce p. Starkmana 30 rs. wkładu, a nie znajduje się wcale na liście członków. Drugie przekroczenie ustawy wykazał p. S. w nadużyciu zaufania, położonego przez stowarzyszonych w zarządzie, który wbrew uchwale ogólnego zebrania udzielił p. Festenstadowi na „Przyjaciela zwierząt" zamiast 300 rs. — 600 rs. Niebywałą też rzeczą w Towarzystwach była tego rodzaju „manipulacya," że zarząd z łona swych członków wyznaczał komisyą

rewizyjną! P. Starzyński przyczynił się przez swoje wystąpienie w wysokim stopniu do zwrócenia uwagi na tę instytucyą, która przy twardych, dzikich i zupełnie nie oswojonych instynktach naszéj ludności roboczéj, a szczególniéj ludności pochodzenia żydowskiego, mogłaby oddać wielkie usługi społeczeństwu. Przy widocznych skutkach opieki nad zwięrzętami, możeby się obudziła myśl życzliwszéj opieki nad ludźmi, którzy upadają często pod nadmiarem ciężarów dnia powszedniego. P. St. domagał się w dalszym ciągu dyskusyi zmiany instrukcyi co do tego, aby zarząd, przedstawiając kandydatów, nie krępował głosujących w możności wpisania innego kandydata; aby komisya rewizyjna nie składała się z ludzi piastujących inne wyższe godności w towarzystwie; aby wice-prezesa, sekretarza i opiekunów cyrkułowych wybierało ogólne zebranie. Zebranie ogólne zatwierdziło słuszne te żądania.

Pan Stopczyk do téj wiązki zarzutów, uczynionych zarządowi przez p. Starzyńskiego a popartych faktami, świadectwem i paragrafami ustawy — dorzucił jeszcze jeden — może najcięższy ze wszystkich, a mianowicie—że na raporcie rewizyi rachunków znajdował się sfałszowany jego podpis, sam p. St. podpisywać nie mógł, gdyż rewizyi rachunków nie dopełniał.

Po przemówieniu p. Stopczyka, Kotłubaj'a i Chrzanowskiego, zatwierzono budżet wydatków na rok bieżący w sumie 3,651 rs. 7½ kop.

Pół roku mija od daty ogłoszenia, w dniu 15 czerwca r. z., uchwały rady państwa co do ostatecznéj reorganizacyi Banku polskiego, a zapowiedź ta,—jak niedawno zapewniało „Now. wremia"—„wyłącznie dzięki energii p. generał-gubernatora i zabiegom obecnego prezesa Banku," w d. 13 stycznia stała się już faktem dokonanym. Nie wdając się tu w żadne postulata i desiderata pod adresem komisyi reorganizacyjnéj, która, złożona z ludzi nowych, wykształconych w praktyce finansowéj banków rosyjskich, zapewne przez pół roku miała dość czasu poznać potrzeby kredytowe kraju naszego,—zwrócimy jedynie uwagę na sam wypadek, ze stanowiska jego niezaprzeczenie pierwszorzędnego znaczenia w dziejach finansowości Królestwa. Bank polski powstał w chwili wielce przyjaznéj dla wszelkich przedsięwzięć finansowych, gdyż w chwili z jednéj strony zupełnego wyschnięcia źródeł kredytowych kraju, z drugiéj—budzących się do życia przemysłu i handlu. W takich warunkach, młoda instytucya znalazła się na raz w obec tysiąca niezałatwionych potrzeb, pozostawało więc jéj albo ograniczyć zakres działalności i pójść w jednym kierunku popierania téj lub innéj gałęzi gospodarstwa, albo też, uwzględniając interesa wszystkich, rozwinąć operacye na całym obszarze stosunków ekonomicznych. Mimo skromnego uposażenia 30 milionów złotych (późniéj 8 mil. rs.), Bank słusznie obrał ostatnią drogę działania, stając się jednocześnie bankiem przemysłowym, rolnym, depozytowym, sku-

powym i t. d. Przez pierwsze 50 lat istnienia, Bank polski był podobny do najczulszego barometru interesów ekonomicznych Królestwa, wszędzie go pełno, do każdego przedsiębierstwa przykładał ręki, dawał inicyatywę, wspierał nowo powstające zakłady, słowem, występował w czynnéj roli prawdziwego opiekuna dobrobytu kraju. Pod koniec szóstego dziesięciolecia b. w., w epoce „ujednostajniania administracyi," gdy wydział finansowy Królestwa został skasowany w 1869 r., Bank dostał się pod zwierzchni zarząd ministerstwa skarbu, a wszystko reformujący Komitet urządzający zapowiedział zamianę w przyszłości Banku polskiego na „Kantor banku państwa."

Od tego czasu zaczyna się w historyi bankowéj okres przejściowy, 16-letni, w którym rok każdy przynosił nowe obcięcie téj lub innéj atrybucyi Banku. Najpierw ograniczone zostały operacye rolne (pożyczki na wełnę, maszyny rolnicze i t. d.), następnie przemysłowe (prowadzenie zakładów na własny rachunek i wspieranie fabryk prywatnych pożyczkami hypotecznemi), i Bank powoli stawał się instytucyą wyłącznie skupowo-depozytową. Ale i w tym zakresie nie zapoznawał programu przekazanego mu przez jego genialnego twórcę, ks. Lubeckiego. Zmuszony zejść na stanowisko dyskontera, Bank rozwinął troskliwą zabiegliwość około rozszerzenia koła klientów, i biorąc wzór z banków zagranicznych, skupował weksle wielkie i małe, bogatych i ubogich, kupców i rolników. Wprowadzone w organizm gospodarczy kraju arteryc kredytu bankowego, utrwaliły jego zdrowie, podniosły puls jego życia. Jak przed 30—40 laty Bank polski dotykał się bezpośrednio wszelkich przedsięwzięć użyteczności publicznéj, tak teraz znowu otworzył swe kasy przed masą większych i drobnych producentów, równo uprawniając fabrykanta z rzemieślnikiem, przekupnia z bankierem. Prasa rosyjska, która obecnéj reorganizacyi Banku wiele poświęciła papieru, nigdy bodaj nie zdradziła się z taką olbrzymią ignorancyą stosunków tutejszych, jak właśnie przy ocenie półwiekowéj jego spuścizny. Przedewszystkiém bowiem prasa ta w zaślepieniu posuwa surową krytykę ostatnich lat egzystencyi Banku tak daleko, że ostatecznie jéj strzały, całkiem chybiając celu, uderzają wprost w przeciwną stronę. Według téj prasy, z „Now. wr." na czele, Bank polski w pierwszych 50 latach istnienia był wzorem instytucyi bankowych, ideałem banków, Bank zaś z okresu przejściowego ostatnich lat 16 był „przybytkiem trutni i szarańczy (sic)." Pierwszy zostawia po sobie świetne wspomnienia, drugiego — nie ma co żałować. Przypuśćmy, że te porównania są arcy słuszne, ale w takim razie, czyż to było winą Banku, jego kierowników, lub społeczeństwa, że owéj „złotéj epoce" rok 1869 kres stanowczy położył? Czy to Bank polski ograniczył swój program i swoje atrybucye? Prasa rosyjska, dobierając tak wyszukanych porównań metaforycznych dla potępienia „tego Banku, który został zwinięty w d. 13 stycznia r. b.," potępia nie Bank polski, lecz ów przełom w latach 1869—1870 r., który wytknął Bankowi nowe szlaki, wiodące w końcu do likwidacyi... Jak wspomnie-

liśmy, czynności reorganizacyjne trwały przez pół roku. Wydelegowana przez ministerswo skarbu Komisya, w skład któréj wchodzili pp. Żukowskij pomocnik zarządzającego Bankiem państwa, Iwaszczenko dyrektor wydziału tegoż Banku, hr. Driesen dyrektor oddz. w Tule, Gizden dyrek. oddz. w Kiszyniewie, Wasilczykow buchal. oddz. w Taganrogu, Hutner buch. kantoru w Petersburgu i Zielinskij referent tegoż kantoru, rozpoczęła swą pracę w d. 6 lipca r. z., wygotowała projekt likwidacyi, w październiku dopełniła częściowéj reformy przez wprowadzenie nowego wydziału dyskontowego, w d. 13 stycznia zaś odbyły się we wszystkich oddziałach Banku, w Warszawie i na prowincyi, uroczyste obiady okolicznościowe, jako pendant do inauguracyi kantoru i oddziałów Banku państwa.* Według współcześnie zapadłéj uchwały p. ministra finansów, „kantor warszawski“ ma prowadzić następujące operacye, w części przejęte z kantorów cesarstwa, w części z programu b. Banku polskiego. Do operacyj, jakie kantor będzie prowadził według zasad kantorów rosyjskich, należą: przyjmowanie wkładów, skup weksli miejscowych z terminem 4 mies. i na Cesarstwo — 6 mies., udzielanie kredytu na zastaw papierów, spłata kuponów i papierów wylosowanych, wreszcie operacye komisowe, jak kupno i sprzedaż papierów publicznych; według zaś przepisów b. Banku, kantor ma: przyjmować wkłady do przechowania, wydawać zaliczenia na towary i prowadzić przekazy. Nadto, kantorowi powierzono: zarządzać długami Królestwa, wydawać pożyczki na kupno narzędzi rolniczych, przyjmować depozyta, czynić przekazy na kasy rządowe w Królestwie, prowadzić likwidacyą zobowiązań b. Banku, zarządzać wydziałem loteryi i wymieniać stare banknoty na nowe, a grube na drobne. Co do ostatniéj grupy operacyi, są one znowu dziedzictwem, przejętém od b. Banku polskiego. Jak widzimy, w przepisach powyższych, stanowiących program kantoru, mieszają się zwyczaje i rozporządzenia, jakie miały moc obowiązującą w Banku polskim z rozporządzeniami, obowiązującemi kantory Banku państwa, przyczém pierwsze występują nawet w liczbie przeważającéj. Reforma, utrzymując dawny zakres atrybucyi, wymierzona została głównie przeciwko systemowi dyskontowemu, zmierzając do zamknięcia kredytów bankowych w ograniczoném kole „firm pewnych“ i do rozszerzenia rachunków przekazowych na rynki Cesarstwa. Te są jéj punkta wybitne, poza któremi nie znajdziemy zasadniczéj różnicy pomiędzy nowym „kantorem,“ a owym „bankiem z epoki przejściowéj.“ Drobne pożyczki na maszyny, operacye magazynowe, urząd loteryi — utrzymane zostały, a one to właśnie stanowiły przedmiot najostrzejszych wycieczek prasy rosyjskiéj. Co zaś się tyczy dyskonta, jest to kwestya zapatrywań na stanowisko banku publicznego u nas. Zapewne, nie są bez słuszności opinie, głoszące, iż bank taki powinien być wielkim rezerwoarem, otwierającym upusty tylko w wielkie beczki, z których dopiero prowadziłyby krany do beczek małych, choć z drugiéj strony, trudno téż odmówić racyi i tym, którzy, powołując się na ograniczoną

liczbę banków w Królestwie, pragnęliby, ażeby bank państwowy był dostępny dla wszystkich. Jest to, powtarzamy, kwestya zapatrywań, chociaż i to dla nikogo chyba nie jest tajemnicą, że zanim te zapatrywania, w nowéj dyrekcyi bankowéj, należycie się wyrobią, rynki pieniężne kraju długo pozostawać będą pod naciskiem braku kredytu i wysokiéj stopy procentowéj pożyczek prywatnych. Dawny Bank polski, skutkiem szerokiego zakresu operacyi, zastępował inne, nieobecne instytucye kredytowe, wypełniając swym programem cały system bankowy, Bank późniejszy zaś, począwszy od 1870 r. i nie wyłączając nowego „kantoru," przyjmując charakter wyłączny instytucyi skupowéj, tém samém ujawnił braki systemu bankowego, wywołał potrzebę gwałtowną takich instytucyj, jak bank przemysłowy, bank hipoteczny, bank melioracyi rolnych, bank kredytu rzeczowego (warrantowy) i t. d., których utworzenie prędzéj czy późniéj winno zakończyć reformę bankową. Reorganizacyą Banku polskiego uważamy dopiero za początek téj reformy.

Dobry miał pomysł p. Przyłubski z Zator, zwołując za pośrednictwem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, naradę młynarską,— od dłuższego bowiem czasu dziwny zachodzi stosunek pomiędzy producentami zboża, a zakładami toż zboże przerabiającemi: jedni drugich omijają, właściciele ziemscy, nie dość, że nie znajdują zbytu na zboże w Anglii i Niemczech, ale nie mogą téż go sprzedać młynom krajowym, młyny zaczynają sprowadzać zboże z Rybińska i gubernii wschodnich, piekarze narzekają na zły wyrób młynarski i t. d., słowem nieskończony łańcuch wzajemnych oskarżeń i, w następstwie tego, zerwanie stosunków. P. Przyłubski postanowił położyć tamę temu rozprzężeniu, zwołać młynarzy i rolników, by stanąwszy oko w oko wypowiedzieli sobie otwarcie, czego wzajemnie od siebie potrzebują i ułożyli warunki dalszego wspólnego stosunku. W tym celu w d. 8 stycznia r. b. odbyła się narada młynarzy przedwstępna, dla przygotowania dyskusyj i prac na ostatecznéj konferencyi, wyznaczonéj na ostatnie dnie lutego. Postanowiono więc przedłożyć zgromadzeniu sprawy następujące: 1) jakie środki mogłyby podźwignąć młynarstwo polskie (cło, obniżka frachtów kolejowych, ulepszenia w produkcyi zboża); 2) czy możliwém jest takie udoskonalenie młynów, iżby mąka krajowa mogła znaleźć zbyt na rynkach zagranicznych, w Londynie, Amsterdamie, Paryżu, Stokcholmie; 3) na jakich warunkach młyny mogłyby pozyskać kredyt hipoteczny; 4) czy młynarze polscy, działając zjednoczonemi siłami, nie mogą uzyskać obniżki asekuracyi młynów w towarzystwach prywatnych, wreszcie 5) w jaki sposób należałoby wyjednać zwrot cła od worków. Zanim sprawy te wejdą na porządek obrad konferencyi, narada styczniowa postanowiła zbadać rynki zagraniczne, czy to bezpośrednio przez osoby kompetentne, czy za pośrednictwem świeżo wydanéj w tym przedmiocie broszury p. Kamińskiego, delegata ministerstwa finansów, oraz opracować kwestyą ceł

i frachtów kolejowych. Jak słusznie należało się spodziewać, narada żywo zainteresowała szersze koła i ziemian i właścicieli młynów; godném téż jest zaznaczenia, że w gronie ostatnich obudziło się poczucie solidarnego działania z producentami zboża. Między innemi, jeden z właścicieli młynów, w złożonym naradzie referacie, takie wygłosił zdrowe poglądy: „Jednym ze środków zażegnania obecnego przesilenia rolnego, byłoby niewątpliwie zapewnienie produktowi surowemu zbytu miejscowego, a przerobionemu — i miejscowego i zagranicznego; w takim bowiem stosunku wzajemnym koszt przerobu zostałby w kraju, zapasy zboża uległyby zmniejszeniu, odpadki przeszłyby tanio na potrzeby rolnictwa. Ażeby to osiągnąć, kraj potrzebuje fabryk ściśle z rolnictwem solidaryzujących się, mianowicie fabryk, przerabiających płody rolne, za pośrednictwem których moglibyśmy z czasem zbywać za granicę nie surowe, lecz przerobione materyały, nie zboże — lecz mąkę, nie jęczmień — lecz kaszę, nie rzepak — lecz oléj“... Jakiekolwiek będą rezultaty zabiegów narady młynarskiéj, sam fakt zbliżenia się producentów zboża i mąki zapisze się wdzięcznem wspomnieniem w tegorocznéj kronice naszych spraw ekonomicznych.

Tym wszystkim, którzy, nie znajdując danych „pozytywnych,“ krytykują działalność Warsz. oddziału Tow. pop. przem. i h., należałoby stale przypominać, iż przecież... nie odrazu Kraków zbudowano. Tow. istnieje zaledwie dwa lata, a mybyśmy pragnęli, żeby za jego wstawiennictwem, w miejsce zwyczajnego deszczu, bodaj złoto z nieba padało! Gdyby Tow. rozporządzało jaknajwiększemi wpływami i środkami, i wówczas jeszcze chyba nie byłoby zdolne zmienić atmosfery, jaka obecnie w stosunkach naszych panuje, a cóż dopiéro przy tych atrybucyach, jakie w gruncie rzeczy młoda ta instytucya posiada. Toż lada burza, lada przełom w téj atmosferze— a na brak podobnych niespodzianek dziś uskarżać się nie możemy— a samo Tow. znajdzie się na mieliźnie. Zresztą i Tow. nie pozostaje bez pewnych sukcesów, jakie zebrać zdołało po dwuletnim posiewie prac swoich. Tak np. faktem jest, że starania Tow. o otwarcie kredytu 3-ch mil. rub. w Banku państwa, na potrzeby cukrownictwa, czynione w Petersburgu i Warszawie, przyjęte zostały przychylnie, i w krótce może uwieńczone będą pomyślnym skutkiem. Takiż los spotkał projekt Tow., co do wyznaczenia w Warszawie oddzielnego sędziego pokoju wyłącznie dla spraw, wynikających ze stosunków między właścicielami zakładów przemysłowych i warsztatów rzemieślniczych a czeladzią i robotnikami. Wreszcie wnioski Tow. o ustanowienie kontroli nad pracą uczniów rzemieślniczych, przyjęte przez magistrat w r. b., wchodzą w wykonanie: — magistrat wyznacza 9 komisyi, po jednéj na cyrkuł, z pośród starszych zgromadzeń, dla przestrzegania warunków porządku i uczciwego obchodzenia się z uczniami — terminatorami po warsztatach. Obok zaś tych danych pozytywnych, Tow. porusza się tyloma specyalnemi delegacyami,

opracowuje na raz tyle kwestyi, że doprawdy, nie skarżyć się na bezskuteczność dotychczasowych prac jego, lecz życzyć mu wytrwałości i energii potrzeba. Odczyty rzemieślnicze, wystawa produktów krajowych, pośrednictwo w umieszczaniu praktykantów po fabrykach, biuro statystyczne, spółka rektyfikacyi okowity — oto znowu szereg prac, załatwionych już na miejscu, bez odwoływania się do komitetu. Ruch wniosków również nie ustaje. Świeżo w miesiącu styczniu, Tow. otrzymało do rozpatrzenia projekty pp. Jana Markowskiego — rozszerzenia operacyi Banku szlacheckiego na Królestwo Polskie, Tymoteusza Łuniewskiego — zbadania dróg wywozu okowity zagranicę, Franciszka Olszewskiego — utworzenia w Warszawie politechniki, oraz dwa wnioski naszego współpracownika p. F. Fendi, co do zawiązania komitetu ludowych stowarzyszeń kredytowych i co do rozszerzenia działalności Banku włościańskiego na Królestwo Polskie. Sprawy te dotyczą tak ważnych stosunków, że już same mogą wypełnić cały rok bieżący czynności Tow. Są one jednak dopiéro w zawiązku, bliższym zaś rzeczywistości, gdyż oddanym już do dyskusyi, jest projekt red. „Gaz. rzemieśl.“ „Tow. opieki rzemiosł,“ nad którym ma obradować sekcyja rękodzieł w d. 28 b. m., oraz projekt p. Kowalskiego, utworzenia w Moskwie „Agentury przedażnéj,“ umieszczony na porządku dziennym zebrania sekcyi handlowéj, z d. 21 b. m. Roczne zgromadzenie ogólne Tow., odbędzie się w połowie marca.

Założone w roku zeszłym stacye meteorologiczne przy cukrowniach, są też pierwszą pozytywną zdobyczą Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w ciągu jego niespełna dwuletniéj działalności. Jest to wprawdzie, jak na teraz, przedsięwzięcie jeszcze wielce skromne, ale też nie rości ono pretensyi do powagi, a przy dobrych chęciach i dalszych zabiegach, z czasem, miejmy nadzieję, podniesie się w swém znaczeniu i wpływie praktycznym. Myśl organizacyi stacyi, powstała w 1884 r., na jednem z zebrań cukrowniczych, z inicyatywy p. Dembego, b. profesora szkoły żabikowskiéj, obecnie zaś dyrektora cukrowni Czersk, a przeniesiona następnie przez prof. Dziewulskiego, do sekcyi cukrowniczéj świeżo właśnie podówczas założonego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, doczekała się tu rychłego urzeczywistnienia. Początkowo do związku zapisały się jedynie fabryki cukru, wykonawcy jednak projektu mają zamiar rozszerzyć w następstwie sieć spostrzegalni meteorologicznych przez włączenie do związku i innych fabryk, a projekt ten, zarówno dzięki stosunkowo niewielkim kosztom urządzenia stacyi, (I-go rzędu 188 rs., II-go 142 rs. i III-go 24 rs.) jak i rzetelnéj korzyści naukowo-praktycznéj, zapewne nie napotka w wykonaniu poważniejszych przeszkód. Pierwsza powstała stacya centralna w Warszawie, przy współudziale Towarzystwa pop. i Muzeum przemysłowo-rolniczego, w gmachu tegoż, mianowicie w specyalnie ku temu przygotowanym lokalu, na górném piętrze. Muzeum wzięło

na siebie prowadzenie i utrzymanie stacyi i biura meteorologicznego, jednocześnie zorganizowanego dla prowadzenia statystyki meteorologicznéj, Tow. zaś podjęło się opłacać koszta administracyi obu zakładów. Kierunek naukowy nad biurem objął pr. Kwietniewski, prowadzenie robót na stacyi i w biurze, poruczone zostało kand. n. mat. p. Ciemniewskiemu. W chwili, gdy piszemy niniejszą notatkę, obok warszawskiéj, funkcyonuje już na prowincyi 15 stacyi, mianowicie: przy cukrowniach, w gub. Warszawskiéj—Czersk, Józefów, Michałów, Młodzieszyn, Oryszew, Sanniki i Ostrowy, w g. Radomskiéj—Częstocice, w g. Kieleckiéj — Łubna, w g. Lubelskiéj — Mircze, w g. Płockiéj—Krasiniec, w g. Kaliskiéj — Leśmierz, w g. Wołyńskiéj — Kremienczuki, w g. Podolskiéj — Sokołówka i Uładówka. W r. b. ten tak ograniczony jeszcze szereg spostrzegalni, ma być powiększony w dwójnasób, wiele bowiem cukrowni spóźniło się z ich urządzeniem. Wszystkie stacye zaopatrzone zostały w przyrządy i narzędzia dostarczone przez specyalny zakład renomowany R. Fuess'a, w Berlinie, do których należą: barometr rtęciowy, psychrometr z budką, termograf Six'a, chorągiewka kompletna, pluwiometr i termometr pojedynczy. Stacye prowincyonalne komunikują stacyi centralnéj buletyny, prowadzone według wspólnéj dla wszystkich instrukcyi, pięciodniowe i miesięczne, spostrzegalnia warszawska zaś, układa z nich wykaz ogólny, drukuje go i rozsyła następnie stacyom związkowym. Wykazów takich, wydano już dwa — na listopad i grudzień, bo jakkolwiek stacya warszawska rozpoczęła czynności już w lipcu r. z., inne atoli stacye, przystąpiły do czynienia spostrzeżeń dopiéro w październiku. Z wymienionych wyżéj 15 cukrowni, jedna tylko posiada stacyą II-go rzędu, reszta ma pierwszorzędne. Jest to, jak widzimy, dopiéro zawiązek meteorologii krajowéj. Nadmienić wszakże wypada, że we wszelkich urządzeniach stacye tutejsze, wzorują się na typach zagranicznych, że stacya warszawska zostaje w stałych stosunkach z biurem wiedeńskiém i berlińskiém, że jéj kierownicy czynią teraz starania, celem pozyskania dla związku meteorologicznego większych zakładów przemysłowych w Królestwie. W Austryi, funkcyonuje przeszło 300 stacyi, w samój Galicyi jest ich 59, a w Czechach 29, — u nas, dla zupełnego skompletowania buletynów, tak iżby one obejmowały meteorologią całego kraju, potrzeba przynajmniéj 100 spostrzegalni. Pocieszmy się jednak, gdyż w innych krajach, na początek, nie było ich i 16 nawet!...

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Obok poważnych wydawnictw naukowych Akademii Umiejętności w Krakowie, zajmuje bez zaprzeczenia pierwsze miejsce „Pamiętnik fizyograficzny,“ wydawany w Warszawie siłami zbiorowemi, wielkim nakładem, płynącym w znacznéj części z ofiary kilku ludzi dobréj woli. Wydawnictwo to, podjęte z poczucia obowiązku obywatelskiego, w celu skreślenia dokładnego obrazu kraju naszego pod względem przyrodniczym, nie może się dotychczas pochlubić tą jedyną nagrodą, jakiéj pragnie, mianowicie nie może się pochlubić dostatecznem poparciem, na które pod każdym względem zasługuje. Widok, powiedzielibyśmy niemal, antagonizmu szlachetnéj ofiarności pracy umysłowéj i nakładu i materyalnego z apatyą odrętwiałego dla skarbów duchowych, ogółu ma w sobie coś podniosłego — i należy się spodziewać, że ofiarność i poświęcenie nareszcie zwyciężą! Tom V-ty, który właśnie wyszedł z druku obejmuje grubą książkę o 607 stronicach, z 24 tablicami rysunków litografowanych, (mapy opisywanych okolic kraju) i rozkłada się na wzór tomów poprzednich na 5 osobno paginowanych działów, mianowicie: I. Meteorologia i hydrografia. II Geologia z chemią. III Botanika i zoologia. IV Antropologia. V Miscellanea. Treść tego tomu jest bardzo bogata i dla dokładnego obrazu kraju nadzwyczaj ważna, abyśmy ją okolicznościowo przez tę wzmiankę bibliograficzną zbyć mogli: niebawem podamy szczegółowy krytyczny jéj przegląd.

J. H. Taylor: Zmyślność i Moralność roślin. Zarys życia i obyczajów królestwa roślinnego. Z angielskiego przełożył J. K. Potocki. Warszawa, nakładem Redakcyi „Prawdy“ 1886, 232 stronic druku.

Tytuł książki i zagłówki rozdziałów na ten sam ton dostrojone, jak: Przebiegłość kwiatów, Dyplomacya kwiatów, Gra w chowanego, Społeczność i państwowe gospodarstwo roślin, Ubóstwo i bankructwo, Rabunek i morderstwo i t. d., wskazują z jakiego stanowiska zapatruje się autor na życie roślin i jaką teoryą zamierza popularyzować. W naukach biologicznych teorya ewolucyi, to jest wiecznéj zmienności ustrojów i form, zaprawdę najlepiéj tłómaczy zawiłe zjawiska, zapisane w historyi istot żywych, zamieszkujących ziemię, i zyskuje co raz powszechniejsze uznanie w świecie uczonym. Co jednak tym wieczystym

ruchem rządzi, dokąd go kieruje, jakie przyczyny dają mu popęd i jakie są sposoby użyte w téj sprawie, dotychczas najpotężniejsze umysły nic zrozumieć nie mogą. Korzyści zaś, jakie nauka odniosła z nowych poglądów oceniać mogą tylko ludzie gruntownéj nauki i rzeczywiści badacze przyrody. Dla umysłów nieprzygotowanych do jéj przyjęcia przez poprzednie studya zasadnicze, teorya ta jest pokarmem przedwczesnym i niezdrowym, wywołuje niedowarzone doktrynerstwo i mędrkowanie nieuków. Odwrotna ta strona wpada łatwiéj w oczy zbiorowego rozumu społeczności i obudza w niéj do nowego tego w nauce kierunku nieufność a nawet obawy, obawy o tyle tylko usprawiedliwione, o ile teorya pada na grunt niewyrobiony, bo nie wszystkie teorye naukowe do popularyzowania się nadają. Jedne można a nawet należy upowszechniać, jak np. nowe poglądy w fizyce: teorye zachowania energii, przemiany sił i t. p., ale kwestye socyalne, a po części i biologiczne wymagają dojrzałości umysłowéj i moralnéj i nie mogą być rzucane na pastwę nieuctwu i namiętności. Nauka powinna mieć pochód swobodny i niepodległy, jak myśl ludzka, któréj nic krępować nie może, ale dorobek nauki, jéj owoce należy szafować ogłędnie i rozumnie, bo od zastosowania zależy ich pożytek lub szkodliwość. Doświadczony pedagog zaświadczy, że przed niedorosłém audytoryum nie możliwą jest rzeczą rozwijać rzeczy naukowo nawet bardzo ważnych, naprzykład jedynie uzasadnionéj klasyfikacyi zwierząt, opartéj na przyrządach rozrodczych i ich działaniu, choćby w takich szczegółach, jakie objaśniają zbliżenie niedoperzy do małp, a pośrednio i z człowiekiem.

Do żywotnych potrzeb społeczeństwa należy kształcenie naukowe, ale to niepolega wcale na bawieniu go subtelnościami nauki lub przedstawianiu pobieżnie i płytko jéj stron zawiłych lub dostatecznie niewyjaśnionych, tylko na pewnym doborze wiadomości jasnych, pewnych i pożytecznych, mianowicie zaś przyczyniających się do podniesienia ogólnego poziomu umysłowego i etycznego.

Anglicy są obecnie mistrzami w pisaniu książek popularno-naukowych, lecz książeczka Taylora, chociaż obejmuje wiele zajmujących i ważnych faktów z życia roślin, przedstawia je wszakże w sposób naciągany do powziętéj idei i z przesadą tak rażącą, że zaliczyć jéj nie można do wzorowych w tym kierunku utworów. Traktowanie roślin jako istoty swych potrzeb świadome i umiejące wybierać a nawet torować sobie drogi, prowadzące do ich zaspokojenia, bardzo efektownie figurowałoby w bajce, ale poważna szata naukowa im nie do twarzy. Powtarzające się ciągle wyrażenia takie jak: „chytry kolcosit (Ulex), jak: zasada altruizmu („poświęcenie się“ bohaterstwo) jest więc szeroko wyznawaną nawet w królestwie roślin,“ i tym podobne, mogą wprawdzie podobać się niedojrzałemu czytelnikowi, ale czy mu pożytek przyniosą, wątpić można.

Tłómaczenie książki pod względem języka jest dobre, wydanie ozdobne, korekta druku dość staranna, nie dopisuje tylko często w na-

zwach łacińskich, kilka niedokładności w nazwach roślin, jak sitowie zamiast turzyca str. 56, jak Convallaria majalis zamiast C. Polygonatum str. 143 nie dają powodu do ważniejszego zarzutu, na jedno wszakże wyrażenie wielekrotnie powtórzone, trzeba zwrócić uwagę, gdyż zawiera podwójny błąd naukowy: plantae herbaceae tłomacz nazywa zawsze rośliny trawiaste zamiast rośliny zielne; rośliny trawiaste (gramineae) stanowią oddzielną rodzinę, a przytém nie wszystkie są zielne, lecz obejmują także i drzewiaste, jak np. gatunki bambusów. W książce przeznaczonéj do popularyzowania nauki można pominąć wiele rzeczy z teoryi, ale nie można dopuścić żadnego błędu faktycznego. *A. W.*

Ubogą naszę literaturę estetyczną pomnożyło w ubiegłym miesiącu dzieło profesora Henryka Struvego p. t. „Estetyka barw. Zasady upodobania w barwach i ich zastosowanie do stroju, sztuki pięknéj i wychowania estetycznego." (Warsz. 1886. Nakład autora. Str. XVI i 340). Od wydania pism Kremera i Libelta jest to bez zaprzeczenia najobszerniejsza praca oryginalna z zakresu estetyki. Cała nasza praca na polu téj nauki ograniczała się niemal wyłącznie do rozproszonych po czasopismach artykułów z różnych jéj gałęzi; wszakże w przeważnéj większości są to rozprawki pisane doryweczo, po dyletancku, z większą niewątpliwie odwagą niż naukowém przygotowaniem; wszystkie też prawie mają mniéj lub więcéj wyraźne cechy przygodnych podjezdnych wycieczek, podjętych w obronie téj lub owéj ulubionéj tezy. Nie wiele też przyczyniły się one do upowszechnienia zdrowych pojęć i poglądów w rzeczach sztuki i piękna, a wiadomo, że nigdzie może nie panuje większy na tém polu zamęt, jak właśnie u nas. Inaczéj rzecz się ma z p. Struve, który poświęcając się specyalnie uprawie filozofii, z téj racyi nie wyklucza też badań estetycznych z obrębu swych prac naukowych. Dał się już różnemi czasy poznać z większych lub mniejszych studyów estetycznych, drukowanych bądź oddzielnie, bądź w łamach czasopism i w Encyklopedyi wychowawczéj. Jednak książka, którą nam obecnie daje, posiada o tyle znaczenie poważniejsze, że jest to praca ujęta w systematyczny całokształt, pozwalająca czytelnikowi rozejrzeć się szeroko i do dna w poglądach autora, i że traktuje przedmiot tak zaciekawiający jak harmonia barw, która, mimo kilku wysokiéj wartości dzieł specyalnych w obcych literaturach, nie przestaje się dotąd liczyć do najmniéj zbadanych gałęzi wiedzy estetycznéj.

P. Struve starał się oprzeć swoje dzieło na gruncie najnowszych poszukiwań naukowych z dziedziny fizyki i fizyologii barw, usiłował spożytkować wyniki badań obcych uczonych i pisarzy; wszakże tak w układzie swéj pracy jak opracowaniu jéj pojedyńczych działów idzie własną drogą, nie zchodząc nigdy ze stanowiska estetyka. Załatwiwszy się treściwie z fizyczną i fizyologiczną stroną przedmiotu, zastanawia się dopiero obszerniéj nad samym faktem wrażenia, uważając go, i słusznie, za główny i dostatecznie wylegitymowany punkt wyjścia

w swoich wywodach. Treść książki wybiega zresztą daleko poza właściwe granice estetycznéj teoryi barw. Po rozdziałach, traktujących szeroko zarówno estetyczne jak symboliczne i wyrazowe własności barw, ich harmonią, kontrasta i dysonanse, w których przedmiot w ściślejszém pojęciu zdaje się już być wyczerpanym, autor zchodzi z wyżyn teoryi naukowych na poziom praktyki, ogarniając wszystkie niemal działy pracy człowieka, w których barwy mniéj lub więcéj rozległe mają zastosowanie. Więc różne rodzaje przemysłu, architektura, rzeźba, malarstwo i ubiór człowieka stają się z kolei celem jego badań i roztrząsań. Możnaby nawet rzec, że rozdziały, poświęcone zastosowaniu barw do ubiorów i strojów, opracowane są przez autora z pewną predylekcyą. Jest tu mowa, między innemi, i o środkach upiększenia ciała w ogóle, i o tajemnicach toaletowych pań w szczególności, które szanowny estetyk dość niedyskretnie pozwolił sobie odsłonić. Zdaje się téż, że ta mianowicie część jego dzieła znajdzie najgorliwszych czytelników w szeregach płci nadobnéj.

Wreszcie, żeby nie pominąć niczego, co może mieć związek z traktowanym przez autora przedmiotem, poświęca autor ostatnie rozdziały swéj książki kwestyom wychowania estetycznego, tak niestety lekceważonego przez nowożytną pedagogikę. Podnosi jego znaczenie i pożytek, wskazuje metody najskuteczniejsze, jego zdaniem, do rozwinięcia w człowieku przez wychowanie zdrowego poczucia barw, czyli — jak autor trochę to dziwnie nazywa — zmysłu kolorystycznego. Jak tedy widzimy, książka ta zbyt poważna, zajmująca i treściwa, aby w téj dorywczéj wzmiance bibliograficznéj można dać należyte wyobrażenie o jéj zawartości i naukowém stanowisku autora.

Nakładem księgarni A. Gruszeckiego w Warszawie, wyszło w 3-ech tomach nowe uzupełnione wydanie „Poezyi Adama Mickiewicza,“ ułożone przez Piotra Chmielowskiego. Warsz. 1886. T. I, str. 300, II. T. II, str. 359. T. III, str. 217. Wydanie to jest ze wszystkich dotychczasowych warszawskich wydań poezyi najzupełniejsze i różni się od innych edycyi nawet zagranicznych przez to, że p. Chm. starał się obok poprawności tekstu ułożyć pojedyńcze utwory poetyczne — pomieszane dotychczas pod ogólnym tytułem: „Wiersze różne“ — według działów literackich, jakie poetyka ustanowiła, z zachowaniem tylko w pojedyńczych działach porządku chronologicznego utworu lub druku. Postąpienie takie nie powinno spotkać zarzutu. Oprócz rozpraw: „O poezyi romantycznéj“ i „O krytykach i recenzentach warszawskich,“ które stanowiły przedmowy do pierwszych wydań poezyi Mickiewicza, czytamy na początku treściwy pogląd na koleje życia poety oraz opinie o wartości poetycznéj pojedyńczych utworów w rozprawie: „Adam Mickiewicz w świetle najnowszéj krytyki.“

Nakładem księgarni A. Gruszeckiego wyszła w 2-iem wydaniu, poprawioném i znacznie powiększoném praca dra Piotra Chmielowskiego p. tyt. „Zarys literatury polskiéj z ostatnich lat dwudziestu.“ Warsz. 1886, str. XVI i 348. Wydanie to jest nie tylko znacznie powiększo-

ne; ale rzeczywiście i poprawione. Rozkład przedmiotu został wprawdzie bez zmiany w 2-ch częściach, z których w 1-széj autor mówi o „Przekonaniach i dążnościach," w 2-iéj o „Osobach i dziełach." Zarzutów naszych, objawionych co do téj kwestyi przy 1-szém wydaniu, nie cofamy ze względu na potrzebę systematyki naukowéj, jakkolwiek po objaśnieniu autora, że „nie zamierzył pisać *dziejów* literatury okresu, który jest dopiero w początkach swoich, lecz zarys mający cechę publicystyczną,"— nie podtrzymujemy uwagi naszéj co do tego punktu, jako zarzutu, uwłaczającego wartości samego dziełka publicystycznego, które na szczegółowszy rozbiór zasługuje. Dziwi nas, że p. Chm., piszący tak wielostronnie o niedawnéj przeszłości naszéj i piszący z niezaprzeczoną znajomością rzeczy (Życiorys Ad. Mickiewicza w 2-ch t.),— datuje rozwój myśli postępowéj w literaturze naszéj od pojawienia się kilku jaskrawych artykułów dziennikarskich: jest to tylko przejściowa ewolucya — ale nigdy rewolucya w Rzpltéj literackiéj, któréj upadku nie sprowadzą nawet baterye p. Masłowskiego, niepotrzebnie tak szeroko w „Zarysie" opisane (153—158). Cóż to za falangę zgromadził około siebie p. Masłowski?— Sądzimy, że nawet rozwinięta co tylko nowa chorągiew „młodych konserwatystów" będzie za szczupła i za powiewna, aby tak groźny dla postępu przewrót spowodować mogła. Chociaż tedy p. autor zrzekł się dla dziełka swego tytułu dziejów, którego miarą ocenialiśmy wydanie 1-sze, to sądzimy, że nawet zarys publicystyczny za pośpiesznie głosi niektóre sądy i opinie o sprawach, które się inaczéj miały i mają i które uwagi sz. autora ujść były niepowinny (str. 147, 166, 297), a to tém bardziéj, że badacz późniejszy lub oddalony od Warszawy czerpać będzie wiadomości swoje także i z dziełka p. Chm. jako świadka współczesnego.

Nakładem téjże saméj księgarni wyszło w tłómaczeniu polskiém dziełko Herberta Spencera p. t. „Jednostka w obec państwa." Warsz. 1886, str. 202, roztrząsające w 5-ciu rozdziałach następujące kwestye: 1) Nowy toryzm, 2) Niewola przyszłości, 3) Grzechy prawodawców, 4) Wielki przesąd polityczny, 5) Post-scriptum. Spencer, poważny badacz spraw społecznych, a nie doktryner uparty i zarozumiały, pragnie zreflektować tych socyologów i prawodawców, którzy pod niepowstrzymanym prądem konsekwencyi teroryzmu rewolucyi francuzkiéj, szukają ideału państwa w rozszerzaniu jego atrybucyi z krzywdą wolności jednostki. Spencer uczy tedy, że natura rzeczy postawiła tu pewne granice, poza które nie można przedłużać atrybucyi państwa. Treść zatém dziełka jest nadzwyczaj ważna i do zastanowienia pobudzająca, szkoda tylko, że oddana w tłómaczeniu słabém, nawet lichém, tak że książki téj nie można uważać za zbogacenie literatury polskiéj. Na niektóre błędy zwrócił już uwagę W. Wścieklica w „Ateneum"— a liczbę ich łatwo pomnożyć. Zaniedbanie pod względem formy szerzy się w literaturze naszéj coraz bardziéj; dla tego zadaniem krytyki powinna być pod tym względem jak najtroskliwsza kontrola.

Księgarnia Gruszeckiego wydała nakładem swoim „Szkice z Gruzyi“ przez Artura Leista (Warszawa 1886, stronic 175). Autor, odbywszy podróż do tego kraju, zebrał w książce swojéj wiązkę ciekawych szczegółów o Gruzyi (w 7-miu rozdziałach), a mianowicie o cudach jéj przyrody, o miastach, wsiach i ich mieszkańcach, o życiu, dziejach, cywilizacyi tego ludu. Po opisie dość barwnym podróży do Batumu i samego miasta (nad które przekłada nasz Pacanów, wolny przynajmniéj od febry batumskiéj) i kreśli dalszą podróż do Tyflisu. Ustęp o Ormianach, ich życiu, literaturze i sztukach pięknych, jest ciekawy (rozdz. 3 ci). W rozdziale następnym autor przedstawia życie sielskie synów i córek Gruzyi, zaznaczając „patryarchalny stosunek pomiędzy chatą a dworem.“ Rozdział o literaturze gruzyjskiéj, najciekawszy w książce, zamyka pracę p. Leista. Autor streszcza tu najsłynniejszą epopeę Rustaweliego p. t.: „Człowiek w skórze tygrysiéj,“ charakteryzuje innych pisarzów złotego wieku, zaznacza wpływ bajronizmu i zaznajamia czytelników ze współczesnemi poetami Gruzyi, podając ich pieśni w tłómaczeniu bardzo nieudolném. Oto próbka:

Me jęki serdeczne, odgłosy miłości
Niech porwie szum morza, by z wichrem przebrzmiały
Pędź daléj mój koniu w tę otchłań przeszłości
Nie oszczędzaj mych sił sam w cierpieniach wytrwały!!

Opowiadanie p. L., w ogóle nie pozbawione interesu; ale grzeszy chaotycznością, powtarzaniem tych samych szczegółów i formą w wysokim stopniu zaniedbaną. Język pokaleczony germanizmami i rusycyzmami („Czém daléj się posuwamy“ „dzięki ofiarom ze strony osób prywatnych“ i w. i.): pisownia imion własnych nie zawsze prawidłowa, przecinkowanie wadliwe, korekta wielce nieporządna. W każdym razie książka p. L. zasługuje na przeczytanie ze względu na przedmiot bardzo ciekawy; chociaż autor nie objaśnia czytelnika co do tego, czy budzą się w Gruzyi pierwiastki cywilizacyi i poczucia indywidualności narodowéj, oraz nie wskazał źródeł, z którychby się o téj sprawie dokładnie poinformować można.

Taż sama firma wydała książkę p. t.: „Z tajemnic Wschodu“ obrazki i szkice przez Sahi-Beja (Warszawa 1886, str. 214). Pełno tu nieprawdopobieństw, dziwolągów i bredni. Całość składa się z 9-u opowiadań różnéj treści. W „Wiarusie Mohikaninie,“ autor opisuje żarłoka i policyanta dla idei Hr. G... polaka, który jakoby zjadał na jedném posiedzeniu: dwie duże puszki sardynek, funt „chesteru,“ osełkę masła, talerz wędlin i delikatesów, słoik musztardy, słoik pikli, dwanaście biwsztyków, całą wazę rosołu, półmisek mięsa garuirowanego, całą rybę morską i pieczyste z sałatami na osób kilkanaście, całego indora nadzianego truflami, całą pieczeń baranią a wreszcie ogromny pudding. Wszystko to hrabia obficie polewał winem. I autor podaje te szczegóły... z najlepszą wiarą! Reszta treści równie nie-

smaczna. Szkice p. Sahi-Beja nie mają żadnéj wartości, gdyż nawet i pod względem formy pozostawiają do życzenia bardzo wiele. Ile tu błędów wszelakich! Zaznaczymy kilka dla przykładu. „Nie wolno było jeździć konno na koniu, mogli to uskutecznić na mułach lub osłach“ (str. 84). Jeżeli się mówi „konno“ to już dodatek „na koniu“ pleonazmem; na ośle zaś nie jeździ się „konno“ tylko „wierzchem.“ „Biły do śmierci“ (str. 84) zam. „na śmierć.“ „Pomimo zdolności dostąpienia łaski w obec atoli“ i t. d. (st. 99). Łatwo to dokonać“ (str. 138), „Co mu brakowało“ (35); „Czyny bohaterskie“ dokazał (2), „Nagi, jak mać porodziła idyota (103); „Sciągnięty złotym obręczem (139), „społeczeństwa nie mogły znosić gimnosofistę (172). Mało tego: „Raz na polu piśmienniczém, porzucił studya“(169).—Rusycyzmy. Jakże tam stoi z naszą kasą (187) „ręczy wrócić dawny humor (203) i t. d. P. Sahi-Bej choruje na Szekspirowską dosadność wyrażenia, ztąd takie kwiatki w jego robocie: „Jusuf wyszczerzył żółte kły, by się następnie w płynącą smarkatkę trzaskającego żalu zamienić“ (101). „Od oblicza biła łuna pijacka z przynależną wonią zgorzeliny wódczanéj“ (136), Rzeźnik „z twarzą sępią zabarwioną oparem krwi bydlęcéj“ (140), „Nikołahi sflakowaciał jak polędwica wyżyłowana“ (152), „Knajpa wyżygnęła hulakę“ (170), jego tężyzniani zwolennicy“ (173), „klnąć w matkę (!!), pobrnięto precz z cmętarza“ (102). „Brnąć“ jest ulubionym wyrazem autora, używa go więc na każdéj karcie i przeważnie wbrew duchowi języka jak np.: „pobrnęła po schodach“ (186). Nakoniec o budowie i jasności stylu, niechaj zaświadczą takie ustępy: „Los opiekuńczy sprowadził właśnie do naszego X., zostającego na razie z powodu małego popytu na jego artykuły nb. polityczne, chociaż sprawy tego rodzaju wcale a wcale go nie obchdziły, chyba jako materyał do humorystyki— w okropnéj biedzie, tak, że butów nie miał na nogach—jakiegoś kapitana holenderskiego“ (169). „Postanowili zjeść polski obiadek z barszczu, zrazów z kaszą, kapusty kwaszonéj, pierogów składający się, słowem relikwii (!) narodowych brzusznego patryotyzmu, pierwszego szczebla do prawdziwego zamiłowania swojszczyzny“ (42). Płaczemy na zastój a przecież takie nawet ramoty mają nakładców!...

Z dziedziny geografii zaznaczyć trzeba następujące dzieła: 1) Verhandlungen des fünften deutschen Geographentages zu Hamburg am 9, 10 u. 11 April 1885. Z polecenia Zarządu wydał Dr. H. Michow w Hamburgu. Z 2-ma mapami. Berlin 1885, str. 238. Jestto szczegółowe urzędowe sprawozdanie ze zjazdu geografów niemieckich, w którém czytamy 13 wykładów, jakie na zjeździe wypowiedziano,— opis prowadzonéj dyskusyi, robionych wycieczek oraz urządzonéj równocześnie wystawy przedmiotów geograficznych. Liczba członków Towarzystwa geograficznego wzrosła już do 372. Z dołączonych map przedstawia jedna okolice przylądka „Horn“ do rozprawy dr. G. Ney-

mayera: „Nothwendigkeit und Durchführbarkeit der antarktischen Forschung,"—druga unaocznia „bogactwo kości słoniowéj w Afryce."

Równocześnie wydał dr. A. Oppel inne sprawozdanie o tym zjeździe, które można uważać za poważny krytyczny rozbiór pierwszego („Fuenfter deutscher Geographentag zu Hamburg v. dr. A. Oppel. Bremen 1885, str. 60. Oppel chwali gruntowność wykładów i całego aparatu naukowego, ale nagania krótkość czasu na wysłuchanie tych rzeczy przeznaczoną—oraz wykluczenie pedagogii geografii z programu zjazdu, w czém mu tylko przyklasnąć trzeba, bo jeżeli który, to pedagogia geografii potrzebuje jeszcze jak najpilniejszego rozbioru.

Albert Babeau ogłosił w 2-ém wydaniu dzieło p. t. „L'école de village pendant la révolution." Paris, 1885; XI, 272.

Dzieło p. A. Babeau można uważać za pożądany szkic działalności rewolucyi francuzkiéj na polu wychowania publicznego. Studyum p. B. opiera się na dokumentach i dowodach autentycznych, za pomocą których można sobie utworzyć sąd wyrozumowany o znaczeniu i wartości robót pedagogicznych, przez jakie przywódzcy rewolucyi pragnęli uszczęśliwić lud francuzki w końcu w. XVIII-go. Po uważném zbadaniu nagromadzonego tu materyału, zgodzi się niewątpliwie każdy na opinią, którą wypowiedział już dawniéj Compayré („Histoire critique des doctrines de l' éducation en France"), oceniając rezultaty postanowień szkolnych rewolucyi, gdy twierdził, że „Sa puisance (t. j. rewolucyi) a été moindre que sa volonté et qu'elle nous a laissé des principes plus que des institutions," — nie mniéj ucieszy się każdy, gdy spostrzeże, że nareszcie po tylu eksperymentach poczynają i we Francyi spoglądać nieco trzeźwiéj na zadanie szkoły i jéj stosunek do omnipotencyi państwowéj. Autor podzielił cały materyał na 8 rozdziałów, do których dołączył sporą wiązkę dokumentów (pièces justificatives). Scharakteryzowawszy treściwie położenie szkół elementarnych we Francyi przed rewolucyą, zaznacza odgłos, jaki znalazły idee rewolucyjne wśród masy ludu czyli chłopstwa francuzkiego. Na gruncie wzburzonych w tym kierunku umysłów postanowiła Konwencya zbudować świątynią szkoły wedle swojéj doktryny, szkoły „oswobodzonéj" z pod wpływu kościoła i duchowieństwa a „oddanéj" na łaskę wszechwładzy państwowéj, którą za jedyne palladyum idei wolności uznała. Obok tego poznajemy ogromne trudności, na jakie doktryna ta zaraz w początku natrafiła, mianowicie: brak dostatecznéj liczby nauczycieli świeckich; trudność nabycia budowli szkolnych przy niezaprzeczonym tytule własności dotychczasowych posiadaczy szkół. Wielką ciekawość budzi rozdział: „L' enseignement antireligieux et républicain," przedstawia bowiem obfitą literaturę podręczników i rozmaitych książek szkolnych, za pomocą których starano się w umysłach dzieci wiejskich gwałtem i różnemi sposobami obudzić ducha republikańskiego. Manifestacyjne zabiegi i wystawy, urządzane in gratiam narodowo-republikańskich uroczystości świątecznych, budzą jeszcze dzisiaj smutne nader myśli na widok nadużywania takiéj insty-

tucyi, jak szkoła, do podniecania namiętności fakcyjnych, nienawiści i lekceważenia tego, co masa narodu uważała za świętość narodową i za drogi skarb obyczajowy. Konserwatywna z natury swojéj masa ludu wiejskiego broni się jak może przed tém dobrodziejstwem państwowém, a uciekając przed szkołami publicznemi chroni się do szkół prywatnych (écoles libres), które starały się zatrzymać charakter szkół chrześciańskich. Rezultatem republikańskiéj, że tak powiem, polityki szkólnéj, jest według autora to, że pod jéj wpływem masa ludności wiejskiéj nie tylko, że w niczém nie postąpiła naprzód; ale przeciwnie jeszcze się znacznie wstecz cofnęła, zdziczała i to równie pod względem intelektualnym jak i moralnym. Przyczynę zaś tego zjawiska znajduje autor w téj okoliczności: „La grande faute de la révolution est d'avoir cru q'on pouvait remplacer la religiou par la philosophie.“ Dzieło to stanowi bardzo ważny przyczynek do historyi szkół nie tylko we Francyi i pragnęlibyśmy, żeby dzisiejsi apostołowie polityki w szkole, chcieli przy jego pomocy korzystać z nauki przeszłości, nie zatruwając serc młodocianych jadem nienawiści politycznych i religijnych.

Nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego we Lwowie wyszło (1885 r.) dzieło (str. 331.) Ks. Piotra Semenenki C. R. pod tytułem: „Credo. Chrześciańskie prawdy wiary, które wykładał w katedrze lwowskiéj w maju 1885 r. Ks P. Semenenko. Dzieło to obejmuje w 12-u rozdziałach (kazaniach, czyli konferencyach), tyleż nauk i rozbiorów najważniejszych artykułów wiary, jakoto: 1) O wierze. 2) O Bogu. 3) O Bogu w Jego samoistości. 4) O Bogu w trójcy ś. jedynym. 5) O Stworzeniu z niczego. I) Panteizm, II) Materyalizm, III) Dualizm. 6) O stworzeniu świata. 7) O stworzeniu człowieka. 8) O wolnéj woli człowieka. 9) O grzechu pierworodnym. 10) O wcieleniu. 11) O kościele. 12) O najświętszym sakramencie. Wykład sam jest efektowny, ale ze względu na ważność przedmiotu żałować trzeba, że się tutaj do tego stopnia miesza kaznodzieja z filozofem i przygodnym referentem nauk przyrodniczych, iż czytelnik nie obznajmiony sam naukowo z temi kwestyemi nie odniesie z dzieła ks. S. téj korzyści, jakiejby życzyć wypadało.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Января 1886 г.